

P. 9786 chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/108

1956



• *«La Culture»* • *Revue mensuelle* •

J. MIEDZIŃSKA :

KURTYNA ZOSTAŁA PODNIESIONA

SŁAWOJ SKŁADKOWSKI :

PREZYDENT MOŚCICKI

St WESTFAL :

ZMIANY W POLSZCZYŹNIE KRAJOWEJ

SPIS RZECZY

Aleksander Hertz :	<i>In God we trust</i>	3
Jan Holcman :	<i>Złoty jubileusz J. Hofmanna</i>	27
Czesław Miłosz :	<i>Dar nieprzywyczenia</i>	39

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski :	<i>„Wyzwolenie-Zjednoczenie”, które- go nikt nie chce</i>	47
Londyńczyk .	<i>Kronika angielska</i>	53
—	<i>Rejestracja rodzin ofiar katyńskich</i> ..	58

K R A J

Janina Miedzińska :	<i>Kurtyna została podniesiona</i>	59
Stanisław Westfal :	<i>Zmiany w polszczyźnie krajowej</i> ..	75
a. n. :	<i>Emigracja à la Mike Spillane</i>	88

SPRAWY I TROSKI

E. Żagieł :	<i>Kronika australijska</i>	93
-------------	-----------------------------------	----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Sławoj Składkowski :	<i>Prezydent Mościcki</i>	98
Zbigniew Grabowski :	<i>Tematy napoczęte (dok.)</i>	122
Józef A. Zielicki :	<i>Gen. Przewłocki w Motoli</i>	131

KRONIKA KULTURALNA

Stanisław Vincenz :	<i>Liebman Hersch</i>	135
Marian Pankowski :	<i>Festiwal poetycki</i>	141
Czesław Miłosz :	<i>Atom</i>	143
—	<i>Komunikat</i>	146

K S I A Ż K I

Józef Czapki :	<i>Pel-Mel</i>	147
Jan Bielatowicz :	<i>„Baśka i Barbara”</i>	153
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ..	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik-October 1956

INSTYTUT



LITERACKI

Śp.
ANTONI BOGUSŁAWSKI

poeta, powieściopisarz i krytyk,

współzałożyciel Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie,
b. jego przewodniczący i członek zarządu do ostatniej chwili
zmarł w Londynie dnia 31 września 1956 roku.

Z najgłębszym żalem żegnamy w Nim nieocenionego,
niezastąpionego Kolegę i Przyjaciela.

ZARZĄD

**NA NAGROBEK
DLA JANA OLECHOWSKIEGO**

Jan Bielatowicz (Londyn)	3.000 fr.
Benedykt Heydenkorn, Toronto (Kanada)	3.500 "
Jerzy Giedroyc (Paryż)	3.000 "



P. 9786 Chw. Arch.

DALSZE WPLĄTY NA DOM "KULTURY"

„M. w E.” (Australia)	1.000 fr.
Wanda Hajduga, Edmonton, Alta (Kanada)	1.500 "
Apolinary Trembiński, Kenosha, Wis. (USA)	1.500 "
Członkowie Polskiego Klubu Kulturalno-Towarzyskiego w Adelajdzie (Australia): Maria Andrzejczek, Tadeusz Andrzej- czek, Wiesław Araszkiewicz, Zygmunt Bernaś, B.T.T. Cie- ślińska, Stanisław Dijakiewicz, Władysław Dutkiewicz, Bro- nisław Gapsa, Wanda Hryniewicz, Zbigniew Hryniewicz, L. i J. Klimowscy, Olgierd Minkiewicz, Władysław Romanow- ski, Władysław Serafiński, Piotr Świrski, Andrzej Szczygiel- ski, Edward Tomaczak, Kazimierz Wolański — zebrane łącz- nie £A 16.15.00	14.000 "
Miroslaw Wierzbiński, New York (USA)	1.800 "

DZIEKUJEMY

Imprimé en France

In God we trust

(Z CYKLU „REFLEKSJE AMERYKANSKIE”)

I

To godło Stanów Zjednoczonych, które znajdziecie wyryte na amerykańskich monetach, stale mnie intryguje. *In God we trust*. Jak to przetłumaczyć na polski? „W Bogu nasza ufność”? Albo — jeszcze lepiej — „Ufność swą pokładamy w Bogu”? Każde z tych zdań wyraża jakiś trochę inny odcień emocjonalny i każde mówi o tym, jak trudna jest praca tłumacza. Jednakże od tych raczej niefrasobliwych rozważań językowych myśl moja często przechodzi do spraw znacznie poważniejszych. Miliony ludzi w Ameryce każdego dnia ma w ręku owo wyznaczenie wiary. Czym jest ono dla nich? Czy jest takim samym znakiem obiegowym, jak te metalowe krążki, na których zostało wyryte? I w ogóle, czy religijne wyznaczenie wiary — ode-
rwane od monet czy innych przedmiotów codziennego użytku — jest tylko znakiem obiegowym, czy też potrzebą człowieka i wyrazem jego głębszych przeżyć duchowych? Słowem — czym jest religia w życiu zbiorowości amerykańskiej i każdego Ameryka-
nina z osobna?

Arcyważne to pytanie dla każdego, kto stara się zrozumieć życie duchowe gromad ludzkich. Bez względu na to, jaki jest jego osobisty stosunek do spraw religijnych, nie może on niedoceniać ich kolosalnego znaczenia w kulturze, ich roli w życiu zbiorowym wszelkiej społeczności narodowej. A tym samym i w życiu każdej oddzielnej jednostki ludzkiej. I dlatego pytanie takie musi sobie postawić i poszukać na nie jakiejś odpowiedzi. Szukam jej od dawna. Szukam jej w książkach i szukam jej w ludziach. Książek, które się nim zajmują, jest bardzo dużo. I niemało z nich przeczytałem. Dały mi pewną sumę wiadomości

faktycznych — o wyznaniach amerykańskich, ich dogmatach, obrzędach, organizacji kościelnej, dały mi wiele danych statystycznych. Niektóre z nich zajmowały się psychologią przeżycia religijnego. Ale żadna z nich nie dała mi jasnej odpowiedzi na zasadnicze pytanie: czym jest religia w życiu Ameryki i w życiu Amerykanów?

Więcej powiedzieli mi ludzie. Miałem z nimi dużo rozmów. Z duchownymi różnych wyznań i ze świeckimi różnych wyznań. Byli wśród nich ludzie mądrzy i głupi, wykształceni i prości, praktykujący i obojętni. Wiele rzeczy dzięki nim zdołałem sobie wyjaśnić. Ale nie wszystko. A w każdym razie nie dostałem jasnej i jednoznacznej odpowiedzi na me zasadnicze pytanie.

To, co teraz piszę, jest tylko próbą uporządkowania mych obserwacji i przemyśleń. Wyraźnej i jednoznacznej odpowiedzi nie dam, bo jej nie mam. Ale podsumowanie takie może się przydać, choćby jako punkt wyjściowy na przyszłość. Zaczynam od spraw najbardziej zewnętrznych i ogólnych.

Więc przede wszystkim strona prawna. Pierwsza Poprawka (Amendment) do Konstytucji mówi: *Congress shall make no law respecting an establishment of religion, or prohibiting the free exercise thereof*. Czyli że Kongres nie może stanowić praw zaprowadzających religię państwową albo zabraniających swobodnego wykonywania praktyk religijnych. Twórcy Konstytucji byli ludźmi Wieku Oświeconego. Nietolerancja religijna była im czymś obcym i wrogim. I byli ludźmi praktycznymi. Stany Zjednoczone już wtedy były konglomeratem wszelkich wyznań. Nie mieli wątpliwości, że nowa Republika musi zerwać z systemem swej dawnej metropolii brytyjskiej. Nie mogło tu być miejsca na kościół państwowy (*established church*) i musiała być przyjęta zasada wolności dla wszystkich wyznań i praktyk religijnych. Państwo nie miało się wtrącać do spraw wyznaniowych, zostawiając je wyłącznie samym obywatelom.

W miarę jak Stany Zjednoczone rosły i zaludniały się, zasada ta stawała się coraz bardziej konieczną. W kraju, gdzie wyznania, sekty i podsekty liczy się na setki, państwo musi wobec nich zachować postawę jak najmniej angażującą się. Zejście jego z płaszczyzny neutralności pociągnęłoby za sobą następstwa tragiczne dla jedności młodego narodu.

Nie znaczy to, by państwo amerykańskie nigdy nie wchodziło na teren pewnych praktyk religijnych. Tak na przykład zostało zakazane wielożeństwo, co biło w Mormonów. Ale ostatecznie najbardziej liberalne współczesne ustawodawstwo nie może patrzeć obojętnie na pewne praktyki, choćby nawet miały one oparcie w jakichś przekonaniach religijnych. Zresztą sami Mormoni — z wyjątkiem garści nieprzejednanych „fundamentalistów” — odrzucili poligamię. I trudno się też dziwić, że władze administracyjne ingerują w praktyki pewnej niesamowitej sekty, której jednym z dogmatów wiary jest przekonanie, iż ukąszenie grzechotnika jest czymś zgoła niewinnym!... Ale osobliwości

amerykańskiego sekciarstwa muszą zaiste iść bardzo daleko, by aż natrafić na veto władz publicznych.

Jednakże jeżeli Twórcy Konstytucji byli ludźmi Wieku Oświeconego, to nie byli ani ateistami ani wyznawcami kultu Rózu w stylu francuskim. W swej większości byli oni produktami angielskiego racjonalizmu protestanckiego. Wielu z nich było członkami różnych protestanckich kościołów i brało w nich czynny udział. Inni byli deistami i deizm swój traktowali bardzo poważnie. Stąd Deklaracja Niepodległości powołuje się na Boga i stąd virginiańska Deklaracja Wolności Religijnej rozpoczyna się od oświadczenia, że Bóg Wszechmogący stworzył umysł ludzki wolnym i dlatego bezbożne są dążenia władzy państwowej do zmuszania ludzi do niezgodnego z ich wolą i rozumieniem służeń Bogu. Obie te deklaracje wyszły spod pióra jednego z najpiękniejszych przedstawicieli Wieku Oświeconego — Tomasza Jeffersona.

Tak pojmowana deistyczna filozofia stała się fundamentem, na którym oparł się stosunek Unii do spraw religijnych. Jeżeli w Stanach Zjednoczonych istnieje rozdział kościoła od państwa, to nie wynika stąd, by Unia miała zachowywać się agnostycznie czy indyferentnie wobec Boga i religii. Można by raczej powiedzieć, że w Ameryce istnieje rozdział *kościółów* od państwa, ale że z drugiej strony państwo nie odcina się od religii, nie zajmuje wobec niej postawy obojętnej, by nie mówić o wrogu. Nie ma w tym żadnego porównania z tą sytuacją, jaka rozwinęła się na przykład we Francji po przeprowadzeniu tam rozdziału kościoła od państwa. Przecież w dzisiejszej Ameryce w niektórych stanach i gminach ustawodawstwo lokalne *implicite* lub *explicite* podporządkowuje pewne dziedziny życia poglądom religijnym. Tu i ówdzie na Południu nauczanie biologii w szkołach stanowych nie może być niezgodne z Biblią (starsze pokolenie pamięta chyba jeszcze słynny „małpi proces”). Ale równocześnie w innych stanach przepisy nakazują usuwanie ze szkół publicznych emblematów religijnych, aby niczyje uczucia nie zostały dotknięte. I wszędzie, we wszystkich szkołach utrzymywanych przez stany i gminy, nie ma nauczania religii. Ale jest ono swobodne w szkołach utrzymywanych przez grupy wyznaniowe.

W praktyce związki między życiem publicznym a religią występują na każdym kroku. Tylko że nie są to związki z jedną określoną religią. A i tego nie trzeba rozumieć w ten sposób, że są to związki z jakąś religią „w ogóle”, że chodzi tu o jakiś nieokreślony kult, łączący w sobie wszelkie wyznania. To byłoby zupełnie obce i mentalności i tradycjom amerykańskim. W rzeczywistości są to bliskie i serdeczne związki z tymi określonymi wyznaniem, które w Stanach Zjednoczonych są szczególnie licznie reprezentowane i specjalnie szanowane (tak zwane *major religions* — główne denominacje protestanckie, katolicyzm oraz judaizm). Kongres ma swoich kapelanów, którzy są duchownymi tych wyznań. Posiedzenia Kongresu rozpoczynają

się od krótkiej modlitwy jednego z tych kapelanów (przestrzegana jest taka kolejność, by nikt nie został pominięty czy „pokrzywdzony”). Każda konwencja partyjna ma swą część religijną, w której występują duchowni wszystkich głównych wyznań. I to samo da się powiedzieć o każdym ważniejszym zgromadzeniu publicznym. Nie do pomyślenia jest na przykład zjazd związków zawodowych, na którym by każde z jego posiedzeń nie było rozpoczynane od „inwokacji”, wygłoszonej — w różnym porządku — przez katolickiego księdza (nieraz — biskupa), „ministrów” głównych wyznań protestanckich i żydowskiego rabina.

Duszpasterstwo wojskowe jest ważną częścią amerykańskich sił zbrojnych. Kapelan wojskowy zajmuje odpowiedzialne stanowisko w korpusie oficerskim. Oczywiście są tu reprezentowane wszystkie możliwe wyznania, nawet najbardziej osobliwe i egzotyczne (buddyzm). Każdy żołnierz amerykański może być pewien, że znajdzie w armii kapelana swego wyznania.

Podobne przykłady mogą być mnożone w nieskończoność. Neutralność Unii wobec religii jest czymś różnym od tej neutralności, z jaką najczęściej spotkać się można w tych państwach, w których został przeprowadzony rozdział od kościoła. Jest to neutralność niezmiernie życzliwa, więcej — pełna głębokiej rewerencji dla religii. W gruncie rzeczy trudno tu nawet mówić o neutralności. Co najwyżej należy przez nią rozumieć to, że Stany Zjednoczone z jednakowym szacunkiem odnoszą się do *wszystkich* wyznań, formalnie nie utożsamiając się z żadnym z nich. Amerykańska wolność religijna bardzo się różni od tej „wolności”, jaka została wypisana w konstytucji sowieckiej.

Takie ustosunkowanie się państwa do religii ma niewątpliwie głębokie i mocne oparcie w społeczeństwie. Biblia jest niezmiennie najpopularniejszą książką w Stanach Zjednoczonych. Stale zajmuje ona czołowe miejsce na listach „bestsellerów”. Jeszcze dziś w wielu hotelach amerykańskich znajdziecie jej egzemplarz na nocnym stoliku (dba o to specjalna organizacja). Jest czytana, studiowana, zawsze znajdziecie ludzi, którzy umięją ją na pamięć. Duża ilość dzieci amerykańskich uczęszcza do szkół, utrzymywanych przez związki wyznaniowe (katolickie „szkoły parafialne” itp.). Dzieci, uczęszczające do szkół publicznych, w których nie ma nauczania religii, są przez rodziców posyłane do specjalnych „szkół niedzielnych” (*Sunday schools*), gdzie uczą się zasad swego wyznania. W amerykańskiej hierarchii społecznej duchowny zajmuje bardzo poważne miejsce. Jest szanowany, choćby nawet materialnie nie miał powodzenia. Literatura religijna i dewocjonalia znajdują dla siebie doskonały rynek w Stanach Zjednoczonych (eksport dewocjonalistów do Stanów Zjednoczonych zajmuje wcale poważne miejsce w obrotach handlowych kilku krajów europejskich z Ameryką). Ilość stowarzyszeń religijnych jest fantastycznie wysoka.

Ale jednocześnie Amerykanin jest zwolennikiem pełnej swobody religijnej i całkowitego równouprawnienia wszystkich wyznań. Poczulby się głęboko zgorzonym, gdyby jakaś instytucja publiczna w czymkolwiek wyraziła swą preferencję dla jakiegoś wyznania. Uważa za rzecz naturalną zaprosić do swego kościoła duchownego innego wyznania, by wygłosił w nim kazanie. Buduje kościoły wspólne dla różnych wyznań (rzecz raczej osobliwa w oczach Europejczyka!). Tworzy organizacje międzywyznaniowe. Takie np. Konferencja Chrześcijan i Żydów czy Rada Kościołów Chrystusa (protestancko-prawosławna) stały się bardzo ważnymi ośrodkami opinii publicznej o znacznym wpływie na życie amerykańskie. Zarzut nietolerancji religijnej (*bigotry*) jest w społeczeństwie amerykańskim jednym z najcięższych zarzutów. Tak ciężkim, jak zarzut bezbożnictwa. Nietolerancja religijna i bezbożnictwo to coś przeciwnego amerykańizmowi (*un-American*), coś głęboko obrażającego amerykańskie ideały i amerykańskie wyznanie wiary (*American creed*). Wrogie postawy wobec komunizmu i hitleryzmu w dużym stopniu na tym się opierały.

Tak wygląda obraz amerykańskiego życia religijnego, jeżeli rzucimy nań pierwsze spojrzenie. Ale obraz ten okaże się znacznie mniej jasny i prosty, gdy wypadnie nam przypatrzeć się mu z bliska. Co więcej — wystąpią w nim uderzające sprzeczności, ambiwalentne treści i głębokie konflikty. Pod jasną i gładką powierzchnią kryją się nurty bardzo burzliwe.

II

Niedawno ogłoszone dane stwierdziły, że 60 procent mieszkańców Stanów Zjednoczonych jest członkami różnych „kongregacji” religijnych. Przed ostatnią wojną statystyki mówiły o 40 procentach. Lat zaś temu sto tylko 18 procent mieszkańców ówczesnych Stanów Zjednoczonych należało do różnych związków wyznaniowych („kościół”, „kongregacji” itp.). Liczby te mają mówić o ogromnym wzroście religijności w Ameryce.

Czy mówią one o tym? Mówiłyby, gdyby udział w organizacji kościelnej i religijność (przeżycie religijne i oparte na nim postępowanie) były czymś jednoznacznym. Czy jednak tak jest? Czy każdy, kto chodzi do kościoła, jest tym samym człowiekiem religijnym? To chyba wątpliwe.

Liczy, o których przed chwilą była mowa, zdają się przede wszystkim mówić o jednym — o powszechnym wzroście zamożności w Stanach Zjednoczonych. Mogą służyć za wskaźnik zachodzących zmian społecznych i ekonomicznych, ale nie wiele jeszcze świadczą o sile odczuwania religijnych.

W Stanach Zjednoczonych — poza oczywiście kościołem katolickim i prawosławiem — aby być „uznanym” członkiem jakiegoś wyznania, trzeba wstąpić do określonej „kongregacji” (protestanckiej czy synagogi żydowskiej). Ale już od samych początków kolonialnej Ameryki przynależność do „kongregacji”

była uważana za jedną z oznak tego, co jest określane jako *respectability* — to jest zdolność budzenia szacunku dla siebie w innych. Na to, by być „osobą godną szacunku” (*a respectable person*), szereg atrybutów musi się złożyć. Niektóre z nich są zmienne w zależności od warunków lokalnych. Inne są stałe. Zasadnicze miejsce wśród tych ostatnich zajmuje sukces materialny i wynikający z niego określony styl życia. W tym zaś ostatnim udział w „kongregacji” jest czymś bardzo wysoko cennym. Jest to szczególnie charakterystyczne dla małych miasteczek, mniejszych ośrodków, gdzie jednostka nie jest anonimowa, jest stała na widoku, jest poddawana ciągłym osądom opinii publicznej. Bardzo jest tam trudno zasłużyć sobie na miano *respectable*, jeżeli się nie należy do określonego wyznania.

Stały i powszechny wzrost zamożności w Stanach Zjednoczonych siłą rzeczy znacznie powiększa ilość tych wszystkich, którzy pretendują do *respectability*. We wszystkich wielkich miastach amerykańskich istnieje tendencja wśród ludzi zamożniejszych do przenoszenia się do okolic podmiejskich (*suburban areas*). Przejście do kategorii *suburbanites* jest ważnym czynnikiem podnoszenia prestiżu osobistego i *respectability*. Otóż w parze z tym idzie masowe wstępowanie do lokalnych związków wyznaniowych. Ludzie, którzy w wielkim mieście stali zdala od spraw kościelnych, w osiedlu podmiejskim uważają za konieczne zadeklarować się religijnie. „*Noblesse oblige*” — udział w „denominacji” jest jedną z cech wzniesienia się materialnego i społecznego.

Ale to samo da się powiedzieć i o mieszkańcach wielkich miast, i w ogóle o wszystkich tych, którym — bez względu na to, gdzie mieszkają — zaczyna się materialnie/dobrze powodzić. Im mniej jest *slums*, im więcej własnych domków, aut, im wyższa stopa życiowa, tym więcej tych, którzy swą chęć stania się *respectable* akcentują przez wstąpienie do „kongregacji”. Amerykanin w ogóle lubi „przynależeć” (*to belong*), lubi „przystępować” (*to join*) do jakichś szerszych zespołów. Stany Zjednoczone są krajem organizacji, związków, stowarzyszeń, klubów. Dlaczego jest tak — o tym należałoby napisać całe studium. Chęć podkreślenia czy zadokumentowania swego znaczenia, chęć wykazania swej *respectability* odgrywa w tym rolę kolosalną. A cóż pod tym względem może być lepszego, niż wstąpienie do szanowanej i uznawanej „denominacji”?

Stąd trzeba bardzo ostrożnie traktować dane statystyczne o życiu religijnym w Stanach Zjednoczonych. Niewątpliwie mówią one dużo o całej cywilizacji amerykańskiej i o tej roli społecznej, jaką instytucje wyznaniowe w niej odgrywają. Już przecież właśnie sam fakt, że udział w zorganizowanej grupie wyznaniowej jest tak istotnym czynnikiem w podkreślaniu społecznego prestiżu jednostki, mówi bardzo dużo o tej pozycji moralnej, jaką instytucje religijne zajmują w społeczności Stanów Zjednoczonych. Dane statystyczne mówią dalej o sytuacji gos-

podarczej i o przemianach społecznych. Mówią o amerykańskich systemach wartości społecznych. Nie mówią jednak o *wewnętrznym* stosunku Amerykanina do religii, nie mówią o *duchowych* przeżyciach tych milionów, które deklarują się religijnie, wstępując do związków wyznaniowych.

W tych warunkach nic dziwnego, że nieraz formalna przynależność do „kongregacji” jest ważniejsza od rzeczywistego wykonywania praktyk religijnych. *I'm not much of a churchgoer* — to wyrażenie nieraz słyszy się z ust ludzi, którzy są członkami „kongregacji” i są traktowani jako *respectable*. Dziwne wyrażenie. Trzeba je przetłumaczyć „nie często bywam w kościele”, ale bardziej dosłowne byłoby: „nie jestem wielkim bywalcem kościelnym”... Niewątpliwie na Południu i w pewnych małych osiedlach Midwestu człowiek, który bardzo dba o dobrą o nim opinię, tego nie powie. Ale na Wschodzie i nawet w Nowej Anglii wypadało mi to słyszeć z ust farmerów, ludzi bardzo czcigodnych, powszechnie szanowanych, zajmujących poważne miejsce w swych gminach. Zresztą poza tym, że nieczęsto chodzili do kościoła, byli przykładnymi członkami swych „kongregacji”.

Ludzie, którzy to mówili, nie byli niereligijnymi. Ich przynależność do określonego wyznania nie była wyłącznie sprawą konwencji społecznej, wynikającej z ich pozycji w gromadzie. I nie była tylko sprawą tradycji rodzinnych, faktu, że ich ojcowie i dziadowie należeli do tego samego wyznania. Nie, można tam było wyczuć istnienia jakiejś rzeczywistej potrzeby przeżycia religijnego. Jeden z moich rozmówców — metodysta, syn i wnuk metodystycznej rodziny — szczęście bywał w kościele starokatolickim niż we własnym. Podobało mu się tam. Przyjaźnił się z duchownym. I nie widział w tym żadnej sprzeczności ze swym oficjalnym metodyzmem. Zresztą przez wiele niedziel przepuszczał kościół — jeden i drugi. Jego religijność nie wymagała jakiejś formy konfesjonalnej, zorganizowanej. Była wybitnie indywidualna. Interesujący to wypadek — bardzo zresztą w Ameryce pospolity. I wypadnie nam jeszcze do niego powrócić.

Zasadniczo jednak przynależność do grupy wyznaniowej przenosi nas na teren konwencji społecznej. Nie zawsze i nie wyłącznie, ale najczęściej nawet tam, gdzie istnieją prawdziwe przekonania i potrzeby religijne, czynnik konwencji społecznej jest z nimi jakoś związany. Jest rzeczą wyraźną, że w Stanach Zjednoczonych panujące wartościowania społeczne widzą w udziale w społeczności religijnej jedną z postaci wykazywania prestiżu społecznego. Aby być „*respectable*” w całej pełni, nie można stać poza grupą wyznaniową.

Ale stopnie „*respectability*” są różne. Ktoś może być bardziej „*respectable*” w jednym środowisku niż w drugim. Inny jest rodzaj „*respectability*” potentata z Wall Street, a inny — małomiasteczkowego bankiera. Inaczej wygląda „*respectability*”

w eleganckim osiedlu podmiejskim, a inaczej w skromnej dzielnicy, w której ja sam mieszkam. Cała masa czynników decyduje o tej skali „godności szacunku”. Jednym z nich jest przynależność do określonego wyznania — aby być „respectable”, trzeba być członkiem jakiegoś kościoła, jakieś „kongregacji”. Tylko że są wyznania „gorsze” i „lepsz”, i nawet w obrębie tego samego wyznania mogą być „kongregacje” gorsze i lepsze. I to, do której z nich się należy, albo do której z nich zostało się przyjętym, ma znaczny wpływ na rodzaj prestiżu jednostki w jej otoczeniu.

Na ogół nawet jeszcze i dziś wyznania nie-protestanckie są niżej szacowane niż protestanckie. Chodzi tu nie tylko o stare tradycje nienawiści do „papizmu”. Choć i ich nie można sobie lekceważyć, zwłaszcza na Południu. W roku 1928 Alfred Smith — człowiek niezmiernie popularny, utalentowany, absolutnej uczciwości — przegrał wybory, bowiem był katolikiem (co prawda nie bez znaczenia były i inne motywy, zwłaszcza to, że był za odwołaniem Prohibicji). Południe nie mogło strawić „papisty”. Od tego czasu co prawda dużo się zmieniło. Ale nie ulega wątpliwości, że jedną z przeszkód na drodze ambicji McCarthy’ego było jego wyznanie. Sam wiedział, że jako katolik ma drogę do prezydentury zamkniętą.

Jednakże od tych uprzedzeń „antypapistycznych” ważniejsze są inne okoliczności. Katolicyzm jest w Ameryce czymś nowym, importowanym, związanym z wielkimi emigracjami wieku XIX i XX. Katolik, pomijając nieliczne stare rodziny, przybyłe w wieku XVII i XVIII, to Irlandczyk, Włoch, Polak, Niemiec, Litwin — w każdym razie stosunkowo świeży emigrant. A więc nowy Amerykanin, który dopiero od niedawna zaczął się wznosić do góry, który jeszcze w poprzednim pokoleniu był na dnie drabiny społecznej. I na dnie tej drabiny jest wciąż Portorykańczyk i Meksykanin i inny świeży przybysz z Ameryki Łacińskiej. A jest on z reguły katolikiem.

To samo zresztą, co o katolikach, da się powiedzieć i o Żydach. Judaizm jest też religią niedawnych emigrantów. I choć Amerykanin katolicyzm i judaizm zalicza do rzędu „major religions”, choć darzy je rewerencją i z uznaniem patrzy na ich rozwój i działalność, to przecież, jeżeli jest protestantem, traktuje je jako coś parweniuszowskiego, Ameryce obcego, amerykańizmowi niezupełnie właściwego. I dlatego w bardzo wielu okolicach Stanów Zjednoczonych — znów głównie na Południu, na Środkowym Zachodzie i w bardziej ekskluzywnych miasteczkach Nowej Anglii — wyznania katolickie i żydowskie nie dają tego stopnia „respectability”, jaki daje „rdzenny”, „prawdziwie amerykański” protestantyzm. Fakt, że w roku 1954 gubernatorem Maine został katolik (notabene polskiego pochodzenia) a gubernatorem Connecticut Żyd, zdaje się świadczyć o zmianach, jakie w tej dziedzinie zaczynają zachodzić. Jest jednak rzeczą wysoce nieprawdopodobną, by obywatele Maine i Connecticut po-

wierzyli godności gubernatorskie ludziom stojącym z dala od jakiejkolwiek grupy wyznaniowej. I nie powierzyliby ich zdeklarowanemu agnostykowi...

Ale i w obrębie protestantyzmu nie wszystko jest jednakowe. I tu da się zastanawiać to popularne na Południu powiedzenie o Murzynach, że choć „wszyscy ludzie są równi, to niektórzy są równiejsi od innych” (powiedzenie to musiał chyba znać Orwell, używając go w „Animal Farm”, ale bez podania skąd pochodzi). Są denominacje protestanckie bardziej i mniej eleganckie, dające duży prestiż społeczny i nie dające go. W tej plebejskiej cywilizacji — może właśnie dlatego że jest plebejska — rozwinął się cały skomplikowany system wartościowań społecznych, określających różne stopnie szanowności. Pewne wyznania protestanckie są więc uważane za plebejskie, gminne, nie właściwe dla ludzi „lepszych”, ludzi wyższego świata. Tak jest z baptystami i metodystami, szczególnie z „fundamentalistycznymi” odgałęzieniami jednych i drugich. Ale „elegancki” jest kościół episkopalny, eleganczy są presbiterianie i unitarianie, eleganczy są kwakrzy. Zresztą i w tym decydują okoliczności miejsca i środowiska. Na Głębokim Południu (*Deep South*), gdzie przeważa baptyzm, z pewną dozą nieufności patrzy się na episkopalnych, których posadza się i o „papizm” i o snobizm. W każdym razie na całym obszarze Stanów Zjednoczonych nie rzadkie są wypadki, że ludzie, którzy wznoszą się na drabinie majątkowo-społecznej, zmieniają wyznanie, przyjmując bardziej eleganckie. Noblesse oblige — gdy się weszło do wyższego świata, bardziej wypada chodzić do kościoła episkopalnego niż do kaplicy metodystycznej.

Z tego, że w Stanach Zjednoczonych wyznanie jest w tak znacznym stopniu sprawą konwencji społecznej, zdają sobie sprawę amerykańskie grupy kościelne. Niektóre z nich starają się z tym walczyć, inne godzą się z tym, traktując jako rzecz nieuniknioną. Jeszcze inne starają się na tym oprzeć swą działalność. Oczywiście — jak zawsze i wszędzie — wiele tu zależy i od kierownika duchownego grupy i od składu jej członków. W każdym razie, licząc się z takimi postawami społeczeństwa, wszystkie bez wyjątku amerykańskie grupy wyznaniowe starają się mieć na względzie i szersze, nie tylko ściśle religijne zainteresowania swych członków. Wnosi to do amerykańskiego życia kościelnego elementy, dla których w Starym Świecie nie łatwo dać się odnaleźć analogie.

W praktyce „kongregacja” amerykańska staje się nie tyle miejscem kultu, ile terenem i ośrodkiem daleko sięgających i różnorodnych czynności społecznych czy towarzyskich. Każdy (przede wszystkim protestancki) kościół amerykański i każda synagoga amerykańska jest miejscem, gdzie odbywają się wszelkiego rodzaju zebrania, wygłaszane są odczyty, przeprowadzane dyskusje. Jeżeli nie w samej świątyni, to koło niej i pod jej egidą, odbywają się zabawy taneczne, gry zbiorowe itp. Sło-

wem — świątynia staje się jakby klubem, domem komunalnym, świetlicą, miejscem wszelkiego rodzaju działań publicznych.

Charakter świecki tych czynności nieraz usuwa w cień fakt, że odbywają się one w siedzibie kultu. Jest rzeczą normalną, że w kościołach są organizowane zebrania i odczyty, jak najbardziej dalekie od religii. Z ust Angeliki Bałabanoff słyszałem o cyklu odczytów, które miała w szeregu kościołów i synagog w różnych miastach Ameryki. Odczyty te rozpoczynała od oświadczenia, że jest ateistką, co znów nie budziło żadnego zgorszenia (oczywiście Angelika Bałabanoff nie ubiegała się o żadne stanowisko w obrębie gromad, do których przemawiała!). Naturalnie nie wszyscy prelegenci, zabierający głos w miejscach kultu, rozpoczynają od takiego oświadczenia, ale tematy, które omawiają, nieraz stoją bardzo daleko od Boga i religii.

Jest rzeczą godną uwagi, że różne prądy ideologiczne — bardzo często nonkonformistyczne — wychodzą ze środowisk kościelnych i są kierowane przez duchownych. Ongiś „aboliconizm” miał silne oparcie w wielu kościołach i duchowni należeli do czołowych jego szermierzy. Prawie każdy późniejszy prąd ideowy w Ameryce miał jakieś bliskie związki z kołami kościelnymi. Tak było z Prohibicją i tak było z reformizmem społecznym. A w naszych czasach nawet komunizm trafił do pewnych kół protestanckiego duchowieństwa.

To, że „kongregacja” amerykańska ma tak szerokie zadania społeczne, musiało mieć znaczny wpływ i na ukształtowanie się jej kierowników duchownych. Wśród amerykańskich duszpasterzy typy ascetyczne nie należą do częstych. Natomiast pospolitym zda się być typ człowieka praktycznego działania, dobrego organizatora, sprężystego i pełnego inicjatywy „managera”. Systemy wychowawcze amerykańskich zakładów kształcenia duchownych kładą szczególny nacisk na wyrabianie tych uzdolnień organizatorskich i kierowniczych. Rozmawiając z duchownymi różnych wyznań, nie mogłem się nieraz uwalnić od wrażenia, że mam przed sobą dzielnych „managerów”, organizatorów, ludzi, których cała uwaga była skierowana na rozwiązywanie praktycznych zagadnień.

Nie wynika z tego, by ludzie ci mieli być złymi duszypasterzami. Większość ich została duchownymi ze szczerego przekonania. Byli oddani swej wierze. Starali się jak najlepiej służyć Bogu. Ale byli Amerykanami i żyli w Ameryce. Dla nich służba Bogu przybierała przede wszystkim postać szerokiej działalności praktycznej. I, nie będąc zasadniczo różnymi od swej trzódki, mniej lub więcej świadomie przyjmowali jako rzecz oczywistą wszystkie konwencje społeczne, związane z wyznaniem. Z wyjątkiem katolików, każdy z nich uważał za rzecz niewłaściwą przeciąganie wiernych z innych wyznań do własnego. Ale byli zadowoleni, jeżeli zgłaszali się do nich prozelici, których cechowała „respectability”. I prawie każdy z nich z zadowoleniem podkreślał, że wśród swych wiernych ma ludzi, którzy są „re-

spectable”, i że to dużo mówi o prestiżu całego wyznania. Mówił mi o tym nawet głowa kościoła starokatolickiego w Ameryce, grupy miniaturowej, mało znanej i właściwie marginesowej.

Wszyscy też ci duchowni utrzymywali jak najlepsze stosunki z kolegami z innych wyznań. Duchowni protestanccy jednych „denominacji” zapraszali do swych świątyń kaznodziejów innych wyznań, włączając w to żydowskich rabinów. (Zapraszali by i księży katolickich, gdyby to było możliwe.) I odwrotnie, sami wygłaszali kazania w obcokonfesyjnych kościołach i synagogach. Brali udział w różnych organizacjach i imprezach ogólnowyznaniowych. W niektórych z nich działali również i księża katoliccy. W wielu miejscowościach Stanów Zjednoczonych istnieją świątynie wielowyznaniowe — urządzenie wysoce praktyczne w małych osiedlach, gdzie żadna z grup wyznaniowych nie jest na tyle liczna, by móc sobie pozwolić na własny przybytek służby bożej. Ale świątynie takie istnieją i w wielu ludnych ośrodkach miejskich, gdzie — zdawałoby się — takie względy utylitarne nie powinny wchodzić w rachubę. I nie o nie też tu chodzi. Świątynie takie są tu wznoszone dla zaznaczenia braterstwa wszystkich wyznań, wspólnoty ich podstawowych dążeń i celów. Że w praktyce oznacza to podporządkowanie celów religijnych celom praktyczno-społecznym, że prowadzi do zatarcia się sakralnego oblicza miejsca kultu — nad tym mało kto się zastanawia.

III

Byłoby jednak szalonym błędem sprowadzać całość amerykańskiego życia religijnego do wąskich ramek konwencji społecznych. Byłby to taki sam błąd, jak ocenianie siły przeżyć religijnych na podstawie statystyk członkostwa w „kongregacjach”, czy na podstawie nieuczestniczenia w praktykach religijnych. Albowiem nawet traktowanie religii jako konwencji społecznej nie koniecznie wyłącza fakt istnienia przeżyć, wzruszeń i potrzeb religijnych. Jeżeli zaczęliśmy nasze rozważania od konwencyonalnej strony amerykańskiego życia religijnego, to nie wynika stąd, by życie to tylko do niej się sprowadzało. Konwencja społeczna jest tylko jednym z jego biegunów. Drugim biegunem jest szczerze i mocno odczuwane indywidualne i zbiorowe przeżycie religijne. A pośrodku istnieje cała gama postaw i odczuwań, w których konwencja i przeżycie splatają się ze sobą tak, że nieraz trudno je oddzielić od siebie.

Ażeby jednak przejść do tego drugiego bieguna, musimy zatrzymać się przy pewnych ogólniejszych cechach amerykańskiego życia religijnego, cechach, które są wyraźnie związane i z przeszłością Ameryki i z całym obliczem cywilizacji amerykańskiej.

Jest to kraj protestancki. Prawda że katolicy stanowią tu najliczniejszą spośród poszczególnych grup wyznaniowych.



Prawda że rola kościoła katolickiego jest tu bardzo duża i że stale rośnie. Prawda że poza katolicyzmem jest tu cały szereg ważnych grup wyznaniowych nieprotestanckich, żeby tylko wymienić judaizm i prawosławie. W całości jednak przeważa protestantyzm.

I to nie tylko dlatego, że „denominacje” protestanckie razem wzięte reprezentują tu większość ludności, lub że całe połacie kraju — zwłaszcza na Południu — są w swej przeważającej większości protestanckie. Ważniejszy jest cały klimat kraju, jego tradycje, wkład, jaki protestantyzm wniósł w cywilizację Stanów Zjednoczonych. Wszystkie inne wyznania to stosunkowo późni przybysze. Prawda że katolicyzm istniał już w kolonialnej Ameryce, głównie jednak tam, gdzie sięgały wpływy Hiszpanii i Francji. Ale były to skrawki (choć terenowo nieraz bardzo obszerne), były to rejony marginesowe, o małym wpływie na atmosferę duchową kraju.

Podwaliny kraju zakładali protestanci. Protestantami byli „Pielgrzymi” z „Mayflower” i pierwsi osadnicy Virginii. Protestantami byli „Pionierzy”, „Pogranicza” i protestantami byli „Ojcowie” Konstytucji. Wśród tych ostatnich byli i oświeceni racjoniści wieku XVIII — ludzie typu Jeffersona. Ale masom, którym oni przewodzili, filozofia jeffersonowska była obca. Na olbrzymią większość tych mas składali się przedstawiciele różnych sekt i podsekt, nieraz fanatycznych i dalekich od oświeconego racjonalizmu. Ludzie ci zasady swe, które traktowali nadzwyczaj poważnie, starali się wprowadzać w życie. W wieku XVII purytanie budowali Massachusetts i tworzyli tam teokrację, jedną z najbardziej bezwzględnych i nietolerancyjnych ze wszystkich, jakie znane były dziejom. Rządy te w końcu doprowadziły do rewolty żywiołów nonkonformistycznych, czego następstwem było utworzenie się stanów Rhode Island i Connecticut.

Ale nie tylko purytanie w Massachusetts i nonkonformiści w Rhode Island zakładali podwaliny Ameryki. Kwakrzy nie bez słuszności patrzą na Filadelfię jako na swoje dzieło. Utah — już w wieku XIX — było tworzone przez Mormonów. Fundamentalistyczna ortodoksja baptyzmu i pewnych odcieni metodyzmu wycisnęła wyraźne piętno na całym życiu „Głębokiego” Południa.

Ten protestantyzm, który budował Stany Zjednoczone, był przede wszystkim protestantyzmem nonkonformistycznym. Inna rzecz, że w swym nonkonformizmie nieraz dochodził — jak to było w Massachusetts — do krańcowego konformizmu i nietolerancji. Zjawisko bynajmniej nie rzadkie w historii! Ale, pomijając te ekstrawagancje, był to najczęściej nonkonformizm szczerzy, bardzo radykalny i otwierający pole dla skrajnego indywidualizmu. I nawet najbardziej fundamentalistyczne i rygorystyczne jego formy stwarzały możliwości dla indywidualnego szukania drogi do zbawienia. To z kolei prowadziło do kolosalne-

go rozdrobnienia organizacyjnego, do atomizacji życia religijnego gromad ludzkich. Mnożyły się sekty i podsekty, i ciągle się mnożą. Żadna statystyka nie potrafi powiedzieć, ile w tej chwili istnieje w Stanach Zjednoczonych grup wyznaniowych. Bo przecież w obrębie tej samej „denominacji” istnieją odchylenia — nieraz ściśle lokalne, niekiedy ogólnokrajowe. Taka mała grupa jak na przykład Mennonici rozpada się na dwa kościoły, a może — i na więcej! W wielu wypadkach jakaś „kongregacja” wprowadza innowacje dogmatyczne czy obrzędowe i staje się nowym, samodzielnym „kościołem”. Trudno wyliczyć i opisać te wszystkie niesamowite sekty, które tu się mnożą jak grzyby po deszczu. Niektóre z nich to dziwaczna mieszanina pseudomistycyzmu, erotyzmu i zwykłego kryminału. Są takie, które swym wodzom czy prorokom przypisują atrybuty boskości. Żeby tylko wymienić kult „Father Divine”! Gore Vidal w swej powieści „Messiah” trafnie uchwycił pewne właściwości tych ekstrawagancji amerykańskiego sekciarstwa.

Oczywiście ekstrawagancje te są tylko skrajnymi i niejako patologicznymi następstwami nonkonformistycznego indywidualizmu protestanckiego. Ale i bez nich indywidualizm ten wyraża się w nieprawdopodobnej mnogości sekt, w tym pluralizmie religijnym, jaki nigdzie (nawet w Anglii) nie ma sobie podobnego.

Taki pluralizm mógłby prowadzić do zupełnej anarchii i to nie tylko w życiu religijnym. W innych epokach i w innych krajach prowadziły on do poważnych wstrząsów politycznych i społecznych. Nie doprowadził do nich w Stanach Zjednoczonych. Walk religijnych nigdy tu nie było. W dużym stopniu było tak dzięki zasadom prawnym, stwarzającym pełny rewerencji dystans między państwem a wyznaniem. Ale ważniejsze były inne powody.

Zasada, że każdy na swój sposób może szukać zbawienia, zasada na wskroś protestancka i nonkonformistyczna, miała tu podstawowe znaczenie. Jeżeli z jednej strony była ona bodźcem do atomizacji religijnej, to z drugiej sprzyjała rozwojowi tolerancji religijnej. Uznawała, że ci, którzy wierzą i praktykują inaczej niż my, mogą jednak na swój sposób iść po drodze do zbawienia. Nie widziano w tym sprzeczności z purytańską nauką o predestynacji. Istotnym było zachowywać się tak, jak gdyby się miało być zbawionym. Natomiast podrzędną rzeczą były formy obrzędowe i nawet dogmatyczne, na które tacy ludzie powoływali się w swym zachowaniu się.

Dość też wcześniej w Ameryce rozwinęło się przekonanie, że zbawienie może być osiągnięte *poza* kościołem. Trudno tu mówić o jakiejś koncepcji teologicznej, raczej należy mówić o pewnej postaci praktycznego zachowywania się, o popularnym przeświadczeniu, które stopniowo zdobywało sobie coraz większy posłuch. Dla osiągnięcia zbawienia nie jest koniecznym warunkiem uczestniczenie w praktykach określonego zespołu religijnego. Zbawionym można być bez względu na to, jakiego się jest

wyznania, i choćby się nie brało czynnego i systematycznego udziału w praktykach religijnych. Słowem — człowiek, który o sobie mówi: *I'm not much of a churchgoer*, ma też otwartą drogę do zbawienia.

Przeświadczenie to, które nie pozostało bez wpływu nawet na pewne środowiska katolickie i prawosławne, miało daleko idące konsekwencje. Niewątpliwie sprzyjało rozwojowi postaw tolerancji religijnej. Zarazem jednak prowadziło do eklektyzmu religijnego i do indyferentyzmu wobec „kościół” jako uznanych instytucji kultu. W parze z tym musiało iść wyjałowienie życia religijnego, obojętność i konwencjonalizm. „Kongregacja” coraz mniej stawała się ośrodkiem głębszego przeżycia religijnego, a coraz bardziej — konwencją społeczną, jedną z wielu form uczestniczenia w życiu szerszej zbiorowości.

IV

Na kilka lat przed wojną toczyła się w Polsce dyskusja na temat pasywnego i aktywnego katolicyzmu. Przez pierwszy rozumiano udział w religijnych instytucjach i obrzędach, który mógł być traktowany bardzo poważnie, ale jako obowiązek czy nawyk, wykonywany bez głębszego zrozumienia czy przeżycia. Przy czym raczej, na których obowiązek ten się opierał, mogły być natury pozareligijnej, na przykład — patriotycznej. Przez drugi rozumiano „integralny” stosunek do religii, jej obrzędów i instytucji, jako przenikających całe życie człowieka i wyznaczających jego postępowanie. Religia przestaje tu być czymś oddzielnym od innych dziedzin życia — przeciwnie, jest ich ośrodkiem, promieniującym na wszystkie jego peryferie.

Wspomnienie tej dyskusji może się nasunąć przy obserwowaniu zjawisk amerykańskiego życia religijnego. Oczywiście i tu — jak zawsze i wszędzie — trzeba być bardzo ostrożnym z analogiami. I trzeba unikać lekkomyślnych generalizacji. Zwłaszcza gdy chodzi o kraj tak różny od Polski jak Stany Zjednoczone. Niemniej jednak przypomnienie w tym miejscu tej polskiej przedwojennej dyskusji może być przydatne choćby jako materiał ilustracyjny.

Jednym z mierników aktywności religijnej — choć nie jedynym — mogą być pewne punkty szczytowe doznań religijnych, wyrażone w niezwykłych jednostkach lub w pewnych działaniach zbiorowych. Zauważmy, że amerykański katolicyzm nie wydał jak dotąd ani jednego świętego. Bo przecież Matkę Cabrinę trudno uważać za Amerykankę. Piękna to była postać, ale ostatecznie Jej związek z Ameryką był krótkotrwały i raczej dość przypadkowy. Jej świątobliwość i całe Jej życie nie były owocem amerykańskiego katolicyzmu. Innych świętych, których by choćby od biedy można uznać za amerykańskich, dotąd nie ma. Prawda że amerykański katolicyzm jest stosunkowo młody.

Nie jest jednak tak młody, by nie móc wydać ludzi godnych kanonizacji.

Nie należy sobie lekceważyć amerykańskiej myśli katolickiej. Są tu bardzo poważne ośrodki teologiczne i filozoficzne. Dość wymienić St. Bonaventure. Ale w tej masie katolickich uniwersytetów, centrów badań, instytutów i bibliotek — St. Bonaventure i kilka podobnych ośrodków tak górują, że zdają się być czymś wyjątkowym i odosobnionym. Amerykańska teologia katolicka wydała stosunkowo mało wybitnych myślicieli i dzieł.

Nie lepiej jest z teologią protestancką. A bodaj jeszcze gorzej. I tu kolosalna ilość uniwersytetów, instytutów i bibliotek. I tu olbrzymia praca kompilatorska, archiwalna, wydawnicza. Ale oryginalnych myślicieli w rodzaju Niebuhra bardzo mało. I nie wiele naprawdę wybitnych dzieł.

To samo da się powiedzieć i o amerykańskim judaizmie. Znow szereg uniwersytetów, instytutów i bibliotek. Znow duża produktywność kompilatorska, archiwalna i wydawnicza. I znow skromne wyniki, gdy chodzi o rozwój twórczej myśli religijnej.

Ma się wrażenie, że we wszystkich tych trzech „wielkich” wyznaniach praktyczna działalność dnia pochłania najwięcej wysiłków, że sprawy organizacyjne usuwają na plan dalszy sprawy świętości i oryginalną twórczość myśli.

Wszystko to zdaje się przemawiać na rzecz tezy, że religijność amerykańska nie jest ani zbyt głęboka, ani zbyt intelektualna, że jest bardziej pasywna niż aktywna. Jest to raczej religijność ludowa — tradycyjna, konwencjonalna, religijność, której obce są ciężkie zmagania duszne i męki bolesnych rozważań.

Ale — znow ostrożnie z uogólnieniami. Albowiem jest w tym wszystkim jakaś zdolność do intensywnego przeżycia religijnego. I — dalej — jest jakaś potrzeba takiego przeżycia.

O tym zdaje się szczególnie żywo świadczyć amerykańskie sekciarstwo. O sekciarstwie tym była mowa poprzednio, przy czym była wzmianka i o jego ekstrawagancjach. Do sprawy tej wypadnie nam jeszcze powrócić. W Europie, mówiąc o ekstrawagancjach amerykańskiego sekciarstwa, ma się przede wszystkim na myśli Mormonów. Rozgłos swój w Starym Świecie zawdzięczają oni w dużym stopniu temu, co o nich pisał Sir Arthur Conan Doyle w swym „A Study in Scarlet”. Ale Sir Arthur i w tym wypadku nie był dobrym znawcą stosunków amerykańskich. W rzeczywistości ta raczej eklektyczna w swej teologii sekta w żadnym wypadku nie może służyć za przykład skrajnej ekstrawagancji. Jest to grupa ilościowo dość poważna, utrzymuje wcale niezły uniwersytet i ma w Ameryce aureolę „respectability”. Mormoni są bogaci, solidni, mają wpływy i to nie tylko w Utah, a poligamię zarzucili i w praktyce nie wiele się różnią od innych odcieni purytanizmu. W każdym zaś razie

są wzorem rozsądku, jeżeli się ich porówna na przykład z „Christian Science” — inną sektą, jeszcze liczniejszą, niemniej wpływową, niemniej „respectable”. To, że sekta ta może wydawać „Christian Science Monitor” — niewątpliwie najpoważniejszy dziennik amerykański — jest jedną z największych osobliwości Stanów Zjednoczonych. „Monitor” jest pismem dla intelektualistów, jest pismem niezależnym i odważnym, choć zgodnie z doktryną swego wyznania nigdy nie podaje wyraźnie, że ktoś umarł, ale wiadomość taką parafrazuje. Śmierć bowiem jest grzechem i dowodem upadku człowieka.

Ale i „Christian Science” — ta fantastyczna mieszanina pseudoteologii i szarlatańskiej pseudomedycyny — jest wciąż jeszcze daleka od szczytu ekstrawagancji amerykańskiego sekciarstwa. Jest czymś „intelektualnym”, próbuje racjonalizować, jest zwrócona głównie w stronę ludzi bardziej wykształconych. Te szczyty ekstrawagancji zaczynają się dopiero w rojowisku małych sekt, różnych orientalnych czy pseudoorientalnych kultów, których świątynie spotkacie wszędzie, zwłaszcza w Kalifornii i w większych miastach Wschodniego Wybrzeża. Nie ustępują im małe sekty protestanckie, szczególnie rozpowszechnione na Południu i Środkowym Zachodzie. Duża ich część to sekty ludowe, produkty swoistej mistyki baptystycznej czy metodystycznej. Często spotkać je można wśród Murzynów, jak ów kult „Father Divine”, który zresztą ma swych adeptów i wśród białych. Natomiast różne kultury „orientalne” cieszą się wielkim powodzeniem w świecie ludzi zamożnych i bardziej wykształconych, snobów i dam z towarzystwa. Wszystko to razem stanowi osobliwą kombinację prymitywnej mistyki, prymitywnej medycyny i pseudoracjonalizmu. Oczywiście momenty seksualne odgrywają w tym bardzo poważną rolę. Owe słynne „revivals” nieraz przybierają postać masowego szaleństwa, jakiejś zbiorowej ekstazy, hysterii, prowadzącej do wszelkiego rodzaju ekscesów. Jest w tym coś z „voodoo” czy innych magicznych praktyk cywilizacji pierwotnych. I nie trzeba sądzić, że „revivals” są pospolite tylko wśród Murzynów. Nic podobnego! Są one niemniej popularne wśród białych...

Te ekstrawagancje amerykańskiego sekciarstwa mogą nas śmieszyć czy przerażać. Nie powinny jednak przesłaniać zasadniczego faktu: choć zwyrodniałe i dziwaczne, są one przecież jakimś wypowiedzeniem się uczuć religijnych, są świadectwem, że uczucia te istnieją, że są bardzo intensywne, że jest jakiś głód duchowy. I nie jest to już tylko religijność pasywna, odświętna, konwencjonalna. Ludzie, którzy w takich ekstrawagancjach „otrzymują religię” (jest takie wyrażenie — *to get religion*), szukają czegoś, mają potrzebę religijnego przeżycia, są ludźmi religijnymi. Religijność to osobliwa, często prymitywna, często wykoślawiona. Ale jest to jakaś religijność, nieraz bardzo intensywna i świadcząca o istnieniu potrzeby religijnego przeżycia.

Nie wynika stąd, by religijność ta miała stać w sprzeczności z konwencjonalnym traktowaniem instytucji i obrzędów kościelnych. Przeciwnie — jedno i drugie mogą iść ze sobą w parze. Dla całej masy ludzi, przystępujących do różnych sekt i uczestniczących w najbardziej dziwacznych „revivals”, obowiązkiem, wynikającym z „respectability”, jest udział w uznanych organizacjach kościelnych i w ich praktykach. Ale z przyjętymi konwencjami społecznymi współistnieją dla nich jeszcze i inne treści, bardziej bezpośrednie i osobiste. I dlatego mogą oni być jednocześnie członkami jakiejś „uznanej” grupy religijnej i uczestnikami praktyk sekciarskich, z grupą tą nie związanych i nawet przeciwnych jej przekonaniom. Jedno jest uczynieniem zadość wymaganiom konwencji społecznej, drugie jest potrzebą duszy. I zazwyczaj nie dochodzi tu do jakiegoś konfliktu wewnętrznego — sprzeczność nie jest uświadamiana.

Jest to możliwe dzięki luźności dogmatycznej i organizacyjnej protestantyzmu, dzięki teorii o możliwości zbawienia poza kościołem i dzięki tej specyficznej atmosferze, jaka cechuje całe życie amerykańskie. Jeżeli religia jest konwencją, to zarazem jest ona i sprawą indywidualną, ściśle osobistą, pozostawioną sumieniu jednostki.

Jeżeli więc jednym biegunem amerykańskiego życia religijnego jest konwencja społeczna, to drugim jest potrzeba duchowa jednostki, szukającej jakiejś odpowiedzi na męczące ją problemy. Oczywiście są ludzie, dla których religia jest wyłącznie czy głównie konwencją. I są ludzie, którzy zachowują zupełną obojętność wobec tej konwencji i zarazem nie odczuwają indywidualnych udręk dusznych. I są ludzie, dla których tylko te ostatnie coś znaczą. A wreszcie są ludzie — takich zapewne jest najwięcej — dla których konwencja i potrzeba duchowa splatają się ze sobą, nieraz powodując konflikty wewnętrzne, nieraz do nich nie doprowadzając.

V

Nie jest rzeczą przypadkową, że William James był Amerykaninem. Tylko na tle Ameryki może być w pełni zrozumiana jego filozofia religijnego doświadczenia. W istocie swej była to próba uzasadnienia i zracjonalizowania przeżycia religijnego w świecie amerykańskim. Całkowicie wyrastając z amerykańskiego protestantyzmu, James starał się uzasadnić zarówno sam fakt religijnego doznania jak i swobodę jego indywidualnego wypowiedzenia się. Zarazem jednak uzasadnienie to racjonalizowało i społeczno-konwencjonalne oblicze zjawisk religijnych, niejako sankcjonując je czy uprawniając.

Filozofia James'a ułatwia nam zrozumienie tych dwóch krańców czy biegunów, między którymi rozwija się życie religijne Amerykanina. Z jednej strony jest konwencją społeczną — konformistyczną, narzuconą przez opinię publiczną, przez oby-

czaj, przez uczestnictwo w szerszej społeczności ludzkiej. Konwencja taka rozwija się w atmosferze małych miasteczek, ekskluzywnych grup lokalnych z ich dominującym poczuciem „respectability”. Z drugiej zaś strony jest potrzebą indywidualnego przeżycia — dysydencką, wynikającą z osamotnienia jednostki, z jej konfliktów wewnętrznych, z poszukiwań odpowiedzi na zasadnicze pytania duszy. Istnienie tych dwóch krańców samo przez się może być źródłem głębokich konfliktów wewnętrznych. Konflikty takie rzeczywiście istnieją, choć nie zawsze są w pełni uświadamiane i tragicznie odczuwane. To, że często nie są tak odczuwane, wiąże się z „pasywnością” życia religijnego, z jego podporządkowaniem konwencjiom społecznym, z obojętnością ogółu wobec tego rodzaju trudności duchowych. Gdy jednak konflikty takie są uświadamiane i przeżywane, prowadzą one nieraz do głębokich zakłóceń moralnych, do ucieczki od życia, do neuroz i zaburzeń psychopatologicznych. W szczęśliwych wypadkach mogą one doprowadzić do prawdziwego „odnalezienia się” religijnego, dającego równowagę wewnętrzną i silną postawę moralną.

Sytuacja jest skomplikowana przez zasadnicze cechy cywilizacji amerykańskiej. Jest to cywilizacja protestancka i plebejska. Plebejskim jest amerykański protestantyzm z jego konwencjami i z rolą, jaką w nim odgrywają baptyzm i metodyzm. A to z kolei ma swój wpływ i na inne religie — na amerykański katolicyzm i judaizm. Specjalnie gdy chodzi o katolicyzm, to trzeba pamiętać, że korzeniami swymi tkwi on w Irlandii. A katolicyzm irlandzki był pod silnymi wpływami jansenizmu, który oddziaływaniem swym sięgał nawet do wierzeń ludowych. Na gruncie amerykańskim irlandzki jansenizm mógł znaleźć punkty styczności z kalwinizmem i z jego tutejszymi odgałęzieniami.

Ale ważniejsze są zasadnicze trudności i konflikty, jakie zawarte są w samym rozwoju cywilizacji amerykańskiej. W formie lapidarnej tak można by scharakteryzować jej wyniki: Amerykanin jest chłopem (obojętne, czy nim kiedyś w rzeczywistości był, i obojętne, ile pokoleń temu przestał nim być), który zbudował sobie kolosalne industrialne miasto i zamieszkał w nim. Nie czuje się w nim dobrze. Jest z niego bardzo dumny, stara się na każdym kroku wykazywać, jak bardzo jest w nim szczęśliwy. Ale naprawdę nim nie jest. Stąd głęboki konflikt wewnętrzny, który odbija się na wszystkich dziedzinach życia amerykańskiego, a zwłaszcza na życiu religijnym.

Każda cywilizacja już przez sam fakt, że narzuca człowiekowi określone ramy — niezawsze z nim zgodne — tworzy sprzeczności i powoduje nieskończone konflikty wewnętrzne. W najwyższym stopniu odnosi się to do współczesnych cywilizacji industrialnych z ich niezliczonymi a sprzecznymi presjami na jednostkę, z ich płynnymi i ciągle przekształcającymi się systemami wartości, z ich szalonym postępem technologicznym, za którym jednostka nie może nadążyć. Są to zjawiska po-

wszechne, nie tylko amerykańskie. Ale w Ameryce są one szczególnie potężne i konflikty, które one rodzą, są szczególnie zastrzone i dramatyczne.

Postaramy się to zilustrować przy pomocy kilku przykładów. To, co się mówi o amerykańskim idealizmie czy o ideałach amerykańskości, nie jest pustym frazesem. Istnieje amerykańskie Wyznanie Wiary, traktowane przez społeczeństwo bardzo poważnie. Jest ono zawarte w Deklaracji Niepodległości, w Bill of Rights, w tradycjach wielu wyznań protestanckich. To amerykańskie Credo jest czymś żywym. Głoszą je, przekazują i utwierdzają wszystkie instytucje oddziaływania zbiorowego: kościoły, szkoła, prasa, literatura. Jego punktem centralnym jest owo słynne zdanie jeffersonowskiej Deklaracji Niepodległości: „Uważamy za prawdy oczywiste, że wszyscy ludzie są stworzeni równymi, że są przez Stwórcę obdarzeni pewnymi prawami przyrodzonymi, i że wśród tych praw jest prawo do życia, prawo do wolności i prawo dążenia do szczęścia”. Nigdzie chyba na świecie istota demokracji nie została wyrażona lepiej, niż w tym dokumencie amerykańskim.

Zdanie to jest znane każdemu Amerykaninowi i nie jest to dla niego tylko czcza formułka czy odświeżona deklaracja, którą się posługujemy, nie biorąc jej głęboko do serca. A jednak ten sam Amerykanin, szczerze wierzący w prawdę swego Credo, codziennie od niego odchodzi. Odchodzi od niego Południowiec, który z całą pasją stara się zatrzymać Murzyna w ramach kastowego ghetta. Czy dla tego Południowca słowa Jeffersona są tylko pustą formułą? Czy też może odejście od wielkiej zasady jest dla Południowca dowodem słabości człowieka, grzechem nierozdzielnie związanym z naturą ludzką? Gunnar Myrdal w swej kapitalnej książce o sprawie murzyńskiej w Stanach Zjednoczonych („An American Dilemma”) sądzi, że Amerykanin jest świadomy tej sprzeczności i że jest z tego powodu nieszczęśliwy. Problem murzyński stał się w Stanach Zjednoczonych — wszędzie, na Południu i na Północy — bolesnym rozdzwieniem między „amerykańskim wyznaniem wiary” a rzeczywistością. Rozdzwięk ten inaczej wygląda na Południu, gdzie system kastowy jest przestrzegany i gdzie szuka się dla niego różnych racjonalizacji (różnice rasowe, Biblia, „ludzie są równi, ale jedni z nich są bardziej równi niż inni”), i inaczej na Północy, gdzie system kastowy zaznacza się bez porównania słabiej, konflikt jest mniej ostry i racjonalizacje — przynajmniej w zasadzie — są odrzucane. Niemniej rozdzwięk ten, będąc głębokim konfliktem moralnym i powodując bolesne rozdwojenie psychiczne, jest trudny do przezwyciężenia i jest dramatycznie (nawet histerycznie) odczuwany przez wszystkie strony — Północ i Południe, białych i czarnych.

Albo inny przykład. Amerykanin jest optymistą. Cała cywilizacja amerykańska jest przepojona duchem optymizmu. Ameryka była i jest sukcesem. Czyż można wątpić, że i nadal tym

sukcesem będzie? Ale w parze z tą wiarą w przyszłość idzie to, co się określa jako *feeling of insecurity* — poczucie braku pewności. Przy całym swym optymizmie, przy całej swej wierze, że jutro będzie lepsze od wczoraj i dzisiaj, Amerykanin nie jest pewny tego jutra. Stałe poczucie niepewności — oto z mora, która go gnębi.

Jest tak przede wszystkim (choć bynajmniej nie wyłącznie) w sferze ekonomicznej. Katastrofa roku 1929 i lat następnych zostawiła głęboki ślad w umysłowości amerykańskiej. Prawda że po niej przyszedł długie lata boomu i dobrobytu. Ale nie usunęły one poczucia niepewności. Tyczy się to w najwyższym stopniu życia indywidualnego. Amerykanin jest optymistą, gdy chodzi o przyszłość Ameryki, ale jest pełen niepewności, gdy chodzi o własną jego przyszłość.

Ma dziś pracę i dobrze zarabia. Ale czy tak będzie jutro? Jeżeli jest małym businessmanem, wie, jak łatwo jest stracić własny warsztat pracy. I wie o tym każdy mniejszy farmer. A nawet robotnik, stosunkowo najlepiej zabezpieczony, musi myśleć o dniach bezrobocia. I zarówno mały businessman jak farmer i robotnik muszą myśleć o starości. Co będzie, gdy się zestarzeje? Prawda że dziś działają już różne formy zabezpieczenia na starość. Ale są one nie wystarczające. Co będzie ze mną, gdy będę niezdolny do pracy? Liczyć na dzieci? — Iluż ludzi w Ameryce może na nie liczyć! Więź rodzinna w Stanach Zjednoczonych jest słaba i coraz słabsza. Słabnie ona nawet w środowiskach świeżych emigrantów. Jedynie Włosi i polniekąd Żydzi ją mocniej utrzymują, ale w innych grupach jest ona w stanie wyraźnego rozpadu. Dzieci mają własne życie, własne troski i obawy.

Nie jest rzeczą przypadkową, że w Stanach Zjednoczonych mógł na taką skalę rozwinąć się przemysł ubezpieczeniowy. Amerykanin ubezpiecza się na wszelkie możliwe sposoby, na wszelkie możliwe wypadki. Jeżeli mówi się o pewnych krajach, że człowiek składa się tam z ciała, duszy i paszportu, to o Amerykaninie można by powiedzieć, że składa się z ciała, duszy, książeczki czekowej oraz kompletu wszelkiego typu polis ubezpieczeniowych. Z tym zapewne związany jest i ten prestiż społeczny, jakim w Stanach Zjednoczonych cieszą się agenci ubezpieczeniowi i w ogóle ludzie związani z tym działem ekonomiki amerykańskiej. Wielcy potentaci-ubezpieczeniowcy zajmują czołowe miejsca w świecie businessu i posiadają wielki autorytet poza nim.

Ale poczucie niepewności nie tylko jest związane z obawą braku zabezpieczenia materialnego. W świecie, w którym stosunki międzyludzkie są płynne i przypadkowe, w którym wartości ciągle się zmieniają, jednostka stale czuje się niepewna. Czy żona moja jutro mnie nie opuści? Czy z tego lub innego powodu przyjaciele moi ode mnie się nie odwrócą? Na kogo mam liczyć? Kto i co mnie nie zawiedzie? W wielkich miastach

ten rodzaj niepewności jest szczególnie uciążliwy. Jednostka czuje się tu samotna i dlatego niepewna.

O rozmiarach tego zagadnienia najlepiej mówi fantastyczny rozwój literatury poświęconej „spokojowi ducha” (*peace of mind*). Można by wielką bibliotekę ułożyć z książek tego rodzaju. Nakłady ich są kolosalne, niektóre wychodzą w dziesiątkach wydań. Pomijając nieliczne wyjątki, olbrzymia ich większość reprezentuje postać banalnego, nawet — prymitywnego poradnictwa duchowego czy psychologicznego. Co masz robić, by uwolnić się od troski, od poczucia niepewności, by zdobyć wiarę w siebie i w życie? Jest coś wysoce wulgarnego i szarlatańskiego w tej literaturze. A jednak masy czytelników rzucają się na nią, pochłaniają banały i bzdury, które ona im podaje, próbując kierować się jej wskazaniem. W każdym razie literatura ta jest niezmiernie cennym materiałem dla zrozumienia trosk i konfliktów ludzi wielkiego społeczeństwa współczesnego.

Słowem — mamy tu stały i męczący konflikt między wiarą i rzeczywistością, między optymizmem i niepewnością. Konflikt ten nie jest wyłącznie udziałem cywilizacji amerykańskiej. Podobne zjawisko istnieje we wszystkich innych współczesnych cywilizacjach industrialnych. Ale specyficzne właściwości cywilizacji amerykańskiej czynią, że konflikty tego typu są wyjątkowo liczne, ostre i dramatyczne. Doprowadziły one do rozdzielenia psychicznego. Żyją tu ludzie „rozdwojonej osobowości” (*split personality*), żyjący równocześnie różnymi życiami, niesharmonizowani wewnętrznie, w ciągłych konfliktach moralnych, targani nieustannymi sprzecznościami. I bodaj nie będzie przesadą, jeżeli cywilizację, w której żyjemy, nazwiemy cywilizacją schizofreniczną.

VI

To „rozdwojenie osobowości” człowieka współczesnego i Amerykanina w pierwszym rzędzie przywodzi nas z powrotem do zagadnień życia religijnego. Czy i w jakim stopniu Amerykanin w religii szuka rozwiązania swych sprzeczności wewnętrznych?

Nie ulega wątpliwości, że ich tam szuka. Tym się tłumaczy uderzający wzrost katolicyzmu, zwłaszcza w środowiskach inteligentnych, i tym — z drugiej strony — tłumaczy się stały rozkwit sekciarstwa. W jakim jednak stopniu amerykańskie instytucje religijne i ich duszpasterze potrafią sprostać tym zadaniom terapeutycznym?

Jestem głęboko przekonany, że amerykański protestantyzm okazuje się tu zupełnie bezsilny. Nie oznacza to, by duchowni wyznań protestanckich nie byli świadomi problemów, które przed nimi stają. Bardzo wielu dobrze je rozumie. Dzieła Freuda stają się podstawową lekturą dla wielu duchownych protestanckich.

Rzecz jednak jest w tym, że protestantyzm amerykański sam przez się stoi pod znakiem tych konfliktów, jakie znamionują całą cywilizację amerykańską. Co więcej — historycznie rzecz biorąc — sam przyczynił się do zaostrzenia niejednego z nich. Purytanie zawsze i wszędzie był doskonałą odżywką dla wszelkiego rodzaju neuroz. Indywidualizm protestancki prowadził do psychicznego osamotnienia człowieka. A równocześnie konwencjonalizm protestancki stał się źródłem konfliktu między funkcją społeczną a żywą potrzebą duchową jednostki. Anarchizacja życia religijnego w protestantyzmie nie mogła też przyczynić się do podniesienia wartości terapeutycznych tego kierunku religijnego.

Jest coś wysoce tragicznego w tej ucieczce do sekciarstwa. Można tu mówić o wypędzaniu diabła Belzebubem. W sekciarstwie najpełniej skoncentrowało się i wypowiedziało wszystko to, co prowadzi do „rozdwojenia osobowości”, co zaostrza neurozy i pogłębia konflikty wewnętrzne. Pseudoracjonalizm niektórych sekt zdaje się tu być szczególnie groźnym.

Nie lepiej wygląda sprawa i w amerykańskim judaizmie. Jest on pod coraz większym wpływem protestantyzmu. Dawna ortodoksja jest coraz bardziej wypierana przez „reformizm” który od protestantyzmu przejmuje wiele zasadniczych cech. A i ortodoksyjny judaizm amerykański, w miarę jak wymiera stare pokolenie dawnych emigrantów, coraz bardziej przystosowuje się do warunków amerykańskich.

Nieskończenie lepiej przedstawia się sprawa katolicyzmu. Nie jest rzeczą przypadkową, że katolicyzm amerykański zdobywa sobie coraz więcej prozelitów właśnie w środowiskach protestanckich. Kościół katolicki stwarza możliwości terapeutyczne, daje rozwiązania, umie szarmonizować życie indywidualne ze zbiorowym. Niemniej jednak i on niezawsze radzi sobie z problemami ludzi, którzy do niego się zwracają.

Duszpasterze katoliccy są Amerykanami. Są produktami określonej cywilizacji narodowej. A przede wszystkim są ludźmi. Na wielu z nich ciąży jansenistyczne tradycje Irlandii. Wielu z nich to doskonali organizatorzy, sprawni „managers”, mniej sprawni w rozumieniu skomplikowanych problemów współczesnego człowieka.

W sumie rzecz biorąc, Amerykanin w ogromnej ilości wypadków nie znajduje rozwiązania dla swych problemów duchowych w zorganizowanym życiu religijnym. Nie znajduje go w protestantyzmie, nie znajduje w judaizmie, nie zawsze znajduje w katolicyzmie. A jednak jakieś rozwiązanie jest mu niezbędne.

I coraz częściej szuka go u psychoanalityka. Pozwolę sobie przytoczyć tu pewien przykład. Jeden z moich przyjaciół — psychoanalityk — opowiadał mi o pewnym swoim pacjencie. Pacjent ów to człowiek dojrzały, zamożny businessman. Jest katolikiem pochodzenia irlandzkiego. Katolikiem wierzącym i prak-

tykującym. Jednakże jego katolicyzm ma w sobie wyraźne ślady irlandzkiego pochodzenia. Jest jansenistyczny. W rezultacie człowiek ten ma w sobie silnie rozwinięty kompleks winy i grzechu. Ma stałe poczucie swej grzeszności. Myśl o grzechach nie daje mu chwili spokoju. Jako katolik idzie więc do swego spowiednika. I dostaje rozgrzeszenie. Ale *nie ufa* spowiednikowi, ściślej — wątpi, by spowiednik mógł go zwolnić od ciężaru grzechów. I wtedy idzie do *psychoanalityka*, który ze swej strony nie może zrobić nic innego, jak starać się przywrócić w swym pacjencie zaufanie do spowiednika.

Jest to autentyczny „case” z praktyki poważnego i odpowiedzialnego psychologa. „Case” wstrząsający i bynajmniej nie odosobniony. Jest w nim coś symbolicznego dla rozterek i konfliktów duchowych całej naszej cywilizacji, zapewne — nie tylko amerykańskiej.

W cywilizacji schizofrenicznej, w świecie ludzi o „split personalities” psychoanalityk staje się ostatnią ucieczką i najwyższą instancją, psychoanaliza staje się drogą do wyzwolenia od tragicznych sprzeczności, jakie miotają duszą współczesnego człowieka. Nie jest rzeczą przypadkową, że w Stanach Zjednoczonych jest dziś taki rozkwit psychoanalizy, że są tu tysiące psychoanalityków, którzy dać sobie rady nie mogą z nawałem pacjentów.

Chcę być dobrze zrozumiany: daleki jestem od kwestionowania naukowego i terapeutycznego znaczenia psychoanalizy. Wiem, że psychoanaliza ma już wielkie osiągnięcia i nie wątpię, że jeszcze większe osiągnięcia czekają ją w przyszłości. Co mnie niepokoi — to *funkcje społeczne*, jakie psychoanalityk obejmuje w nowoczesnej cywilizacji amerykańskiej.

Nie tylko rozhisteryzowane i rozkapryśzone panie z towarzystwa tłoczą się w poczekalniach psychoanalityków. Są tam mężczyźni, kobiety pracujące, ludzie wszelkich zawodów, wszelkiego wieku. Do psychoanalityków udają się ludzie, którzy — zdawałoby się — powinni być wolni od neuroz. Przyjaciół mój wspominał mi, że jednym z jego pacjentów jest kierowca ciężarówki! Na coraz większą skalę poradnictwo psychoanalityczne jest stosowane w wojsku, w szkołach, w życiu zawodowym.

Psychoanalityk staje się tu arcykapłanem jakiejś nadreligii, staje się najwyższą instancją w roztrząsaniu intymnych spraw duszy ludzkiej, włączając w to i sprawy religijne.

Wszystko to zdaje się świadczyć o rozmiarach kryzysu duchowego cywilizacji schizofrenicznej i o rozmiarach jej kryzysu religijnego. Pacjent mego przyjaciela jest katolikiem. W o ileż gorszej sytuacji muszą być przedstawiciele innych wyznań, gdzie tyle jest zdane na jednostkę, gdzie wartości są tak płynne, słabo zinstytucjonalizowane, nie oparte na mocnych i autorytatywnych tradycjach! Jest rzeczą uderzającą, że w sekciarstwie amerykańskim tak często występują dążenia do syntezy przeżycia religijnego z zabiegami terapeutycznymi — medycznymi czy psycho-

logicznymi. Nie są to rzeczy nowe. We wszystkich religiach świata element medyczny — pseudoracjonalny czy czysto magiczny — odgrywał bardzo dużą rolę. Musi on odgrywać szczególną rolę w cywilizacji, która z jednej strony tak bardzo racjonalizuje troskę o zdrowie, a z drugiej tak jest pełna psychicznych problemów, tak jest neuropatyczna i wewnętrznie skłócona.

Istnieje więc kryzys religijny. Z jednej strony jest jednostka ludzka, targana sprzecznościami, niepewna, wąpiąca, cierpiąca, szukająca. Z drugiej strony — instytucje religijne, służące konwencjami społecznymi, stające się ośrodkami różnorodnych działań społecznych, ale nie dające odpowiedzi na zasadnicze pytania duszy ludzkiej. I nad tymi instytucjami — jakby jakaś nadbudowa — wznosić się zaczyna kult psychoanalizy i psychoanalitika.

Nie tu miejsce na szczegółową analizę społecznych i kulturalnych konsekwencji tego kultu. Konsekwencje jego mogą być w każdym razie bardzo poważne. Nie sądzę jednak, by jedną z nich mogło być danie człowiekowi tych rozwiązań, jakie dać tylko może żywa wiara religijna. I raczej skłonny jestem przypuszczać, że kult psychoanalizy i psychoanalitika stanie się źródłem dalszych komplikacji duchowych człowieka, jeszcze głębszego jego rozdzielenia i zagubienia się w tej cywilizacji, którą nazwaliśmy schizofreniczną.

Aleksander HERTZ

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
UKAZUJE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Korespondenci: we Francji, Holandii, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Argentynie, Brazylii, Australii i Afryce.

Redakcja, administracja, drukarnia:
MANNHEIM-SCHENAU, Gendarmerie Kaserne

Złoty jubileusz J. Hofmanna

Józefowi Hofmannowi poświęcam.

Niedawno „Columbia Record” wypuściła bezcenną historyczną płytę genialnego polskiego pianisty, Józefa Hofmanna Golden Jubilee Concert, Metropolitan Opera House, November 28, 1937, „Columbia”, L. P. Nr. 4929). Pamiątny Recital, uwieczniony na płycie, ocalał. Wydanie Złotego Albumu jest nie tylko manifestacją znanej wytwórni płyt, ale symbolicznym hołdem, oddanym Hofmannowi przez tutejszy świat muzyczny, czekający od dawna na ukazanie się niezwykłego albumu.

Definicja gry Hofmanna może nasunąć trudności. Są dwie przyczyny. Zdolność Hofmanna do absolutnego realizowania swoich pomysłów interpretacyjnych wzbogaciła jego grę o tyle nowych aspektów, że nasza percepcja już nie jest w stanie objąć wszystkich jednocześnie. Drugą przyczyną jest dewaluacja superlatyw jako środka definicji. Pochlebne przymiotniki, nadużywane od wieków, uległy przeobrażeniu i stały się frazesem. W rezultacie, gdy raz na wiele lat pojawia się prawdziwy geniusz, trzeba przetrząsnąć całe słownictwo, aby dobrać odpowiednie wyrazy do sformułowania sądu o jego sztuce. Podziękować za to należy krytyce, która w ciągu jednego miesiąca zużywa więcej przymiotników, niż artysta byłby w stanie ich zastosować w ciągu całego swego życia.

Refleksje, jakie interpretacja Hofmanna nasuwa nie są z rodzaju tych, które można przekazać w jednym zdaniu. Nawet obszerna analiza, obiektywna czy subiektywna, nie będzie w stanie zastąpić głębokich estetycznych wrażeń, jakie następuje sama gra Hofmanna. Jego ostatnia, najdłuższa i najbogatsza treścią płyta, będzie więc nieodzownym dopełnieniem niniejszego artykułu, który tylko środkami zastępczymi wyrazi to, co płyta odda bezpośrednio. Przenosimy się do Przeszłości.

I

ARCHEOLOGICZNE POSZUKIWANIA

W roku 1890, Thomas Edison przesłał Hofmannowi do Berlina jeden ze swoich pierwszych modeli do nagrywania „woskowych cylindrów”, z prośbą, by Hofmann nagrał dla Edisona kilka utworów na fortepianie. Czternastoletni wówczas Hofmann, z entuzjazmem przyszłego wynalazcy rozpoczął eksperymenty z czarodziejską maszyną. Po wielu próbach udało mu się uzyskać pożądaną rezultat i Hofmann nagrał na „cylindry” dwie własne kompozycje, które odesłał Edisonowi do Ameryki. W ten sposób Hofmann przeszedł do historii gramofonu jako pierwszy nagrany pianista. Po jego „cylindrach” wszelki ślad zaginął. W początkach 1900 roku Hofmann nagrał dwie płyty dla „Black G&T”. W latach 1912-1922, szereg płyt dla „Columbii”, oraz kilka cenniejszych dla „Brunswick”. Na pianolowych rolkach, utrwalone zostały przez Hofmanna między innymi *Sonata B-moll*, *Polonez Fis-moll* i *As-dur Chopina*. Rolki te dawno zniknęły z rynku i poszukiwane są obecnie jako rzadkości. Jeszcze intensywniej poszukiwane są jego prywatne płyty, zdjęte z audycji radiowych, w których Hofmann był słyszany solo wraz z towarzyszeniem orkiestry. Były to przeważnie transmisje z symfonicznych koncertów. Spośród wielu prywatnie nagranych płyt, udało się odnaleźć tylko niektóre, znajdujące się obecnie w niedostępnych kolekcjach. Wątpliwe czy się kiedyś odnajdzie *Don Juan Liszta*, *Fantazja Schumanna*, *Fantazja Chopina*, *Barcarolla* i tyle innych wielkich kreacji Hofmanna, które — być może — nigdy nie zostały utrwalone nawet fragmentarycznie.

Poszukiwania tych płyt są połączone z przygodami, o jakich się czyta tylko w detektywistycznych powieściach. Sytuacja ta powstała na skutek całkowitego braku informacji co do źródeł. Aby prywatnie i strzeżone wiernie źródło odkryć, trzeba najpierw zapoznać się z metodami Sherlocka Holmesa. Poszukiwacze nie są zainteresowani w materialnych korzyściach „wyprawy”. Nie są to kupcy, ani kolekcjonerzy pamiątek, lecz pianiści oraz namiętni wielbicieli Hofmanna, dla których jego płyty stanowią niezastąpioną dokumentację gry fortepianowej.

Udało mi się zdobyć kopię „minutowego walcu” który Hofmann wykonuje... w tercjach! Korzystając z uprzejmości tego samego źródła, zapoznałem się z *Balladą F-moll*, której tytaniczne wykonanie, nie podobne do żadnego innego, potwierdza legendę Hofmanna. Słyszałem także fragmenty koncertu *E-moll*, które w tej interpretacji pozostawiły na mnie równie głębokie wrażenie po raz pierwszy, jak po raz dziesiąty. Kto słyszał koncert *E-moll* z Hofmannem, nie może obojętnie przyjąć wiadomości o zniknięciu cennego zbioru płyt. Do niedawna większe rozgłośnie radiowe posiadały jeszcze własne płyty ze swoich

ciekawszych programów. Niestety, wszystkie audycje nagrane przed rokiem 1935 zostały na zlecenie dyrekcji zniszczone. W tej liczbie znalazł się także *Koncert E-moll* z Hofmannem. Do dziś nie ustają prośby i nalegania aby Hofmann zechciał raz jeszcze wystąpić lub cokolwiek nagrać. Proponują mu wszelkie warunki, jakich nie zaproponowano by żadnemu innemu artyście. Ale Hofmann, kończący lat 80, odmawia.

Wszystko co Hofmann kiedykolwiek nagrał powinno zostać odnalezione i zabezpieczone w bibliotekach muzycznych uczelni nie tylko z pamiętkowo-historycznych pobudek, ale i dlatego, że gra Hofmanna jest najwyższym uniwersytetem pianistyki i sztuki interpretacji, zanotowanej na płycie gramofonowej.

II

NOWOCZESNA GRA FORTEPIANOWA

W ciągu ostatnich 50-ciu lat, ogólny poziom techniki fortepianowej znacznie się podniósł. „Islamey”, grane w tempie, już nie stanowi sensacji. Co drugi pianista ma dzisiaj w programie „Appassionatę” Sonatę Liszta lub 24 Etiudy Chopina. Wirtuozów jest niezliczona ilość. Jednakże nasza generacja nie wydała ani jednego technika na miarę Hofmanna (fakt ten potwierdzają płyty). Naiwni optymiści na daremnie usiłują wmówić sobie i innym, że współczesny wirtuoz „potrafi to samo”. Miałby jedynie ochotę!...

Podobne przemiany można zaobserwować w dziedzinie interpretacji. Mamy obecnie więcej dobrych wykonawców niż kiedyś, ale nie mamy wykonawców genialnych. Busoniego, Rachmaninowa i Hofmanna zastąpili utalentowani muzyczni rzemieślnicy. W naszych czasach pianista jest bardziej odtwórcą niż nim był kiedykolwiek. Jest zimnym projektorem, który monotonicznie wyświetla kompozycję, a nie artystą, który jednocześnie prezentuje własną sztukę interpretacji. Starannemu czytaniu nut, świetnej pamięci i czystej technice, towarzyszy zbyt często artystyczna bezpłodność.

Gra konserwatywna także nie była wolna od poważnych uchybień, i popełnilibyśmy błąd, stawiając ją za ideał odtwórczej sztuki. Rażącym rysem konserwatywnego stylu była *salonowość*, *sentymentalność* i *maniera*. *Salonowość* wyrażały trwające wieki *ritenuta*, przerywane gwałtownym *piu mosso*. *Sentymentalność* przejawiała się w nieobliczalnym rubato, a *manieryzm* zdobył takie niespodzianki, jak rozbijanie akordów, opóźnianie prawej ręki, nerwowe frazowanie (bez oddechu mimo długich fermat), oraz zwyczaj poprawiania kompozytora przez zmienianie lub dodawanie nut. Naturalnie te cudactwa doprowadzały publiczność do ekstazy. Ostatniemu, spóźnionemu akordowi „*Traumerei*” często wtórowało smętne westchnienie mniej dyskretniej guwer-

nantki. Kapały łezki. Pod tym względem publiczność trochę się zmieniła. Wprawdzie źle wyżyte zmysły muszą nadal szukać pola do wyładowań, ale sam obiekt uległ przesunięciu. Podniecające „Serenady Schuberta” zastąpiła Piramida Wzruszających Szlagierów, modelowanych przeważnie na muzyce klasycznej. Teraz łąć z oka łatwiej wycisnąć piosenka „No other love”, niż jej pierwotna wersja Chopina. Miejscami wzruszeń są dancingi. Na koncertowej sali już nie trzeba płakać; pianista może grać równie.

Gdy się zastanowimy, dojdziemy do wniosku że wirtuozi poprzedniej generacji — poza rzadkimi wyjątkami — nie mieliby dzisiaj szans powodzenia. Któż byłby w stanie wytrzymać w roku 1956 ekstrawagancje muzyczne z roku 1900? Te same przesadne fermaty i tkliwe rubata, które kiedyś powodowały masową histerię, dziś tylko wypłoszyłyby publiczność z sali.

Ekstrawagancje w grze pianistów poprzedniej generacji, symboliczne dla okresu w którym egzystowały, nie znalazły zastosowania w nowoczesnym stylu gry fortepianowej. Rażące symptomy zniknęły z gry dzisiejszego pianisty, ale niestety — wraz z nimi zniknęła także cenna imaginacja. Czyżby imaginacji musiały nieodłącznie towarzyszyć rytmiczne manieryzmy i swawola zmieniania nut? Czy nie istnieje kombinacja artystycznej fantazji z muzyczną higieną?

Hofmann udowodnił, że takie połączenie jest możliwe. Jego niezwykłym pomysłem interpretacyjnym nie przeszkodziło najdokładniejsze przestrzeganie tekstów (Hofmann kompozytora nigdy nie „poprawiał”), a mdłą sentymentalność zastąpiło piękne, klasyczne niemal w swym umiarze, rubato.

Mimo chronologicznych pozorów, gra Hofmanna wyprzedzała nowoczesnością ujęcia grę wszystkich wirtuozów doby obecnej. „Nowoczesność” jego gry wyrażała się jeszcze jednym szczegółem: przy fortepianie Hofmann siedział spokojnie, nie pozował, jak to się zdarza niektórym pianistom nawet w dzisiejszych czasach. Jeżeli grze Hofmanna brakował jakiś rys nowoczesności, to tylko jednostajność, tak znamienita dla współczesnego wirtuoza.

III

METAMORFOZA INTERPRETACJI

Victor Seroff, biograf Rachmaninowa, pokazał kiedyś żartem Rachmaninowowi, że potrafiłby skopiować jego grę. Gdy Seroff skończył demonstrację, Rachmaninoff uśmiechnął się i powiedział: „Tak, mnie można podrobić, ale Hofmanna nie!”

Czym się różniła gra Hofmanna od gry wielkich stylistów, których naśladować było łatwiej? Pospolite powiedzenie, że „Hofmann miał wszystko”, nic nam nie mówi. Miał „wszystko” Rachmaninoff, ma i Horowitz. Ale nie miał Rachmaninoff tech-

niki Hofmanna, ani Friedman hofmannowskiej kontroli; Godowski nie miał Hofmanna temperamentu ani Horowitz jego tonu. Hofmann posiadał w najdoskonalszej formie to wszystko co inni posiadali do spółki — oraz — coś jeszcze, co go odgradzało od pozostałych pianistów: fenomenalną zdolność interpretowania tego samego dzieła na rozmaite sposoby.

Bach udowodnił w swoim *Art the Fugue*, że jednakowo rozpoczęta kompozycja (nawet fuga!) może być równie dobrze rozwinięta w kilku rozmaitych kierunkach przy zachowaniu oryginalnego stylu. Hofmann to udowodnił w dziedzinie interpretacji. Słyszałem utwór Chopina, nagrany przez Hofmanna trzykrotnie, za każdym razem inaczej. Wszystkie trzy koncepcje były równie doskonałe, i, mimo znacznych różnic, nie odbiegały od „hofmannowskiego” stylu. Improwizatorski charakter tych koncepcji nie nosił jednak piętnej przypadkowości. Gdy milknął ostatni akord, okazywało się, że interpretacja stanowiła logiczną, nie przerwana całość.

Podobnie jak kameleon potrafi wedle życzenia „zmieniać osobowość” przez przystosowanie barwy swego ciała do warunków w których przebywa — pozostając kameleonem, tak Hofmann potrafił wedle życzenia zmieniać swoją artystyczną osobowość przez przystosowanie pianistycznych środków ekspresji do swojej najnowszej artystycznej koncepcji — pozostając Hofmannem. Wymaga to nie tylko wielkiej imaginacji ale niepospolitej kontroli i niezależności technicznej. Raz nabyta interpretacja przyrasta do artysty niemal organicznie. Gdy ją pragnie zastąpić inną, musi długo walczyć z przyzwyczajeniem, które powraca automatycznie. Temu prawu Hofmann zdawał się nie podlegać i dlatego interpretacjom swoim mógł nadawać dowolny kierunek.

Uwaga Rachmaninowa, że Hoffmanna nie można skopiować, wydaje się teraz zrozumiała. Niezliczona ilość pomysłów interpretacyjnych Hofmanna, oraz zdolność realizowania ich, nie pozwoliły nigdy przewidzieć, jak Hofmann daną kompozycję wykona. Będąc wynalazcą w dziedzinie mechaniki, Hofmann był nim także w dziedzinie interpretacji, jak zresztą w całym traktowaniu instrumentu. Jego znajomość mechaniki i geniusz pomysłowości znalazły cudowne zastosowanie w grze fortepianowej.

IV

POD MIKROSKOPEM

Precyzja szczegółu nie tylko stanowi o jakości dzieła sztuki, ale jest jej znakiem rozpoznawczym. Busoni, poruszając ten temat, posłużył się kiedyś następującym cytatem:

„Gdyby prawdziwie wielkie dzieło sztuki w formie witraża, zostało przypadkowo rozbite na drobne kawałki, powinniśmy móc ocenić doskona-

łość arcydzieła przez zbadanie jednego fragmentu, nawet gdyby wszystkie inne kawałki zaginęły”.

Absolutna doskonałość szczegółu w grze Hofmanna, pozwala już na podstawie kilku taktów zdefiniować jego mistrzowską sztukę. Fragment jego gry, oderwany od całości i badany „na płycie w zwolnionym tempie”, tak samo zdumiewa precyzją i symetrią, jak oglądane przez powiększające szkło fragmenty obrazu Van Eyck’a.

Precyzja techniki nie jest jedynym celem gry fortepianowej, ale jest jej nieodzownym warunkiem. Gra nierytmiczna i nieczysta odejmuje utworowi piękno, nawet jeżeli teoretycznie może ona istnieć przy utrzymaniu we właściwe klawisze. Higieną gry jest jej czystość — i nic nieusprawiedliwia technicznego niechlujstwa pianisty. Ścisłe zespolenie interpretacji z techniką i stała ich współzależność wymaga absolutnej perfekcji detalu.

Młodzi pianiści często prezentują utwór, którego nie wykończyli technicznie. Gdy im zwracamy uwagę, zapewniają nas, że interpretacja jest sprawą gustu, że nie musi się to podobać im, co się podoba nam, że w sztuce nie podobna nic udowodnić. Jakże wygodny punkt widzenia, ale tak mniemają tylko ci, którym można udowodnić zbyt wiele. Poza kaprysami gustu, istnieje jeszcze w muzyce tak niemiłe zjawisko, jak obiektywna ocena interpretacji. Można woleć — o ile naprawdę można! — grę niechlujną od gry przyzwoitej, ale nie można — choć się to czyni — nazywać gry niechlujnej czystą, gdyż będzie to wynikiem nieobiektywnego stwierdzenia rzeczywistości.

Właściwości techniki i interpretacji nie tylko podlegają obiektywnym kryteriom, ale mogą być przedmiotem naukowych badań. Ustalenie naukowego sądu o interpretacji jest zadaniem niezmiernie trudnym. Mniejsze trudności nastrocza naukowa analiza techniki, której właściwości dają się badać „metodą laboratoryjną”, a co za tym idzie — mogą być stwierdzone naukowo i udowodnione.

Eksperymenty, przeprowadzone przeze mnie w latach ubiegłych, dały niespodziewane wyniki. Przedmiotem badań była technika palcowa ponad dwustu pianistów, nagranych na płyty w ciągu ostatnich 50-ciu lat. Technikę palcową determinują cztery zasadnicze elementy: *ilość*, *szybkość*, *czystość*, *równość*, które podlegają naukowej analizie, lecz muszą być badane z osobna.

Ilość: gdy na 12 nut figurujących w tekście, pianista wykona tylko 10, każda maszyna do liczenia będzie to w stanie stwierdzić, zaś rezultat, podany w cyfrach, będzie niewątpliwie naukowym sprawdzianem ilości.

Szybkość: może ją określić metronom, który w przeciwieństwie do ludzkiego ucha, nigdy się nie myli.

Czystość: da się łatwo zbadać przy pomocy specjalnych elektronicznych instrumentów pomiarowych, które zamiast „własnego gustu” posiadają czuły mechanizm umiający niezawodnie wykazać obecność fałszywych dźwięków. (Wyszkolone ucho

może te instrumenty zastąpić, ale wyniknęłyby spory, gdyż ucho pana X jest mniej wrażliwe od ucha pana Y.)

Równość: najważniejszy aspekt techniki, także może być przedmiotem badań naukowych. W technice fortepianowej, równość — czyli symetria — znalazła dwa zastosowania. Istnieje symetria w czasie, czyli tak zwana równomierność dźwięków następujących po sobie w tych samych odstępach czasu, oraz — symetria dynamiki, polegająca na jednakowej intensywności uderzania klawiszy, lub, przeciwnie, wyrażająca się miarową gradacją dynamiczną przez stopniowe dozowanie — *crescenda* i *diminuenda*. (Ta ostatnia forma dynamiki nie jest jednakże istotnym warunkiem precyzyjnej techniki palcowej.)

Precyzja symetrii może być mierzona odpowiednio skonstruowanym zegarem elektronicznym, lub niezwykle słuchem, pod warunkiem, że podczas badań bieg płyty zostanie dwukrotnie zwolniony.

Zmniejszone tempo pozwoli na dokładne zbadanie wzajemnych proporcji dźwięków (dynamika), umożliwi ustalenie długości trwania poszczególnych dźwięków (równość w czasie i osobność uderzenia), oraz ułatwi wymierzenie odstępów czasu pomiędzy wygaśniętymi dźwiękami w technicznej figuracji (*non legato*, *staccato* i *leggiero*).

Omówione powyżej cztery składniki techniki mogą występować w dowolnej kombinacji, lecz niezmiernie rzadko występują wszystkie jednocześnie w doskonałej formie. Przykładem genialnej szybkości, równości i czystości, występujących jednocześnie, są hofmannowskie repetycje w *Tarantelli* Liszta (Sekcja E-Dur) grane najłżejszym palcowym *staccato* bez opuszczania nutki. Niejeden pianista, słuchając tej płyty, przynajmniej raz pomyślał o porzuceniu studiów fortepianowych.

Innym charakterystycznym rysem techniki Hofmanna zasługującym na wyróżnienie jest hofmannowska ciągłość biegników technicznych. Inni pianiści robią w dłuższych biegnikach nieznaczne przystanki, co ułatwia wykonanie. Nazywają to umuzykalnianiem techniki, ale nie jest to szczerze wyznanie. Rzekome umuzykalnianie jest tylko upakarzającym technicznym kompromisem. Hoffmann też czasem grywał biegniki „z oddechem”, ale nigdy nie zwalniał ani nie zatrzymywał się tam gdzie było wygodniej jego palcom, lecz jedynie tam, gdzie mu to odpowiadało muzycznie — nawet — gdy takie życzenie nastroczało jeszcze większe trudności. Grupowanie techniczne, ułatwiające wykonywanie trudnych figuracji, o ile jest niezbędne, powinno się odbywać wyłącznie w mózgu pianisty a nie przejawiać fizycznie w jego grze. My nie powinniśmy tego słyszeć. Techniczna kontynuacja u Hofmanna nie ma nic mechanicznego i polega na przymierzaniu techniki do muzycznego frazowania, a nie odwrotnie.

Teraz konkretny przebieg eksperymentu z płytami:

Na specjalnie skonstruowanej przeze mnie podwójnej apar-

turze gramofonowej umieściłem dwie płyty, na których dwaj wybitni pianiści wykonywali ten sam trudny utwór. Obie płyty uruchomiłem prawie jednocześnie, ale głośnik oddawał tylko jedną naraz. Obaj wirtuozi powtarzali po sobie kolejno takt za taktem, frazę za frazą, biegnik za biegnikiem. Dwukrotne zwolnienie tempa płyty pozwoliło mi dokładnie zapoznać się z naturą technicznych niedociągnięć, od których żaden wirtuoz nie jest całkowicie wolny. Nawet najlepszy pianista nie oprze się temu mikroskopijnemu badaniu, podobnie jak żadna nawet najpiękniejsza kobieta, nie oprze się działaniu zbyt silnego reflektora, który odkryje w jej urodzie jakieś wady.

Tą metodą zbadałem w moim studio *unisona* wszystkich znakomych wirtuozów, utrwalonych na płycie. Badania wykazały, że żaden z nich nie miał *unisona* równie doskonałego jak Hofmann. Nawet Busoni, Lhevinne, Rachmaninoff, Rosenthal i Horowitz musieli ustąpić Hofmannowi. O takim wyniku powyższego konkursu zadecydowała nie tylko i nie tyle szybkość, ile równość i jednocześnie uderzania obu rąk w *unisonach*. W trzeciej części *Koncertu E-Moll* Chopina, symetria przejściowych *unison* była u Rosenthala bez porównania mniej precyzyjna niż u Hofmanna (Seksja Cis-Moll). Podobne rezultaty na korzyść Hofmanna dały badania ozdobników w tercjach w *Capriccio* Scarlatti (układ Tausiga) nagrany przez Horowicza i Hofmanna w czasie gdy obaj byli w doskonałej formie technicznej. Pod „mikroskopem” dzieją się dziwne rzeczy...

Dzięki dalszym doświadczeniom, miałem nie tylko możliwość jeszcze raz przekonać się o doniosłej roli symetrii w technice, ale i wyjaśnić tajemnicę jej magicznego oddziaływania na ucho ludzkie. Spostrzegłem już dawno, że gra Hofmanna często czyni wrażenie szybszej od gry Rachmaninowa — podobnie jak gra Horowicza od gry Rubinsteina — mimo że u Rachmaninowa tempo jest nieco żywsze (np. *Più mosso* z *Walca Cis-Moll* Chopina). Złudzenia słuchowe powstały przede wszystkim z powodu absolutnej symetrii techniki Hofmanna, symetrii, w tym gatunku niespotykanej u żadnego pianisty.

Inna próba, tym razem z fragmentem *Koncertu E-Moll* (Trzecia część), wywołała identyczne złudzenia. Rosenthal grał fragment w tempie nieco żywszym od Hofmanna, a wydawało się, że szybciej grał Hofmann. Powyższe zjawisko tłumaczy się następująco: Większa równość daje zawsze wrażenie większej szybkości. Wrażenie to pogłębia jeszcze *krótkość* następujących po sobie dźwięków (mniejsza ilość drgań), typowa dla hofmannowskiego *leggiero*. Czym krótszy kontakt palca z klawiszem, tym szybsza wyda się technika (np. *Staccato*). Efekt szybkości hofmannowskiego *leggiero* powiększa się jeszcze przez jednakowe natężenie dynamiczne następujących po sobie dźwięków oraz dzięki zredukowaniu pedalizacji do minimum.

Obserwacje te potwierdza przykład z klawikordem, którego dźwięki „krótsze” od dźwięków fortepianu nie wywołują tak

długiego echa, nie „zlewają się”, i bez względu na intensywność uderzenia wszystkie brzmią jednakowo głośno: ten sam utwór wykonywany równo na klawikordzie jest przez nas słyszany w tempie szybszym niż wykonywany dokładnie w tym samym tempie na fortepianie.

Zastanowiwszy się nad rezultatem badań techniki fortepianowej u najwybitniejszych wirtuozów, mogę z całym przekonaniem stwierdzić, że żaden żyjący i nie żyjący pianista nie wykazał się na płycie tak wielką i wszechstronną techniką jak Hofmann. Żaden nie zdołał mu dorównać w precyzji, symetrii, kontroli, dynamice, kolorystyce i wzajemnej niezależności rąk. Nie będzie w tym przesady o ile powiemy, że Hofmann miał d w i e prawe ręce.

V

ANDANTE SPIANATO I POLONEZ HOFMANNA

Polonez z *Andante Spianato* w wykonaniu Hofmanna stanowi najwspanialszy artystyczny dokument interpretacji Chopina, utrwalony kiedykolwiek na płycie. Po usłyszeniu tej wersji *Poloneza* nawet najwybitniejsi wirtuozi musieli wyczuć dystans, jaki ich dzieli od Mistrza. Inna znana płyta z *Polonezem*, która poprzednio wydała się niezrównaną, teraz wydaje się mniej przekonującą. Gra Hofmanna wyostrza nasze poczucie krytyki i podnosi nasze artystyczne wymagania. Raz jeszcze słucham tej płyty, gdy moje pióro notuje: Pierwszy raz temat jest grany dyskretnym tonem, prawie *leggiero*. Elegancji i niezwyktemu umiarowi tempa towarzyszy samodzielna ekspresja lewej ręki na tle nad-powietrznych ozdobników w prawej, wykonywanych techniką o geometrycznej symetrii. Drugi raz, Hofmann traktuje temat inaczej, nadając mu charakter deklamatorski. Melodia jest prawie recytowana a spontaniczne ale opanowane *rubato* ciągle przecinają krystaliczne biegniki, tworzące oryginalny kontrast z *cantileną*. Delikatne techniczne figuracje pojawiają się i znikają, ustępując miejsca innym pasażom, które artysta wykonuje swobodniej; jego głęboki ton i rytmiczna elastyczność nadają teraz utworowi rapsodyjny charakter.

Polonez w ujęciu Hofmanna symbolizuje artystokratyczny taniec. Każda zakończona z wdziękiem fraza odtwarza „ruch uklonu”, podczas gdy miniaturowe biegniki grane *leggierissimo* przypominają odgłosy srebrnych dzwoneczków. Akustyczno-dźwiękowe efekty pozwalają odgadnąć, że sztuka używania pedału była u Hofmanna także sztuką omijania go. *Acceleranda* Hofmanna są nam przekazywane jakby „pod narkozą”. Ledwo czujemy jak *allegro* staje się *prestem*. Umiar dozowania w *accelerando* jeszcze powiększa jego siłę, tak jak ciągielność linii muzycznej jest u Hofmanna zachowana jeszcze mocniej dzięki umiarowi jego *rubata*. W przeciwieństwie do innych pianistów, Hof-

mann się nigdy nie spieszy i mimo to — nigdy się nie spóźnia. Najwolniejsze czy najszybsze momenty jego gry charakteryzuje ta sama rytmiczna ciągłość, stanowiąca klasyczną cechę jego muzycznej frazy. W jego *ritenutach* każde rzekomo opóźnienie okazuje się przybyciem dokładnie na umówioną godzinę.

Jednakże nigdy nie pozwalał sobie Hofmann na rytmiczną elastyczność gdy wykonywał finały wielkich dzieł Chopina, w których używanie *rubata* nie jest wyrazem artystycznej imagacji, lecz technicznej niedoskonałości. Finały te, traktowane przez Hofmanna z potężną siłą i wizją, pozostawiały na słuchaczach niezatarte wrażenie. W Finale pierwszej części *Koncertu E-moll* pamiętny tryl w lewej ręce zmienił dźwięk fortepianu w brzmienie wściekłych werbli.

Niesamowity efekt dźwiękowy jaki Hofmann osiągnął w tym trylu stanowił nowe, nieznane przedtem zjawisko akustyczne. Możliwości fortepianu jakby się nagle poszerzyły.

W *Balladzie F moll* pięć akordów położonych w *pianissimo*, które poprzedzają Finał przeobraziły się w pasjonującą grę „na śmierć i życie”. Tak, jak poprzednio, w sekcji Des-dur słyszeliśmy nowe potężne głosy, wydobywane pierwszym palcem lewej ręki, tak teraz, w Finale, wszystkie głosy zdawały się występować jednocześnie. Chromatyczne tercje w prawej ręce były podkreślane basowymi nutami w lewej, chwytanymi stalowym palcem geniusza. Potem nastąpiły szalone oktawy oraz niesłyszany w tym tempie i skali dynamicznej unisonowy pasaż końcowy. Wrażenie oszałamiające. Można było zrozumieć, dlaczego sam Rachmaninoff po usłyszeniu *Sonaty H moll* z Hofmannem, wykreślił ją ze swego repertuaru.

Grę Hofmanna można by analizować fraza za frazą. Ale pozostanie tajemnicą w jaki sposób zdołał on osiągnąć wszystkie te efekty przy równoczesnym zachowaniu chopinowskiego stylu. W *Poloniezie* polifoniczne rozwijanie ukrytych głosów jest szczególnie trudnym zadaniem, gdyż utwór ten wymaga zachowania stylistycznych właściwości tańca. Niemniej, Hofmann potrafił połączyć polifonię z charakterem kompozycji. Poszukując nowego artystycznego wyrazu, potrafił jednak uszanować zasadniczą myśl kompozytora.

Niektórzy wykonawcy przypuszczają że interpretować „jak napisane” oznacza nie interpretować w ogóle. Ich pogląd miałby z pewnością szerokie zastosowanie gdyby nie fakt, że oni bronią swojej indywidualności kosztem samej kompozycji. Błąd ich polega na tym, że indywidualizują oni utwór *zanim* nauczyli się go dokładnie wedle wskazówek kompozytora. Gdy pomijamy pierwsze konieczne stadium — staranne przeczytanie — przemieniamy naszą indywidualność w karykaturę. Wielu pianistów nie zdaje sobie nawet z tego sprawy, że nigdy *naprawdę* nie przeczytali kompozycji „jak ją napisano”. Pewne znaki zamieszczone przez kompozytora zawsze uchodzą uwagi. Koncepcja utworu, wyrażona w nutach, rytmie i agogicznych znakach, może być

całkowicie dostrzeżona tylko przez wielkiego artystę. Gdy artysta ten pozwala sobie zastosować pewne własne pomysły interpretacyjne, możemy być przekonani, że już poprzednio odcyfrował wszystkie propozycje kompozytora. To nas prowadzi z powrotem do Hofmanna i jego koncepcji *Poloneza* op. 22. Hofmannowska ścisłość przestrzegania tekstów nie wpłynęła hamująco na wprowadzenie przez niego nowych pomysłów interpretacyjnych. Przeciwnie, właśnie owa ścisłość stworzyła nowy, nieznany przedtem koncept *Poloneza*. Tę dziwną kombinację dokładności z oryginalnością możemy zaobserwować z szczególną wyrazistością w sekcji B dur (chromatyczne seksty w rytmicznym wariacie).

Byłoby ryzykowne twierdzić, że tylko polski pianista potrafi w ten sposób wykonać *Poloneza*. Raczej należałoby skonstatować, że taki koncept może stworzyć jedynie pianista genialny, albo po prostu — jedynie sam Hofmann. A jednak, słuchając hofmannowskiego rytmu *Poloneza* trudno się oprzeć wrażeniu, że wielki pianista innej narodowości nie byłby w stanie wydobyć tanecznych aspektów tej kompozycji w postaci w jakiej wydobyl je Hofmann. Wytworność i afektacja niemal ze sobą graniczą. Umieć zastosować pierwszą, a pominąć drugą — to rzadki talent, nawet wśród największych artystów.

EPILOG

Złoty Jubileusz na Płycie dostarcza nam nowych wrażeń. Do niedawna hofmannowskie *Andante Spianato* i *Polonez* było legendą z którą mogliśmy się zapoznać tylko teoretycznie. Obecnie, Złoty Album bezpośrednio zapozna młodą generację pianistów z wielkim stylem Hofmanna i przypomni go raz jeszcze tym, którzy mieli szczęście słyszeć go na estradzie. My wszyscy, pianiści i muzycy, możemy być wdzięczni „Columbii Record” za udostępnienie nam tej historycznej płyty. Artysta, jak Hofmann, jest wydarzeniem, które się nie powtarza. Jeżeli historia robi wyjątek i powtórzy kiedyś typ pianisty zbliżony do Hofmanna, nastąpi to jedynie w czasach Renesansu Gry Fortepianowej.

Jan HOLCMAN

NIE ZWLEKAJ Z ZAMÓWIENIEM

AŻ KSIĄŻKA BĘDZIE WYCZERPANA
JUŻ PRAWIE 2000 EGZEMPLARZY SPRZEDANYCH

ZOFIA ROMANOWICZ **BAŚKA I BARBARA**

Cena egzemplarza frs 500, sh. 10/., dol. 1,50.

Zamówienia prosimy kierować do :

„LIBELLA” – Składnica Książek Polskich

12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris 4. (France)

Warunki sprzedaży :

We Francji książkę wysyłamy po wpłacie sumy frs 500 — na nasze konto pocztowe CC Paris 5651-50, lub za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze.

Do Belgii, Włoch, Holandii, Niemiec, Szwecji, Szwajcarii, Luksemburga oraz Austrii, książkę wysyłamy za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze, lub po otrzymaniu należności.

Do innych państw jak USA, Kanada, Brazylia itd., książkę wysyłamy DOPIERO po otrzymaniu należności, którą bez trudu można nam przesłać za pośrednictwem poczty — „international money order” — na nasze konto pocztowe CCP Paris 9709-46 lub czekiem bankowym wystawionym na „Libella”.

Książkę można również zamawiać we wszystkich polskich księgarniach oraz u przedstawicieli polskich pism, jak również w księgarniach „Hachette”, jeżeli takowe są w danym kraju — podając adres „Libelli” jako wydawcy.

Dar nieprzyzwyczajenia

(NOWY POETA POLSKI)

O Mironie Białoszewskim wiem tylko tyle, że ma trochę ponad trzydziestkę, że mieszka w Warszawie, że przez dziesięć lat Polski Ludowej żył w wielkiej nędzy. Pierwszy tom jego wierszy, nie mających nic wspólnego z socrealizmem, mógł się ukazać dopiero w tym roku (*). Poza tym Białoszewski jest jednym z założycieli eksperymentalnego teatru, który daje przedstawienia w prywatnym mieszkaniu, na piątym piętrze kamienicy przy ulicy Tarczyńskiej. Teatr ten ściąga liczną publiczność — szczerych wielbicieli i snobów. Trudno na odległość ustalić w jakim stopniu usprawiedliwiony jest stosowany do niego epitet „surrealistyczny”. Można w każdym razie wnioskować, że krótkie sztuki czy poematy teatralne pisane przez Białoszewskiego i jego kolegów dowodzą skłonności do tematów „macabre” i bluźnierczych (hostia, Bóg-Ojciec, aniołowie itp. jako elementy „negatywnej metafizyki”), co od razu każe nam myśleć o znanej atmosferze sztuki dwudziestego wieku.

W Polsce zaraz po wojnie pojawił się właściwie tylko jeden nowy poeta, dość silny, żeby opierać się przepisom urzędowej grafomanii: Tadeusz Różewicz. Jego dzieje są zresztą przejmujące. Różewicz zaczął od rozpacz, z wojną i krematoriami jako obsesją. W nihilizmie kryje się jednak pułapka, bo jego przewyższanie prowadzi często do zatarcia granic pomiędzy celem utylitarnym i estetycznym. Wydobywać się z nihilizmu jest „bardzo dobrze”, dostaje się za to poklask. Urzędnicy kultury nie bez przyjemności witali wiersze Różewicza ogłaszające, że świat jest stężonym okrucieństwem, że nie ostoi się w nim żadna wartość. Według nich było to niezłe przygotowanie terenu. Na

(*) Miron Białoszewski, *Obroty rzeczy*, PIW 1956.

tak oczyszczonym terenie można było szerzyć znaną nam dobrze wiarę w człowieka przez wielkie C, najzupełniej pozbawioną podstaw (które niszczy się samemu) ale dostarczającą zbioru słów do retoryki. Kiedy Różewicz zaczął Kochać Człowieka i nawet od czasu do czasu wspominać w swoich wierszach o „człowieku na Kremlu, który pali fajkę” (dobrotliwy, małomówny geniusz, coś w rodzaju Jehowy z murzyńskiego filmu „Zielone Pastwiska”), był oklaskiwany i ceniony. Najbardziej opornego artystycznie zaginano w ten sposób, chwalać go za porażkę. Sentymalna faza twórczości Różewicza jest może nieco lepsza niż utwory innych poetów, którym wyrwano kły i pazury, ale naznaczona tym samym fałszem. Ostatnie jego wiersze pozwalają się spodziewać, że z niej wyjdzie, choć nie bez śladów.

O Różewicu nie można zapomnieć, kiedy czyta się pierwszą książkę Białoszewskiego. Po pierwsze wpływ formy Różewicza na rówieśników i młodszych jest niezaprzeczalny. Po drugie lęk przed jego błędami zdaje się narzucać Białoszewskiemu szczególną powściągliwość.

Czegóż to dochowała się ojczyzna ludowa? Kiedy poeta dotyka tam dzisiaj w wierszu tak zwanych „zagadnień społecznych” popełnia w oczach oświeconej opinii taką samą nieprzyzwoitość, jak poeta amerykański, który by pisał dla Hollywood. Stać się podobnym do Broniewskiego: oto z mora, straszny sen, piekło dla młodego autora. Prawdopodobnie dziecko wylewa się razem z kąpielą. Ale to jest naturalne: „poezja społeczna” stała się tym, czym przed wojną był „Dzwonek niedzielny” i „Mały Dziennik” OO. Franciszkanów. W tomie Białoszewskiego nie znajdzie się ani jednego wiersza o „zagadnieniach” za które dostawano niedawno nagrody.

„Obroty rzeczy”. Tytuł jest dobrze dobrany. Bo Białoszewski naprawdę pisze tylko o rzeczach dotykających: ścianach, szafach, tapczanach, pajęczynach, tworząc nowy język, żeby ich życie wyrazić. Jest w tym szczególna metoda wstrzemięźliwości, kto wie czy stosowana nie po to, żeby ustrzec się dwóch biegunów Różewicza: nihilizmu i jego fałszywego przezwyciężenia. Jest to poezja metafizyczna, w pierwotnym sensie określenia *ta meta physika* czyli to, co jest *koło* fizyki. Do przedwojennej awangardy nie jest wcale podobna. Różni ją surowszy stosunek do słowa, jest ono odrzucane jeżeli wyrażać ma tylko „wzruszenie” i tworzyć „piękno”. Ody do łyżki durszłakowej, do pieca, do podłogi, do stołu — powiększonych do rozmiarów planet:

*A czyj język
najadł się całym smakiem
Mlecznej Kropli przedmiotu?*

I jest jakby przeniesienie się w rzeczy, bo tylko one są konkretne, skonstruowane:

*I nic nie czuję.
Nic soczystości.
Nic koloru.
Nie tylko nie jestem
którymś z testamentowych bohaterów
ale gorzej niż fladra
przylepiona do dna na zdychanie
z uciekającymi w górę
pękami balonów oddechu
gorzej niż kartoflana matka
która wypuściła
olbrzymie jelenie rogi kłaczcy
i sama — skurczona
prawie do zniknięcia.
Uderz mnie
Konstrukcja mojego świata!*

I te tytuły wierszy o obcowaniu z przedmiotami: „Szare eminencje zachwyty”, „Podłogo, błogosław!”, „Stołowa piosenka prawie o wszechbycie”, „Sztuki piękne mojego pokoju” („Szkoła śpiewu”, „Szkoła tańca”, „Szkoła nieprzyzwyczajenia”), „Przekład z parasolki”, „Przekład z materaca”. Oto krótki wiersz pt. „Studium klucza”:

*Klucz
ma*

*zapach wody gwoździowej
smak elektryczności*

*a jako owoc
to on cierpki*

*niedojrzały
będący cały w sobie
pestką.*

Skąd wywodzi się poezja Białoszewskiego? Oczywiście z nowoczesnego malarstwa, które jest w Polsce wielbione niemal religijnie przez młodsze pokolenie literacko-artystyczne, bo malarstwo przywraca świat dotykalny, odbierany i unicestwiany przez mętną filozofię stawania się (ruchu, jeżeli w to wniknąć, tylko idei, czyli jakiś idealizm do kwadratu). Inaczej mówiąc, wywodzi się z tęsknoty do bytu (po polsku słowo brzmi źle. Lepiej jest „être” czy „being”). Cytryna ani stół nie mogą tak być na płótnie albo w słowach jak są w rzeczywistości. Ale nigdy nie zaspokoja tęsknoty, żeby choć trochę były, inaczej nazywa się wolą artysty. Język malarski jest bardziej niewinny, mniej skażony przez pojęcia (malarz maluje zawsze *ten* stół a nie

stół w ogóle), stąd kult malarstwa w Polsce, jako odtrutki. W wierszach Białoszewskiego wyraża się to i ciągłym powoływaniem się na nazwiska (Matisse, Bonnard etc.) i jakby drażnieniem pojęć, bez których słowo nie może się obejść, tak, żeby wnikać w samą esencję stołowatości, kluczoowości.

Ale istnieje i inne, jeżeli nie źródło, to pokrewieństwo. Szereg lat temu, jeszcze przed wielkim mrozem, przetłumaczyłem i ogłosiłem trochę wierszy Pabla Nerudy, z jego „melancholijnego” okresu. Później Putrament wsławił się walką z podobnymi „dekadencjami” wpływami, oskarżywszy polskich poetów o, jak się wyraził pogardliwie, uleganie „nerudycji”. Na przypomnienie zasluguja tutaj niektóre próby Nerudy, znamienne dla całej poezji współczesnej i bardzo podobne do prób Białoszewskiego. Weźmy na przykład „Tres cantos materiales” („Trzy pieśni o materii”). Pierwsza z nich nazywa się „Wejście w drzewo”. Zaczyna się tak:

*Nie moim rozumem, moimi palcami,
wodami powolnymi, powolnie idącymi w głąb,
spadam w królestwo niezapominajek,
w spoistą atmosferę żaloby,
w zapomnianą, rozłożoną sól,
w zapach wiązki gorzkich goździków.*

Może najbardziej istotna dla tej wyprawy w esencję drzewności jest zwrotka:

*Słodka materio, o sucho-skrzydła różo,
zanurzając się, wspinam się po twoich płatkach
stopą ciężką od czerwonego znużenia,
i w twojej twardej katedrze przyklekam
uderzając wargami o anioła.*

Druga pieśń nazywa się „Obrona selera”. Wybieram fragmenty:

*Z czystego centrum którego nigdy hałasy
nie przebiły, z nietkniętego wosku,
wylaniają się wysmukłe błyskawice,
gołębie ze spiralnym przeznaczeniem...*

*To są żyły selera, to jest piana i śmiech,
Kapelusze selera!
To znamiona selera, jego smak
robaczek świętojańskich, jego mapy
zatopione kolorem.*

*.....
O północy, mokrymi rękami
ktoś stuka do drzwi moich, we mgle,
i słyszę głos selera, głos głęboki,
szorstki głos uwięzionego wiatru...*

Trzecia pieśń — „Statut wina” — opisuje dojrzewanie winnic aż do dnia winobrania:

*Wtedy występują ludzie wina
przystrojeni w pasy purpurowe,
w kapelusze zwyciężonych pszczoł.
Niosą czarki pełne martwych oczu,
I straszliwe miecze z morskiej soli,
chrapliwymi pozdrawiają się trąbkami
pieśń śpiewając weselnych zamiarów.*

Myliłby się, kto by uznał „Trzy pieśni o materii” za igraszki (pamiętamy jak Dostojewski kpił z poematu w którym śpiewają minerały). Rodowód filozoficzny jest poważny, łączy się z obumieraniem metafizyki czy też, ściślej, jej dotychczasowego języka, co bynajmniej nie zmienia faktu, że przedmioty jakie nas otaczają są w najwyższym stopniu tajemnicze. Jeżeli dodać do tego negowanie wartości, nie wspartych już na niczym (wypadek takich poetów jak Pablo Neruda, Bertold Brecht, Eluard) zrozumiałby będzie pęd do jakiegoś utraconego królestwa *wewnątrz* materii. To zresztą jest tylko jeden ze środków ratunku. Drugim (patrz dzieje Nerudy, Brechta, Eluarda) jest wiecowa trybuna, gołąbki pokoju, „człowiek na Kremlu, który pali fajkę” i wszelkie dawki opium dla maluczkich wydzielane przez Aragona.

Tom Białoszewskiego budzi refleksje niepoehlebne dla teorii wyjaśniających charakter sztuki tylko strukturą ekonomiczną. Prawa międzynarodowej republiki artystów mają pewną trwałość. Działa tutaj źle dotychczas zbadany, wymykający się określeniom „Zeitgeist”, czy też zaraźliwość myśli i stylu, której nie dają rady słupy graniczne i różnice ustrojów. Bądźmy zresztą ostrożni: czy miejsce takiego poety jak Białoszewski w społeczeństwie jest radykalnie różne od miejsca jakie przypada poecie we Francji albo Ameryce? Robotnicy i chłopci nie rozumieją takiego wyrafinowania, nowa burżuazja urzędnicza uzna je za rzecz „niepoważną” i niebezpieczną. Pozostają pewne kręgi „elity” i młodzi entuzjaści — te małe gminy wtajemniczonych istnieją jednak wszędzie i należałoby zbadać, jakim czynnikiem zawdzięczają one dzisiaj w Polsce swój rozrost i wyjątkową wirulentność. Tu chyba trzeba wziąć pod uwagę ogromne zwiększenie liczby młodzieży studiującej, poważną atmosferę na uniwersytetach, protest i anty-konformizm trudne do wypalenia.

Czy wiersze Białoszewskiego wyrażają tyle, ile kompozycje abstrakcyjne, co do których trudno nieraz orzec z jakiego kraju pochodzą? Niech będzie przedmiot, rzecz, życie rzeczy. Ale rzeczy są oglądane przez człowieka i ich zestaw układa się w pewien krajobraz. Rzeczywistość jaką chwyta Białoszewski nazwałbym rzeczywistością osypującego się tynku. Ktokolwiek

miał okazję śledzić wpływ dogmatu na działanie kurków wodociagowych, klozetów, na brak towarów w sklepach, na powolny rozpad nieremontowanych murów czyli widział paraliż woli ludzkiej porażonej przez centralizm państwowy — odgadnie o czym mówię. Do pajęczyn, kurzu, zapachu kapusty, zmęczenia w twarzach można się przyzwyczaić. Zrobić z tego coś w sensie artystycznym, to znaczy dokonać odskoku. Nie chcę powiedzieć, że uważam tę poezję za „wykwit” czy „odbicie”. Przywiązanie do pleśni, ruder, odpadków cywilizacji właściwe jest wielu dzisiejszym poetom (zawsze jest to wyraz buntu) a jak twierdzi Jeleński, z którym dyskutowałem wiersze Białoszewskiego, przypominają one szczególnie młodą poezję włoską z lat zaraz po wojnie. Związek z obserwowaną rzeczywistością jest więc nie przyczynowy, ale funkcjonalny, bogini Ananke, stosownie do prośby Białoszewskiego, składa w jego ręce dar nieprzyzwyczajenia — dzięki temu autor jest wyczulony na wszystko gorsze, pogardzane i podrzędne.

Większość wierszy ma za temat cztery ściany pokoju, kamienicę, a więc to, co najzwyczajniejsze, zobaczone na nowo. Wpatrując się długo w ścianę z liszajami wilgoci, odkryje się w niej wreszcie zarysy fantastycznych stworów i łądów: taka jest ta poezja.

*Kołysze się moja skała
Podziurawiona od pieter.
Kołysze się mój dom
z tym całym atlasem secesji
czy wieków...
.....
Cóż tu kwitnie
prócz żelastwa skręconych bram,
prócz gęstej pajęczyny
poruszeń i gestów?
U któregoś dna
zbitocone muszle dworców
szumią wszystko i nic.*

St. Ign. Witkiewicz opisując doznania po zażyciu kokainy albo peyotlu przedstawił ile wzruszeń wizualnych może dać w tym stanie gwóźdź czy spodnie w pepite. Wyprzedził w ten sposób eksperymenty pisarzy zachodnich z meskaliną (Huxley, Michaux). Stosunek Białoszewskiego do materii jest o wiele bardziej gwałtowny i tragiczny niż u tych, którzy kontemplują ją biernie, z pomocą narkotyku czy bez. Bardziej też gwałtowny i tragiczny niż u Nerudy w jego „Tres cantos materiales”. Białoszewski mówi rzeczami, jest to jedyne język jemu dostępny. Jego hasłem jest radość na przekór, wyciskanie uniesień z tego, co, zdawałoby się, powinno budzić „uczucia życiowe” jak gniew czy przygnębienie. Jedno z takich upartych uniesień przybiera kształt „groteski”:

ACH, GDYBY, GDYBY NAWET PIEC ZABRALI
moja niewyczerpana oda do radości

*Mam piec
Podobny do bramy triumfalnej!*

*Zabierają mi piec
Podobny do bramy triumfalnej!!*

*Oddajcie mi piec
Podobny do bramy triumfalnej!*

*Zabrali.
Została po nim tylko
szara*

*naga
jama*

*Szara naga jama.
I to mi wystarczy:
Szara naga jama
Szara-naga-jama
Sza-ra-na-ga-ja-ma
Szaranagajama.*

A ludzie? Ci występują jako pół-żywiół materialny, nieodzielony, zrośnięty z gliną, drzewem, jako ślad raczej niż osobne istnienie:

*Dnami garnków
latają
jaszczury starych rąk.
.....
Noc
Teraz już razem rośniemy, krążymy
kartofle ludzie psy dachy.*

W kamienicy:

*Jedna i ta sama poręcz
od piwnic
niepojętych jak stworzenie świata
do strychów
niespokojnych jak sąd ostateczny
Skrzypi i skrzypi
niby instrument
drewniany
melancholijny
i ponadto
wszechludzki,
bo grają na niej
wspólnie*

*ręce wchodzące i schodzące
i piętrzą się
zamyślenia
mijania
w akord tak wzruszający
że uszy wzbierają mi płaczem.*

Pion podwórza: „idą na dno przebaczenia” „kobiety z szarymi zwojami w drodze do terkoczącej klepsydry magła”, całe stada ludzkie, „szklani rycerze którzy opowiadają na butelkach wojnę karaluchową”, „śpiewacy uciętej ręki, twórcy opery wie-szakowej, ptasznicy od czarnoskrzydłych parasoli”.

Cecylie, Doroty, Weroniki:

*W dole - w dole - z góry na dół
Cecylia gra na maglu,
kufry, klasy przesuwane,
drewniane zęby — jej męczeństwo —
.....
A ta Dorota-nosicielka,
a kosze jak skóra chleba,
w koszach węgle, na węglach drzewa,
schody w pręgach,
sęki na plecach —
wysoka droga omdlewa.*

Białoszewski jest „śpiewakiem uciętej ręki” bo całą strefę wewnętrzną człowieka traktuje jako zakazaną. Nie jest to rzadkie u dzisiejszych poetów: ideologia totalitarna, kompromitująca albo rujnując „wewnętrzność”, doprowadziła tylko do skrajności sytuację bardziej powszechną. Siła wyrazu może już wtedy polegać tylko na przemilczeniu. Białoszewski został skazany na całkowitą obiektywizację — w sensie dosłownym, to znaczy przekreślając jeden z pierwiastków dwójcy: subiekt-obiekt. Przekreślając pozornie: przenosi się w obiekt, w przedmiot ze swoim wewnętrznym gospodarstwem. Jest więc bardzo nowoczesny. Pisze już po zgonie „liryki”, która stała się pastwą „Dzwonków niedzielnych” w społecznym sosie.

Powitajmy poetę. Jest on autentyczny. Ciągły wysiłek stanięcia na granicy wyrażalnego, uczciwość artysty — to cechy nowe w Polsce i w pełni rewolucyjne. Ale czy cela z imbrykiem, z jamą po piecu, z zaciekami na ścianie może wystarczyć? W życie przedmiotów przenika się zapewne tylko przez jakiś luz zostawiony „wewnętrzności” i, na odwrót, „wewnętrzność” karmi się ich życiem. Krytyk nie może zresztą tu nie zalecać, chyba życzyć Białoszewskiemu, żeby go nie posmarowali miodem. „Jabłoń nie zwraca się do buka z pytaniem jak rosnąć i lew nie pyta konia jak chwycić zdobycz” — powiedział William Blake.

Czesław MIŁOSZ

Archiwum polityczne

“Wyzwolenie-Zjednoczenie”, którego nikt nie chce

Mięło już niemal cztery lata od chwili ukazania się książki J. Burnhama „Containment or liberation”. W okresie tych czterech lat umarł Stalin, pogrzebano (oficjalnie) „stalinizm”, „berio-wszczyznę” i „kult jednostki”. Ufundowano „kolektywne przywództwo” i proklamowano politykę koegzystencji. W okresie tym, tak Rosja jak i Stany Zjednoczone dokonały olbrzymiego postępu w budowie bomb atomowych i wodorowych.

Czym jest dziś w tym zmienionym świecie polityka wyzwolenia? Czy jest rzeczą możliwą tchnąć realną treść w ten termin wyblakły w swym bezużytecznym dziewictwie?

Wszystkim Polakom z Kraju, z którymi rozmawiałem na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy, stawiałem sakramentalne zapytanie: „Co pan(i) sądzi o audycjach polskich z Monachium?”

Opinie były na ogół pozytywne ale kilku moich rozmówców dodało komentarz, który można by sformułować następująco: „W Kraju mamy poczucie wielkiej dysproporcji pomiędzy propagandą a polityką amerykańską. Propaganda amerykańska nie jest kłamliwa, ale niemniej, samym swym rozmiarem i napięciem budzi nadzieje, którym nie odpowiadają ani czyny ani nawet deklaracje polityczne”.

Inny mój krajowy informator wyraził pogląd, że „propaganda nawet głosząca najszlachetniejsze hasła jeżeli zbyt daleko odbiega od realnej polityki jest w gruncie rzeczy niemoralna”.

Zastanowiła mnie ta uwaga. Niewątpliwie istnieje rażąca dysproporcja między olbrzymią i kosztowną machiną „Free Europe”, a politycznym statutem koncepcji „wyzwolenia”. „Liberation” nie zostało sformułowane jako konkretny postulat polityki amerykańskiej i nigdy nie wyszło z mgławicowej sfery przedwyborczej frazeologii. Nigdy nie uczyniono gestu by ożywić tę

konceptję i nadać jej realistyczne pozory. I tak — powiedzmy dla przykładu — odnośne wystąpienie w OZN choć konkretnie nie przyniosłoby żadnego wyniku nadałoby jednak „liberation” charakter postulatowi polityki amerykańskiej. W jeszcze większym stopniu osiągnięto by ten cel czyniąc z wyzwolenia Europy wschodniej kardynalny warunek kontroli zbrojeń, redukcji zbrojeń i wszelkich ograniczeń dotyczących broni atomowych.

Z drugiej strony trzeba otwarcie przyznać, że politycy amerykańscy są w niełatwej sytuacji. Wydaje się, że wojny w skali światowej za życia naszego pokolenia — nie będzie. Jeżeli nie ma być wojny — nie będzie wyzwolenia siłą. Polityka nacisku — na której wszystkie swe nadzieje budował kanclerz Adenauer — jest również mało prawdopodobna. Nacisk czy demonstracja siły jeżeliby przynieść miały oczekiwane rezultaty — musiałyby być podjęte na wielką skalę. Nacisk przez wielkie „N” wywołałby natychmiast groźne zaostrenie sytuacji międzynarodowej i „plebiscyt” wśród kolorowych ludów Afryki i Azji. Żaden amerykański mąż stanu nie podejmie tego rodzaju inicjatywy. W żadnym wypadku takiego kursu nie obierze „prezydent pokoju” D. Eisenhower.

Rzut oka na mapę Europy upewni każdego, że podział Niemiec jest ową pieczęcią gwarantującą trwanie układu jaki powstał w Europie po Jacie. Dopóki Niemcy są podzielone — w Warszawie, w Bukareszcie czy w Pradze mogą być „odwilże” ale o żadnych istotnych zmianach nie może być mowy.

Historycy i publicyści mają zwyczaj post factum przypisywać mężom stanu makiawelskie i genialne pomysły. Nie wiem czy Stalin zdawał sobie z tego w pełni sprawę, ale niewątpliwie podziałem Niemiec, jak niczym innym, zaasekurował swe rozległe zdobycze w Europie wschodniej. Bo w praktyce „wyzwolenie” musiało się zacząć od „wyzwolenia” i zjednoczenia Niemiec. Zjednoczenia Niemiec de facto nikt nie chce. Narody Europy a zwłaszcza Francuzi i Anglicy z podziału Niemiec są bardzo zadowoleni. Ponieważ zjednoczenia Niemiec nie chcą i Rosjanie — wszyscy... bez wysiłku godzą się z obecnym stanem rzeczy.

Jak wiemy polityka kanclerza Adenauera opierała się na przeświadczeniu, że — po pierwsze NATO będzie rósł w siły a nie odwrotnie — po drugie, że ważnym czynnikiem w tej (w przyszłości) kwitnącej organizacji będą nowoczesne dywizje niemieckie. W oparciu o te elementy siły sprzymierzeni mieli wyrzucić (w niewiadomej formie i niewiadomym terminie) nacisk na Sowietów.

Lecz po śmierci Stalina przyszedł Malenkov — po nim Chruszczow i Bułganin, którzy proklamowali koegzystencję. W rezultacie państwa zachodnie zamiast wzmacniać NATO przystąpiły do redukcji zbrojeń.

W sierpniu br. w Waszyngtonie wylądował gen. Heusinger — szef zachodnio-niemieckiego sztabu generalnego. Jego zada-

niem było zaalarmować Pentagon i przedstawić rozmiar katastrofy grożącej NATO jeżeliby proponowane i dyskutowane redukcje amerykańskich sił zbrojnych wejść miały w życie. Analogiczne memorandum złożył w Departamencie Stanu niemiecki ambasador dr Krekeler.

Gen. Heusinger otrzymał przyjazne zapewnienia, które miały na celu uspokoić kanclerza Adenauera. Prasa amerykańska, donosząc o misji niemieckiego szefa sztabu, nie ukrywała zdziwienia a nawet — pewnego zniecierpliwienia, że ktoś z zewnątrz interweniuje w sprawach wewnętrznej polityki amerykańskiej. Wizyta gen. Heusingera była pozytywnym wydarzeniem choćby z tego tylko względu, że przypomniła Amerykanom dobitnie fakt, iż budżet zbrojeniowy Ameryki już dawno przestał być wewnętrzną sprawą Stanów Zjednoczonych. Amerykańskie zobowiązania wojskowe nie mogą być dziś redukowane na podstawie jednostronnych decyzji Waszyngtonu.

Ale to tylko uwaga na marginesie. Wróćmy do tematu, który rozważamy.

Trzeba zacząć od stwierdzenia, że „starsi panowie”, którzy rządzą w Bonn, w Paryżu, w Londynie i w Waszyngtonie — znacznie lepiej orientowali się w „zimnej wojnie” niż w „koegzystencji”.

Według zbanalizowanego określenia Clausewitza wojna jest polityką prowadzoną innymi środkami. Trawestując tę maksymę, można powiedzieć, że dla komunisty pokój jest wojną prowadzoną innymi środkami. I tylko w tym sensie należy rozumieć termin koegzystencja. I nie może być inaczej bo komuniści nie zrezygnowali z zwycięstwa ich idei i programu.

Jeżeli nie będzie wojny ani zimnej ani gorącej a klimat koegzystencji będzie się pogłębiał — starcie ideologiczne ulegnie wzmoczeniu. Coraz więcej ludzi z Zachodu odwiedza kraje demokracji „ludowej” i odwrotnie ludzie stamtąd przyjeżdżają na Zachód. Tak jedni jak i drudzy poddani są w znacznie większym stopniu niż dawniej — penetracji ideologicznej o przeciwnych znakach.

Postawa zachodnia jest czysto defensywna. Kontakt z komunistami wywołuje popłoch i przerażenie. Stawiając tak sprawę, niejako z góry przyznajemy, że jeżeli demokracja zetknie się z komunistą istnieje większe prawdopodobieństwo skomunizowania demokracji niż zdemokratyzowania komunisty. Być może druga wojna światowa była ostatnią wojną światową w dziejach ludzkości. Ale nawet gdybyśmy mieli podstawy żywić tak optymistyczną nadzieję — nie wolno nam zapominać, że walka ideologiczna z komunizmem musi być rozegrana i nikt tego za nas nie zrobi.

Krajem w Europie, który mógłby nadać koegzystencji charakter ofensywny — są Niemcy. Wymagałoby to jednak całkowitej reorientacji ich obecnej polityki. Niemcy winni zdać sobie jasno sprawę, że mało realną koncepcję nacisku koegzystencyjną

polityka Moskwy uczyniła jeszcze mniej prawdopodobną niż kiedykolwiek przedtem. Utrzymywanie armii na kontynencie państwa anglosaskie odczuwać będą z każdym rokiem za coraz większy ciężar i kłopot. Na zjednoczeniu Niemiec nikomu nie zależy. Inicjatywę idącą po tej linii winni więc podjąć zainteresowani, to jest Niemcy.

Partię komunistyczną uznano w Niemczech Zachodnich za nielegalną. Komuniści zachodnio-niemieccy nie odgrywali żadnej roli i można uznać za pewnik, że nie zdołaliby skomunizować federalnej republiki. Okazuje się, że kanclerz Adenauer nie uznaje koegzystencji i prowadzi nadal „zimną wojnę” — tym razem na własny rachunek.

Tak Niemcy jak i my powinniśmy wreszcie zrozumieć, że nie można celów wojennych realizować polityką pokojową. Trzeba albo zrezygnować z celów, które są do osiągnięcia tylko w wyniku zwycięskiej wojny — albo trzeba zrezygnować z pokoju.

Cała seria międzynarodowych oświadczeń w sprawie granicy na Odrze i Nisie (Mc Cloy, E. Wiskemann, R. Crosmann itd.) nie jest dowodem wzrostu sympatii dla Polaków. Głosy te świadczą tylko, że na Zachodzie gruntuje się przekonanie, iż rewizja tej granicy oznaczałaby wojnę. Wojnę niesprawiedliwą, dla której Niemcy sojusznika nie znajdują.

Rosjanie pierwsi zdali sobie sprawę, że polityka koegzystencji daje niepomrotnie więcej możliwości niż „zimna wojna”. Koegzystencja niemal na drugi dzień zaczęła przynosić Sowietom poważne zyski, bo każde odprężenie na Zachodzie wyraża się redukcją w wydatkach zbrojeniowych i anemią NATO. Lecz to jeszcze nie wszystko. Setki artykułów jakie ukazały się na łamach prasy zachodniej o „odwilży”, „liberalizacji”, „de-stalinizacji” itp. — spowodowały pewne „zmiękczenie” opinii. Coraz większy procent ludzi na Zachodzie skłania się ku przeświadczeniu, że komunizm z czasem wydestyluje się w wschodni typ demokracji.

To są wielkie osiągnięcia polityki sowieckiej. Ale koegzystencja mogłaby być bronią obosieczną, gdyby ludziom Zachodu zależało na propagowaniu demokracji — tak jak komunistom zależy na propagowaniu komunizmu. Zwłaszcza Niemcy zachodnie dzięki swej sytuacji i położeniu mogłyby podjąć pokojową lecz ideologicznie ofensywną politykę.

Gdybym był politykiem niemieckim domagałbym się uznania rządu Niemiec „ludowych” i nawiązania rozmów ogólnoniemieckich. Jest oczywiste, że bez ultimatum i zagrożenia wojną Niemcy wschodnie (i ich protektor) nie zgodzą się na wolne, demokratyczne wybory. Lecz czyż zawsze musi się zaczynać od pieca i czy, jak w danej sytuacji, gdy od pieca zacząć nie można — nie należy w ogóle zaczynać?

Od pieca wolnych wyborów można by zacząć, gdyby Rosja skapitulowała albo po przegranej wojnie albo pod naciskiem

ultimatum. Jednak prowadząc politykę pokojową nie można zaczynać od domagania się owocu zwycięstwa.

W moim przekonaniu Niemcy zachodnie podejmując rozmowy z Niemiecką Republiką Ludową — nie mają nic do stracenia a wiele do wygrania. Powiedzmy dla przykładu — utworzenie Rady ogólnoniemieckiej niewątpliwie byłoby wielkim krokiem naprzód na drodze do zjednoczenia. Nawiązanie rozmów i kontaktów gdyby podjęte było na wielką skalę i z odpowiednią energią po pewnym czasie wywarłoby potężny wpływ na klimat polityczny i kulturalny „ludowej” republiki niemieckiej. Niemcy zachodnie powinny środkami pokojowymi, których jest wiele — burzyć a nie wzmacniać „żelazną kurtynę” oddzielającą od siebie dwa bratnie państwa niemieckie. Likwidacja partii komunistycznej w republice federalnej służy tylko wzmocnieniu „żelaznej kurtyny” a nie odwrotnie. Gdyby było możliwe zlikwidować partię komunistyczną we Włoszech — byłby to wielki sukces. W Niemczech zachodnich jest to nie sukces lecz polityczny błąd.

Rząd republiki „ludowej” gdyby został uznany i potraktowany jako partner w obecnej epoce koegzystencji nie mógłby przeszkodzić zbliżeniom na różnych polach co w konsekwencji mogłoby objawić się nieoczekiwaną i nieprzewidzianą „odwilżą”. Nie ulega wątpliwości, że żadne inne państwo na świecie nie dysponuje tak znakomitą pozycją wypadową jak Niemcy zachodnie. W ramach na szeroką skalę podjętego zbliżenia, Niemcy zachodnie mogłyby wywierać na republikę „ludową” przemożny wpływ w sferze gospodarki, kultury i polityki. Ten wpływ — po pewnym czasie musiałby się wyrazić w pewnej liberalizacji i reformach, które byłyby z napięciem obserwowane przez wszystkie inne państwa demokracji „ludowej” w Europie wschodniej. Rozwój po tej linii po pewnym okresie czasu postawił by Rosję w obliczu nowej sytuacji.

Rosja nie chce zjednoczenia Niemiec. Ale być może zgodziłaby się na zjednoczenie — na pewnych warunkach — gdyby w Moskwie uznano, że dynamiczna polityka koegzystencji, podjęta przez Niemcy zachodnie zagraża spójności „ludowego” reżymu. Sowiety miałyby wówczas do wyboru tylko dwie drogi: Odwołać politykę koegzystencji i wrócić do klasycznych metod „zimnej wojny”. Podejmując taki krok Moskwa musiałaby się liczyć z reakcją Ameryki i z renesansem NATO. Albo — trzeba by szukać nowego rozwiązania i nowej formuły kompromisu.

Rosjanie nie zgodziliby się z całą pewnością na zjednoczenie, które by oznaczało całkowitą likwidację ustroju komunistycznego w Niemczech wschodnich. Nie zgodziliby się również na zjednoczenie, które stwarzałoby możliwości odbudowy potęgi Niemiec z lat 39-tych.

Być może jednak zgodziliby się na zjednoczenie luźniejsze (nie scalenie) z zachowaniem pewnej autonomii republiki „ludowej” przy równoczesnym włączeniu całych Niemiec do pasa

neutralnego, który objąłby wszystkie kraje satelickie Europy wschodniej. Wzajemnie Anglosasi zlikwidowaliby na kontynencie swoje bazy i armie — co w praktyce równałoby się rozwiązaniu NATO. Pas neutralny byłby pod stałą kontrolą międzynarodową z ściśle określonymi budżetami zbrojeniowymi itd.

Jedno jest pewne. Rosja zgodzi się na taką czy podobną koncepcję tylko wówczas jeżeli politycy w Moskwie dojdą do wniosku, że państwa „satelickie” stają się nabytkiem kłopotliwym. Z różnych informacji należy wnioskować, że w Rosji rośnie liczba zwolenników wyrównania stosunków z Stanami Zjednoczonymi. Ferment w krajach ujarzmionych może w przyszłości ogromnie utrudniać zamierzoną poprawę stosunków z Ameryką.

Rosjanie — jak wszystkie narody wschodnie — przywiązują olbrzymią wagę do spraw prestiżowych. Toteż kompromis musiałby w pełni chronić „twarz” Moskwy. Gdyby jednak Rosjanie mieli do wyboru z jednej strony trudną i komplikującą się sytuację w krajach „satelickich” a z drugiej strony pas neutralny, którego organizacja nie kompromitowałaby Sowietów — skłonny jestem przypuszczać, że poszliby na tę koncepcję.

Jest oczywiste, że dziś Rosja nie ma powodu iść na taki kompromis. Polityka nie-uznawania, nie-rozmawiania, nie-negocjowania — uprawiana przez kanclerza Adenauera idzie w gruncie rzeczy jak najbardziej po linii cichych życzeń Moskwy. Niemcy zachodnie odcinają bowiem państwa „satelickie” od Europy. Im stanowisko federalnej republiki jest bardziej sztywne i nieprzejednane tym — z punktu widzenia sowieckiego — Bonn lepiej spełnia rolę zapory oddzielającej imperium satelickie od „burżuazyjnego” Zachodu.

Niemcy wykorzystując swe położenie mogłyby podjąć inicjatywę polityczne o wielkim znaczeniu. Nie oznacza to jednak, że tylko Niemcy powinni dynamizować politykę koegzystencji.

W chwili gdy piszę te słowa (pierwsza dekada września) trudno przewidzieć jak rozwinie się kryzys sueski. Jednak w moim przekonaniu należało uprzedzić inicjatywę prez. Nasser. Dynamiczna polityka koegzystencji musi zmierzać do zjednywania przyjaciół w tym wielkim plebiscycie narodów. Kompania Kanału Sueskiego, olbrzymie koncerny naftowe roznoszone po całym środkowym Wschodzie, winny być przebudowane w arabskie instytucje pod nadzorem międzynarodowym. Lwią część dochodów tych instytucji należałoby statutowo przeznaczyć na gospodarczą i społeczną rozbudowę odnośnych krajów.

Jeżeli Zachód nie zrobi tego dziś — w najbliższych latach zrobią to zainteresowane państwa arabskie na własną rękę przy aktywnym poparciu Sowietów. Wówczas stracimy nie tylko naftę ale i ewentualnych sojuszników.

Koegzystencja daje niewątpliwie większe możliwości niż „zimna wojna” ale również kryje w sobie daleko większe niebezpieczeństwa.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

LITERACI A POLITYKA

W sierpniowym numerze „Kultury”, w zakończeniu mojego artykułu napisałem co następuje:

„Naszym celem jest uwolnienie Polski spod władania Sowietów ale absolutnie nic poza tym. Z chwilą gdy Rosja wycofa się całkowicie z Polski nie będzie żadnych przeszkód w nawiązaniu normalnych i poprawnych stosunków pomiędzy nami a Związkiem Sowieckim. Powinniśmy zawsze podkreślać, że celem naszej polityki jest wyłącznie odzyskanie niepodległości a nie zagłada Związku Sowieckiego i wyniszczenie komunizmu na wszystkich ładach ziemi”.

Ku mojemu zdumieniu powyżej przytoczony cytat wywołał „burzę” i serię ataków. Ku mojemu jeszcze większemu zdumieniu wśród krytyków znalazł się również Józef Mackiewicz.

Reprezentuję od lat pogląd, że w publicystyce należy w pierwszym rzędzie poruszać zagadnienia sporne. Na tych łamach omawiałem wiele problemów spornych i drażliwych. Stwierdzając jednak, że celem naszej polityki jest odzyskanie niepodległości a nie rozbięcie Rosji — byłem przekonany, iż powtarzam rzecz bezspornie oczywistą. Czasem nie można uniknąć powtarzania rzeczy oczywistych a innym razem dobrze jest pewne oczywistości Czytelnikom przypomnieć. Okazuje się jednak, że nie dla wszystkich są to stwierdzenia oczywiste i bezsporne.

Postulaty polityczne, jeżeli nie mają być zwykłą tromtadracją muszą się mieścić w ramach rzeczy możliwych, wymiernych i osiągalnych. Nie mogą stać w jaskrawej sprzeczności z logiką i rzeczywistością. Przede wszystkim nie można głosić celów wojennych podpisując się równocześnie pod polityką pokojową. Na coś trzeba się zdecydować. Gdyby Stany Zjednoczone prowadziły politykę wojny — wówczas mogłyby stwierdzić, że celem ich wojennej polityki jest rozbięcie Związku Sowieckiego. Jak wiemy, Ameryka nie prowadzi polityki wojennej. Można uznać za pewnik, że wielokrotnie oświadczenia amerykańskich mężów stanu stwierdzające, iż siły zbrojne ich kraju nie zostaną nigdy użyte do wojny zaczepnej — odpowiadają prawdzie.

Wiadomo również, że bronie wodorowe w dużej mierze pozbawiły wojnę charakteru narzędzia politycznego. Wojna na wielką skalę stała się mniej prawdopodobna niż kiedykolwiek przedtem. (Wojną na małą skalę Rosji nikt nie zlikwiduje).

Wszystko to są rzeczy powszechnie znane. Nasi emigracyjni dostojnicy na wszystkich akademiach powtarzają za „amerykańską panią matką” artykuł wiary o „wyzwoleniu środkami pokojowymi”. Nie przeszkadza to Józefowi Mackiewiczowi i innym postulatorom polityki emigracyjnej domagać się równocześnie rozbięcia Związku Sowieckiego i wytrzebienia komunizmu w najdalszych zakątkach ziemi. Czy również „środkami pokojowymi”?

Niedobory sensu i logiki chętnie się u nas wybacza, byle całość podłana była obficie narodowym sosem. Pisarze nawet tak dużej miary jak Józef Mackiewicz — w polityce są przeważnie zupełnymi dyletantami. Niemniej wpływ utalentowanych pisarzy na polską myśl polityczną był zawsze wielki. Utopijność naszej polityki w dużej mierze wywodzi się z tego źródła.

Należy rozróżnić politykę od idei uniwersalistycznych. Pisarzy pociągają idee — nie praktyczna polityka. Istnieje tylko jedno kryterium oceny w polityce a mianowicie: interes państwa i narodu. Realizowanie skądinąd słusznej idei nie zawsze leży w interesie państwowym. W okresie niepodległości, wielu Polaków ideę krucjaty przeciwko Sowietaom uważało za ideę słuszną i godną poparcia. Jednak żaden sejm nie byłby upoważnił Prezydenta i rządu do podjęcia kroków wojennych zmierzających do realizacji tego programu. Idea mogła być słuszną ale włączenie jej do postulatów naszej polityki państwowej było sprzeczne z interesem państwowym.

Być może, większość Amerykanów sądzi na dnie duszy, że rozparcelowanie Sowieców i zlikwidowanie światowego komunizmu byłoby rozwiązaniem idealnym. W praktyce jednak realizacja tego programu wiąże się ze zbyt wielkim ryzykiem dla państwowego interesu Stanów Zjednoczonych. Światowa wojna wodorowa jest imprezą o tak wielu niewiadomych, że nie można jej ująć w ramy wymiernej politycznej kalkulacji. I dlatego przyjęto pogląd, że wojna atomowa nie leży w naszym interesie.

Idee mają być niezależne od możliwości realizacyjnych i tym różnią się od polityki, która jeżeli jest niewykonalna przestaje być polityką.

Każdemu wolno głosić, że należy zetrzeć w proch i w pył Związek Sowiecki. Nikomu jednak nie wolno czynić z powyższej tezy postulatów polskiej polityki państwowej.

LATWIEJ Z MOSKWĄ NIŻ Z WARSZAWĄ

Piszą, piszą, piszą. Ale w praktyce nic się nie zmieniło. Oto przykład. Zapowiedziano — między innymi — krajowe wydanie powieści Parnickiego. Ba, „Srebrne Orły” figurują już podobno w krajowych katalogach księgarskich. Jeżeli jednak ktoś te same „Srebrne Orły” wysłałby znajomemu w Kraju (z Paryża czy z Londynu) — przesyłka ulegnie konfiskacie. To są fakty, które stwierdziliśmy ponad wszelką wątpliwość.

W takiej sytuacji budzi się uzasadnione podejrzenie, że „Srebrne Orły” w wydaniu warszawskim będą czymś innym niż w wydaniu emigracyjnym. Pesymiści idą dalej i szepczą, że zapowiedzi wydawnicze książek emigracyjnych w Kraju są zwykłą „lipą”. Książki będą figurowały w katalogach i nigdzie poza tym.

Faktem jest, że daleko łatwiej można zorganizować normalną wymianę z wydawnictwami sowieckimi niż z krajowymi. Mimo całej „odwilży”, „de-stalinizacji”, „liberalizacji” itd., itd. — jeśli nawet wydawnictwa krajowe zaczynają nadsyłać egzemplarze recenzyjne czy wymienne — i to raczej nieśmiało — w dalszym nasze druki do nich nie docierają.

W czasie niedawnego zjazdu Pen-Clubów pewien pisarz krajowy prosił mnie bym wybrał kilka najcenniejszych książek emigracyjnych i wysłał na adres Związku Literatów. Po chwili namysłu dodał: „Wie pan co —

w Związku paczkę mogą zagubić — niech pan to wyśle na mój adres prywatny”.

Wysłałem — nic nie doszło. Analogicznie smutne doświadczenia mamy z bibliotekami — nawet z biblioteką Akademii Nauk.

Doprawdy trudno wymagać od kogokolwiek by brał poważnie gorące zapewnienia o „demokratyzacji”, „de-biurokratyzacji” i „odwilży” w permanencji dopóki nie jest spełniony minimalny postulat treści następującej:

„Książki emigracyjne oraz periodyki emigracyjne muszą docierać bez przeszkód do: a) Bibliotek publicznych, b) redakcji pism, c) pisarzy i dziennikarzy w Kraju.

To jest owo minimum, które można by uznać za sprawdzian obiektywnej pewnej zmiany w porównaniu do okresu stalinowszczyzny.

Dopóki powyższy postulat nie zostanie w pełni zrealizowany odmawiamy kredytu wszystkim papierowym „liberalizacjom” i literackim „rewolucjom”.

AUTOR I PRAWO

W emigracyjnych kołach literackich rozważany jest projekt deklaracji czy uchwały mocą której pisarze na obczyźnie zrzekliby się praw autorskich w stosunku do krajowych wydawców.

Ów projekt wydaje się zarówno bezsensowny jak niebezpieczny. Autor nie powinien nigdy zrzekać się swych praw bo tylko w ramach tych praw może odpowiadać za swoje dzieło. Jeżeli okaże się, że wydania krajowe książek emigracyjnych różnią się od oryginałów — autorzy, którzy zrzekną się swych praw nie będą mieli nawet tytułu do protestu.

Do czego zmierza ów dziwny projekt? Inicjatorzy tego pomysłu sądzą, że przyjąwszy tego rodzaju uchwałę odetnie się pisarzy emigracyjnych od wszelkich pokus paktowania z PIW'em czy z PAX'em. Wydawcy krajowi będą sobie przedrukowywali z literatury emigracyjnej co im się będzie podobało i jak im się będzie podobało — a my zrezygnowawszy ze wszystkich praw, uratujemy naszą emigracyjną niewinność.

Padły również głosy, że tym sprawom nie ma powodu poświęcać uwagi, ponieważ na tych kilka książek, napisanych na obczyźnie, w Kraju nikt nie czeka. W myśl tych opinii, jest przejawem emigracyjnej megalomanii wyobrażać sobie, że wydawca krajowy czyha na pisarzy emigracyjnych i na ich genialne dzieła.

Na tych łamach nie przecenialiśmy nigdy znaczenia literatury emigracyjnej. Niemniej, trzeba obiektywnie stwierdzić, że choć wydawcy krajowi nie czyhają na manuskrypty emigracyjne — to przecież jednak w związku z wydaniami krajowymi wymieniania się sporo nazwisk emigracyjnego Parnasu: Baliński, Gombrowicz, Kuncewiczowa, Kossak-Szczucka, Pamicki, Wańkowicz. Sądzę, że cyfra ta nie jest ostateczna.

Nikt chyba nie wyobrażał sobie, że cała literatura emigracyjna zostanie przedrukowana w Kraju i włączona do skarbnicy sztuki narodowej. Gdyby w Warszawie rezydował nie p. Cyrankiewicz, ale demokratycznie wyłoniony najautentyczniejszy rząd Rzplitej — nie byłoby i wówczas powodu obdarowywać rodaków całością naszego literackiego dorobku. W każdym wy-

padku powrót literatury emigracyjnej na ojczyste łono będzie zagadnieniem wyboru i bardzo skrzętnego przesiewania.

Pewien mój znajomy, który wydał na emigracji broszurę śmiertelnie nudną ale za to anty-komunistyczną — powiedział mi przed kilku dniami: „Uwierzę, że się w Polsce coś zmieniło jak w Warszawie wydadzą moje dziełko!”

Nie chciałem pocziwca martwić ale pomyślałem sobie w duchu, że byłoby oznaką katastrofy gdyby zmiany w Polsce zaszły aż tak daleko by wydawano tego typu propagandową grafomanię.

Literatury emigracyjnej nie można dziś i nie będzie można nigdy traktować hurtem. Fakt, że PIW nie wyda „Sprawy Józefa Mosta” H. Naglerowej nie oznacza, że Polacy w Kraju winni być na dobitkę pozbawieni pięknych wierszy Balińskiego czy prozy Gombrowicza.

W sytuacji obecnej selekcja jest oczywiście bardzo ścisła i oparta o znane kryteria polityczne. Niemniej, każda książka napisana w wolnym świecie, którą uda się rozpowszechnić w Kraju — jest ważną pozycją. Gdyby na razie tylko sześciu czy siedmiu autorów emigracyjnych miało możliwości przedruku swych książek w Kraju — to już jest problem, którego nie wolno ani lekceważyć ani kwitować milczeniem. Trzeba natomiast temu zagadnieniu nadać odpowiednio przemyślane ramy. Wydaje mi się, że wytyczne opracowane przez Zespół „Kultury”, które ogłosiliśmy w numerze wrześniowym — w całości odpowiadają tym wymogom.

WYBORY PO RAZ ŚETNY

Dziś nie ma pisma na emigracji, które nie głosiłoby, że pierwsze wystąpiło z żądaniem wyborów. Nawet „Orzeł Biały” i „Dziennik Polski” od samego początku wysuwały postulat wyborów o czym doprawdy nic nie wiedzieliśmy.

Nie byłoby mi trudno udowodnić, że w roku Pańskim 1950 „Kultura” była całkowicie osamotniona domagając się demokratyzacji Skarbu Narodowego i oparcia tej instytucji o zasadę wyborów.

Ale w tym wypadku nie chodzi o palmę pierwszeństwa tylko o wybory. Idea niewątpliwie zapuściła korzenie, upowszechniła się i dziś walczyć przeciwko wyborom oznaczałoby przeciwstawić się wyrównanej opinii ogółu.

Wszyscy są za wyborami tylko nikt nie chce ich przeprowadzić. W pewnym sensie jest to zrozumiałe. Obecna TRJN składa się z samych „swoich”. Obrady tego ciała przebiegają gładko i nie obfitują w sensacje. Ta sielanka dobiegłaby kresu, gdyby w przyszłej Radzie większość stanowili radni pochodzący z wyborów. Nie ulega wątpliwości, że „posłowie” naciskani przez swych wyborców wysunęliby pod adresem partyjnych przywódców serię kłopotliwych pytań. Weźmy dla przykładu sprawę Bergu. Z uwagi na przepisy brytyjskie dotyczące ochrony czci tudzież przepisy dotyczące bezpieczeństwa (security) — nie jest rzeczą możliwą szczegółowe omawianie tej sprawy na łamach prasy. Ale przewodniczący Rady wyłonionej z wyborów mógłby zarządzić tajną obradę przy drzwiach zamkniętych i wówczas nie byłoby łatwo uciszyć interpelantów i zbyć ich ogólnikami.

Jak pogodzić stare z nowym — pretensje partii historycznych z nowoczesnym, demokratycznym poglądem ogółu emigracyjnego?

Ilustracją całkowitego pomieszania pojęć jest Rada Trzech, która złożyła przysięgę na wierność Konstytucji mimo, że kreowanie tej Rady było aktem całkowicie sprzecznym z Konstytucją. Na domiar amb. Raczyński zapewnił, że Rada Trzech stać będzie na gruncie tzw. Aktu Zjednoczenia — mimo, że twórca tego Aktu, gen. Sosnkowski uznał, iż wyposażenie trzech radców w funkcje i atrybuty prezydenckie jest sprzeczne z Aktem Zjednoczenia. Przydałoby się przedszkole polityczne dla naszych mężów stanu — ot co!

Reprezentanci starego porządku nie cofną się przed żadną najbardziej karkołomną kombinacją byle nie stanąć przed wyborcą.

Z wyborami to tak jak z wojną. Wiadomo jak się zaczyna ale nigdy nie wiadomo na czym się skończy. Któż zaręczy czy jak raz zacznie się ten niebezpieczny proceder skończy się wszystko tylko na wyborach do Rady Jedności Narodowej. Może ludzie oszołomieni „odwilżą” emigracyjną zechcą również wybierać nowych prezesów stronnictw przedhistorycznych. I co wtedy? W atmosferze wyborczego podniecenia może ktoś wysunąć hasło odjęcia się od osobistości związanych z Bergiem. Co gorsze — hasło może zyskać wielką popularność.

Nie ma co ukrywać — *rzetelnie* przeprowadzone wybory stałyby się grobem emigracyjnego „ancien régime”.

Wszystkie projekty wyborcze mają na celu niedopuszczenie do tej „katastrofy”. Niektóre z nich są przedziwne jak na przykład projekt, który przewiduje RJN złożoną jak do tej pory z delegatów i nominatorów a obok niej reprezentację Polaków w Wielkiej Brytanii wyłonioną z wyborów. Jak należałoby powiązać lokalny sejmik Polonii brytyjskiej z Radą Jedności Narodowej tym się nikt nie kłopotuje. Ważne jest tylko to, że w takim wypadku Radę uchroniłoby się przed kataklizmem wyborczym.

Wszystkie projekty wysuwane przez koła oficjalne i pół-oficjalne są nieżyciowymi, skomplikowanymi dziwologami. Wybory jeżeli mają mieć jakikolwiek sens nie mogą ograniczyć się tylko do Wielkiej Brytanii. Powszeczne wybory na emigracji można w obecnych warunkach przeprowadzić tylko w oparciu o organizację Skarbu Narodowego. Każdy posiadacz ważnej legitymacji Skarbu Narodowego — bez względu na paszport — byłby upoważniony do głosowania. Ponieważ trudno wymagać by Polacy w Australii głosowali na Polaków w Londynie — wybory musiałyby być dwu-stopniowe.

Czy można porównać trudności w organizowaniu aparatu państwowego pod okupacją hitlerowską z rzekomymi trudnościami przeprowadzenia wyborów na emigracji?

Nie ma żadnych trudności, jest tylko paniczny strach przed rezultatem.

LONDYŃCZYK

REJESTRACJA RODZIN OFIAR KATYŃSKICH

Tygodniki polskie wychodzące w Toronto, „Głos Polski” i „Związkowiec”, wystąpiły z projektem rejestracji rodzin ofiar katyńskich. Zarząd Główny Kongresu Polonii Kanadyjskiej, który niedawno wystosował pismo do kongresmana Machrowicza z wezwaniem o ponowienie starań dla oświeślenia zbrodni katyńskiej, podjął się technicznej strony tej rejestracji. Na tej podstawie wyłoniony będzie komitet, który z upoważnienia rodzin wystąpi do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ciała najbardziej powołanego, najbardziej neutralnego, do rozpatrzenia całej tej sprawy.

W odezwie zamieszczonej w wymienionych pismach czytamy:

„Rejestracja rodzin pomordowanych w Katyniu stanowić będzie pierwszy, nieodzowny krok. Kongres Polonii Kanadyjskiej przyjmuje zgłoszenia nie tylko osób zamieszkałych w Kanadzie, lecz również we wszystkich krajach tak kontynentu amerykańskiego, jak i europejskiego.

Wyniki badań Międzynarodowego Czerwonego Krzyża będą miały kapitalne znaczenie. Wspomniany komitet będzie mógł wystąpić wobec władz sowieckich z żądaniem rehabilitacji i odszkodowań, bodaj symbolicznych, dla rodzin pomordowanych. Rząd sowiecki stanie wówczas wobec konieczności jasnego i otwartego wypowiedzenia się w sprawie zbrodni katyńskiej: albo będzie musiał dostarczyć przekonujących i bezspornych dowodów, że nie władze sowieckie, lecz niemieckie ponoszą odpowiedzialność za tę zbiorową rzeź, albo też będzie musiał obarczyć nią Stalina i Berię i w następstwie tego rehabilitować niewinnie pomordowanych jeńców, wypłacić rodzinom należne odszkodowanie. W żadnym wypadku nie możemy pozwolić, by sprawa ta zawiśła w powietrzu. Krew pomordowanych niewinnie ofiar woła o sprawiedliwość”.

Według posiadanych przez nas informacji, inicjatywa kanadyjska znalazła żywe echo w innych skupiskach emigracyjnych, a nie wątpimy, że odbije się szerokim echem w kraju. Zwracamy się do wszystkich naszych czytelników o poparcie i propagowanie tej akcji.

**LEKARSTWA
MATERIAŁY
ŻYWNOŚĆ**
NAJSZYBCIEJ, NAJKORZYSTNIEJ, NAJTANIEJ
wyślesz przez

P. C. STORES

STEFAN BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London S.W.7, England

Cennik nasz, dostosowany do przepisów celnych w Polsce
jest naszą najlepszą reklamą.

Kraj

Kurtyna została podniesiona

„Brak lub niedostępność źródeł statystycznych, konieczność podporządkowania się jałowemu dogmatyzmowi w treści i utartym szablonom w formie a także niemożliwość poruszania pewnej tematyki w ogóle spowodowały ogólny zanik badań naukowych na tematy socjalne”.

Tak pisze wydany w Warszawie miesięcznik „Przegląd Zagadnień Socjalnych” w lipcu br. i dodaje przy tym:

„Obecnie, w ustroju socjalistycznym cofnęliśmy się wstecz w dziedzinie badań naukowych z zakresu zagadnień socjalnych nawet w stosunku do okresu międzywojennego”.

Okazuje się więc, że ustrój kapitalistyczny dawał większe możliwości przeprowadzania badań naukowych z zakresu zagadnień socjalnych.

Jakich to spraw nie wolno było nawet poruszać na łamach prasy? „Przegląd Zagadnień Socjalnych” wylicza je przykładowo, cytując tak zasadnicze problemy jak: wartość realna zarobków i budżety rodzin pracowniczych, czyli ich stopa życia, bilans sił roboczych, problem zatrudnienia kobiet, ocena wartości realnej świadczeń ubezpieczeń społecznych itp. Na naradzie, zwołanej przez redakcję „Przeglądu”, krytykowano ostro dotychczasowe przemilczenia i domagano się powołania „niezależnego” (czy od partii?) ośrodka badań naukowych na tematy socjalne, a ponadto rozwinięcia na łamach pisma działu „rzetelnych” informacji i artykułów na tematy zagraniczne.

Po buncie literatów, artystów, ekonomistów, prawników buntują się więc z kolei pisarze i działacze społeczni, którzy rozumieją dobrze, że praca ich może dawać konkretne rezultaty tylko w oparciu o poważne badania naukowe i możność ujawniania prawdy o stosunkach społecznych.

Pisano wprawdzie i dawniej krytycznie o warunkach pracy. W myśl bowiem znanej sowieckiej zasady samokrytycyzmu i zachęcania do indywidualnych oskarżeń, nieraz podawano na ła-

mach prasy poszczególne fakty łamania obowiązujących przepisów o ochronie pracy, lub też przykłady zaniedbań w dziedzinie bezpieczeństwa i higieny pracy. Krytyka nie sięgała jednak nigdy do meritum zagadnień, nie mówiła o błędach samych ustaw lub zasad organizacji pracy.

Ostatnio dopiero zaczęto pisać coraz swobodniej i masowo ujawniać fakty, które pozwalają na odtworzenie prawdziwego obrazu tragicznej sytuacji pracowników w Polsce. Zresztą faktów tych nie dało się już dłużej ukryć; nędza i wyzysk robotników doprowadziły do wypadków w Poznaniu.

ZAGADNIENIE POZIOMU PŁAC — DRAŻLIWYM TEMATEM

Najbardziej zakazany tematem dla prasy była sprawa zarobków. Można było latami śledzić pisma krajowe i nie znaleźć w nich nic, co by dawało choćby przybliżony obraz wysokości płac i standardu życia pracowników. Píše o tym dwutygodnik „Życie Gospodarcze” (6. 6. 56).

„Zagadnienie poziomu naszych płac... występowało jako „tabu”, drażliwy temat, o którym oficjalnie nie wiele się mówiło, o którym prawie nic się nie pisało... Nawet przy najlepszej woli nie można było w konkretny sposób ocenić poziomu płac. A i tej „dobrej woli” w minionym okresie niejednokrotnie nam brakowało”.

Dziś sytuacja zmieniła się radykalnie: pisma codzienne, tygodniki, miesięczniki prześcigają się w przedstawianiu ponurego obrazu niedostatku i nędzy pracowników.

„Życie Gospodarcze” (20. 6. 56) próbuje ustalić minimum zarobku dla przeciętnej rodziny pracowniczej. Na podstawie różnych danych dochodzi do wniosku, że tym minimum jest suma 1.727 złotych miesięcznie i, w związku z tym stwierdza:

„w najlepszym razie więcej niż 4/5 ogółu zatrudnionych zarabia poniżej minimum egzystencji”.

Do podobnej cyfry dochodzi „Głos Pracy” (7. 8. 56), który stwierdza — na podstawie obserwacji — że robotnicy uznają sumę 1.500 do 2.000 zł. za minimum egzystencji. Dopiero bowiem przy takim poziomie zarobków, osiągniętym w ciągu normalnego 8-miogodzinnego dnia pracy, starają się unikać godzin nadliczbowych.

ZAROBKI, NIE POKRYWAJĄCE CZWARTEJ CZĘŚCI POTRZEB RODZINY

W zestawieniu z tymi cyframi, wydaje się nieprawdopodobne, jak mogli sobie dawać radę pracownicy, którzy zarabiali poniżej 500 złotych miesięcznie, a których liczba, według Za-

kładu Ubezpieczeń Społecznych, wynosiła we wrześniu ubiegłego roku blisko pół miliona. Jest rzeczą oczywistą, że przeprowadzone od kwietnia i maja br. podwyżki tych zarobków do wysokości 500 zł. oznaczają również nędzę.

„Życie Gospodarcze” (20. 6. 56), rozważając sprawę najniższych zarobków dochodzi do ponurych wniosków:

„Faktem jest, że niektórzy zatrudnieni mają zarobki, nie pokrywające nawet czwartej części najskromniejszych potrzeb rodziny. Obywatele ci stają więc co dnia i co godziny wobec problemu — jak wyżyć. I często znajdują odpowiedź kolidującą z kodeksem karnym. Zjawisko to jest źródłem wielu niedomagań naszej gospodarki, żeby tylko wymienić łapownictwo, rozkradanie mienia społecznego, brakoróbczą pogoń za wykonaniem norm, spadającą wydajność pracy itp.”.

CO MÓWIĄ O POZIOMIE ZAROBKÓW SAMI PRACOWNICY

Ale posłuchajmy głosów pracowników. Inżynier, zatrudniony w jednej z hut na Śląsku, w rozpaczliwym liście, wydrukowanym w „Głosie Pracy” (20. 4. 56) pisze o sytuacji hutników i górników, a więc kategorii robotników, najlepiej dziś zarabiających w Polsce. Píše on o niejakim Edwardzie, tokarzu w dziale pomocniczym huty, który zarabia 1.000 do 1.100 zł. miesięcznie i ma na utrzymaniu chorą żonę i dziecko.

„Nie wiem, jakby związał koniec z końcem na trzy osoby za 1.100 zł. Dorabia więc „na boku” pracując po 4 godziny dziennie w przedsiębiorstwie budowlanym. Z tego dochodzi mu jeszcze 400-500 zł.... Powiesz chyba, że za to już można żyć? Zgoda, ale dla Edwarda dzień pracy nie trwa 8 godzin. Pracuje on co najmniej 12-14 godzin dziennie i przez niedziele.. Gdyby chodziło tylko o Edwarda, czy nawet kilkuset jemu podobnych — nie byłoby tragedii... Ale rzecz w tym, że Edwardów jest tysiące”.

70 DNIÓWEK MIESIĘCZNIE W KOPALNIACH

A dalej pisze o górnictwie:

„O górnictwie mówi się u nas najczęściej tak. — O, w górnictwie — to ludzie zarabiają! Owszem, jest w tym część prawdy... Chyba jednak wiesz... że zarabiają wiele... ci, co pracują bezpośrednio na węglu... Chcę ci jednak powiedzieć, że liczba ludzi, pracujących na węglu, a więc posiadających wysokie zarobki, zmniejszała się w ostatnim okresie z roku na rok, że są kopalnie, gdzie tylko 12% załogi pracuje w przodkach... Moi znajomi, zatrudnieni w piaskowni w jednej z kopalń zarabiają 1.200-1.500 zł. miesięcznie. Nieźle, prawda? Muszę ci jednak powiedzieć, że na ten zarobek składa się 50-60, a nieraz i 70 dniówek miesięcznie. Rozumiesz co to znaczy? Ludzie pracują po 16 i więcej godzin na dobę. A gdzie odpoczynek, gdzie jakaś rozrywka, gdzie normalne życie z rodziną, dziećmi? Nie dziw się, że ludzie ci niczego nie czytają, nigdzie nie bywają, że stoją naprawdę na niskim poziomie kulturalnym. Że życie ich jest nad wyraz ciężkie i jednostronne: praca-spać, spać-praca”.

Praca-spanie, spanie-praca, oto charakterystyka warunków życia w Polsce.

MOŻLIWOŚCI ZAROBKOWANIA, ALE JAKIM KOSZTEM?

W dalszym ciągu swego listu inżynier opisuje, jak próbował na zebraniu robotniczym przeciwstawić nędzy, dobrodziejstwa, jakie przyniósł dziś nowy ustrój, na przykład brak bezrobocia.

„Próbowałem użyć takiego argumentu: zarobki są niskie, gdzieś tam nawet bardzo niskie, ale możliwości zarobkowania jest przecież bardzo dużo. Na każdym kroku tu, na Śląsku, poszukuje się rąk do pracy. To jest plus, o którym się często zapomina. Dziś w każdej prawie rodzinie pracuje po dwie i więcej osób. To też trzeba liczyć, bo z tych zarobków składa się dochód realny. Początkowo moi słuchacze jak gdyby zaczęli przyznawać rację. Ale już w kilka chwil później przyparli mnie całkowicie do muru. Możliwości zarobkowania — mówili — ale jakim kosztem? Powiedzieli mi wtedy o fachowcach-rzemieślnikach, harujących po półtorej i dwie dniówki na dobę, o hutnikach, pracujących świętek i piątek i sprzeciwiających się wprowadzeniu tzw. zmienników, co pozwoliłoby im raz w tygodniu mieć dzień wolny. Dziś nie chcą wolnego dnia, bo to zmniejszyłoby ich zarobki...”

PRACA OKRĄGŁY MIESIĄC BEZ ODPOCZYNKU

Potwierdza ten fakt zresztą sam minister Hutnictwa, który w wywiadzie, umieszczonym w „Głosie Pracy” (11. 5. 56) mówi:

„Na uwagę zasługuje również obecny niezdrowy stan rzeczy, że zarobki hutników za przepracowane niedziele stanowią 18-20% ich całego miesięcznego zarobku. W wydziałach o ruchu ciągłym znaczna część załogi pracuje okrągły miesiąc bez odpoczynku”.

Minister obiecuje, oczywiście, podniesienie płac w całym hutnictwie, ale na pytanie kiedy i w jakich rozmiarach, stwierdza:

„Nie jestem dziś w stanie na to odpowiedzieć”.

NIE CENI SIĘ PRACY, KTÓRA NIE DAJE UTRZYMANIA

Ale wróćmy raz jeszcze do listu inżyniera. Pisz on dalej:

„Jakiej wydajności pracy spodziewać się możesz od robotnika, pracującego kolejno przez dwie zmiany. I to nieraz dzień po dniu bez niezbędnego odpoczynku? A czy jakość pracy na tym zyskuje? Twierdzenie — mówili mi ludzie — że tyle u nas marnotrawstwa, tyle straty mienia społecznego. Nie dziwcie się — powiadali — człowiek nie może naprawdę cenić takiej pracy, która nie daje mu pełnego utrzymania. Tak jak nie wiele cenii sobie tani but, o którym wie, że długo w nim nie pochodzi. „Tandeta” — mówi o nim bez szacunku...”

JAK DŁUGO MA TO TRWAĆ?

„...A kiedy próbowałem tłumaczyć: dziś żyjemy ciężko, pracujemy dużo aby stworzyć podstawy dla lepszego życia i dla nas samych i dla naszych dzieci. Odpowiedzieli: „Ale jak długo ma to trwać? Rok, dwa, pięć”.

Jak wiemy, w Sowietach ciężkie warunki bytu trwają już blisko lat czterdzieści.

ROBOTNICY KLNA, ALE PRAGNĄ GODZIN NADLICZBOWYCH

Nie lepszy obraz maluje „Głos Pracy”, w sierpniu (7. 8. 56), już po wypadkach w Poznaniu, po VII Plenum KC PZPR i zapewnieniach o mających nastąpić zmianach:

„Zdarza się — i to wcale nie rzadko — kiedy robotnicy sami domagają się, sami pragną godzin nadliczbowych. Sprawia to nasz system płac i normowania... W „Pafawagu” nadgodziny stanowią podstawową część normalnego zarobku. Nie łudźmy się, że robotnicy czynią to z ochotą. Klną na te „nadgodziny”, ale ich pragną... Przy obecnym poziomie stawek i norm wielu robotników nie byłoby w stanie zapewnić swym rodzinom egzystencji bez godzin nadliczbowych...”

NIE ZWIĘKSZAJĄ WYDAJNOŚCI PRACY, BO BOJĄ SIĘ PODWYŻKI NORM

I dalej pisze:

„Dlaczego — pragnąc podnieść zarobki — robotnicy nie zwiększają wydajności pracy... Dlaczego nie spotyka się już, tak jak dawniej, osiągnięć sięgających 400-500 procent normy? Dlaczego w niejednym zakładzie znikli nowatorzy, walczący o lepsze metody pracy, bijący rekordy wydajności... Cicho dziś o nich... Odpowiedź prosta: ludzie obawiają się nowej rewizji norm, bo choć zapewniano ich nieraz solennie, że nic na niej nie stracą — każda nowa rewizja przynosiła części robotnikom straty — ostatni tego przykład w ZISPO... W ZISPO robotnicy występowali też nie od dziś przeciw nadmiarowi godzin nadliczbowych. Gdy jednak udało się w W-3 wydatnie ograniczyć ich ilość — zarobki robotników spadły. To było jedną z poważnych przyczyn fermentu i niezadowolenia...”

I W Z.I.S.P.O. SĄ ROBOTNICY O NAJNIŻSZYCH ZAROBKACH

W ZISPO, zresztą, jak wynika z badań CRZZ (*), ogłoszonych w tym samym numerze „Głosu Pracy”, są też robotnicy należący do kategorii najniżej zarabiających — 500, 600 i 700 zł. miesięcznie. A przecież ZISPO to dawny Cegielski, jedna z doskonale prowadzonych przed wojną fabryk, w której zarob-

(*) Centralna Rada Związków Zawodowych.

ki robotników były wówczas wysokie i gdzie istniał doskonałe zorganizowany i potrafiący bronić robotników związek metalowców. Tradycje jego działalności z pewnością nie wygasły jeszcze w tym zakładzie.

KOREKTYWA PŁAC — PRZECIĄGANIEM ZBYT KRÓTKIEJ KOŁDERKI

Jak wiemy, niewielkie podwyżki zarobków zostały już częściowo przeprowadzone kilka miesięcy temu. „Życie Gospodarcze” (20. 6. 56) tak charakteryzuje ten proces:

„Ostatnia korektura płac jest przysłowiowym przeciąganiem zbyt krótkiej kołderki. Wprawdzie bowiem na uzupełnienie płac najniższych do 500 zł. przeznaczają się z budżetu państwa poważne kwoty, ale w praktyce jednak zachodzi zjawisko wygospodarowywania środków na ten cel przez zmiany w uposażeniu albo co najmniej ograniczenie możliwości zarobkowania dodatkowego w innych grupach pracowniczych. Kołderkę przeciąga się na pierś niższej zarabiających, ale równocześnie odkrywa się nogi średnio zarabiających. W efekcie i jedni i drudzy nie są bynajmniej zadowoleni”.

A oto parę drastycznych przykładów.

„PODWYŻKA PŁAC KOSZTEM... ROBOTNIKÓW”

Pod takim tytułem pisze „Głos Pracy” (15. 5. 56):

„Jak wiadomo od 1. IV. 1956 najniższe zarobki zostały podniesione do 500 zł. Postanowienie to dotyczy również Lubelskiej Fabryki Maszyn Rolniczych i jest realizowane. Ale sposób realizacji graniczy ze skandalem. Dana brygada otrzymuje w sumie tę samą pulę pieniędzy, co poprzednio. A ponieważ najniższej zarabiającym trzeba podnieść uposażenie do minimum 500 zł., przeto ciężar tej podwyżki ponoszą robotnicy, którzy dotąd zarabiali więcej niż 500 zł. Dlatego właśnie otrzymali oni w kwietniu niższe zarobki, przy większej produkcji”.

KPINY Z LUDZI CIĘŻKO BORYKAJĄCYCH SIĘ Z ŻYCIEM

A „Trybuna Ludu” (19. 8. 56) omawia podwyżki w służbie zdrowia, w której 23,61% pracowników zarabiałoby poprzednio poniżej 500 złotych.

„W bieżącym roku na terenie jednego ze szpitali warszawskich wybuchł skandal. Skandal z powodu podwyższenia... płac najniższej uposażonym. Otóż w ustawie o ostatniej podwyżce płac dla najniższej uposażonych znalazła się klauzula, że wyrównanie do 500 zł. płac pracownikom przedsiębiorstw znajdujących się na rozrachunku gospodarczym, nie może wynosić mniej, niżeli złotych trzydzieści. Nie było mowy o pracownikach służby zdrowia ponieważ i tak pensje ich miały ulec zmianie. W tej sytuacji wielu

członków personelu szpitalnego, żyjących w wyjątkowo trudnych warunkach, a nie obeznanymi z pragmatyką — otrzymało w pierwszym rzucie wyrównanie w kwocie 1 zł. 36 groszy, i podobnie. Okazało się, że aparat służby zdrowia nie zważając na zasady logiki... a chcąc wyjść buchalteryjnie na czysto — „wyrównał”... Kpiny, kpiny z ludzi borykających się ciężko z życiem”.

FIKCJA 8-GODZINNEGO DNIA PRACY

Ze wszystkich tych cytów wynika jasno, że w „socjalistycznym” państwie, jakim ma być dziś Polska, nie istnieje 8-godzinny dzień pracy.

„Trybuna Ludu” (19. 5. 56), podając oficjalną statystykę godzin nadliczbowych (przeszło 340 milionów godzin w przemyśle i budownictwie w ciągu 1955 roku) dodaje taki komentarz.

„Aby uzyskać pełne wyobrażenie o powadze zagadnienia, dane te należy uzupełnić wielką liczbą godzin nadliczbowych nieopłaconych lub opłaconych nieprawidłowo, a zwłaszcza godzin nadliczbowych „ukrytych” w wyniku nagminnej praktyki wliczania wyników pracy nadliczbowej do wyników normalnego dnia roboczego”.

ZA GODZINY NADLICZBOWE NIE PŁACI SIĘ ROBOTNIKOM

Nie tylko więc stwarza się warunki, w których robotnicy są zmuszeni do pracy znacznie ponad 8 godzin, ale i nie płaci się im ustawowo należnych dodatków za godziny nadliczbowe lub też nie płaci się za nie wcale. Mówi o tym znów „Trybuna Ludu” (21. 4. 56):

„Jeśli nie płaci się za godziny nadliczbowe rejestrowane, to tym bardziej nie płaci się za ukryte, nieliczone... I w takich wypadkach administracja w sposób nieczyny i tchórzliwy dopuszcza się pogwałcenia prawa. Przytoczę tu dwa takie wypadki... wyjątkowo perfidne. Na budowie Białostockiego Przemysłowego Zjednoczenia Budowlanego żąda się od robotników pisemnego oświadczenia, w którym zrzekają się oni przysługujących im dodatków za godziny nadliczbowe. W fabryce silników w Brzegu... dyrektor z całym cynizmem „wyjaśnił”, że godziny nadliczbowe zaliczane są na realizację zobowiązań podjętych przez robotników. Czyż nie jest to ordynarne nadużycie, którego nie wolno puszczać płazem?”.

SĄDOWE DOCHODZENIE KRZYWDY — ANTYPAŃSTWOWYM WYSTĄPIENIEM

W jaki sposób jednak może dziś robotnik dochodzić swej krzywdy? Przed wojną, jeśli robotnik nie otrzymał należnego mu wynagrodzenia — skarżył pracodawcę do sądu pracy. Sąd pracy, jako sąd specjalny, załatwiał sprawę szybko i sprawnie.

W Polsce „ludowej” sądy pracy zostały uznane za zbędne i zlikwidowane. Tym bardziej jest więc ciekawe, co pisze „Głos Pracy” (10. 8. 56) w tej sprawie:

„Dlaczego poczucie bezkarności?... Otóż w praktyce utrudnione były niezmiernie wszelkie wypadki występowania pokrzywdzonych pracowników do sądu drogą procesu cywilnego. Wprawdzie pokrzywdzeni pracownicy mogli skarżyć pracodawcę, lecz w praktyce postępowanie sądowe było bardzo utrudnione, ciągnęło się w nieskończoność między innymi i ze względu na chaos i gąszcz przepisów prawnych. Istniał też niepisany pogląd, że skarżyć skarb państwa w państwie socjalistycznym jest dowodem nieuspołecznienia pracownika. To wszystko odstręczało pracowników od sądu cywilnego. Taka sytuacja potęgowała jeszcze poczucie bezkarności szeregu kierowników zakładów lub pracowników wyższych instytucji gospodarczych”.

A więc „socjalistyczne” państwo może bezkarnie wyzyskiwać pracownika. Nosi on piętno „nieuspołecznionego”, jeśli upomni się o niewypłacone mu zarobki.

„RÓWNOUPRAWNIENIE” KOBIET

Jest dziś w Polsce dwa miliony zatrudnionych kobiet. Mimo to jednak, nie wolno było dotychczas, jak stwierdził „Przegląd Zagadnień Socjalnych” ani przeprowadzać badań naukowych, ani pisać prawdy o warunkach i organizacji ich pracy. Starano się natomiast przekonać świat cały, jak bardzo uprzywilejowane są kobiety w Polsce w porównaniu z kobietami na zachodzie, ponieważ zostały one całkowicie równouprawnione z mężczyznami...

15-LETNIA KOMBAJNERKA OSIĄGA 170 PROCENT NORMY

Równouprawnienie w zakresie pracy polegało w pierwszym rzędzie na tym, że skasowano większość obowiązujących przed wojną zakazów zatrudniania kobiet przy pracach zbyt ciężkich fizycznie i niebezpiecznych dla ich zdrowia i życia, na przykład pod ziemią w kopalniach.

Od szeregu lat prasa — na wyraźny rozkaz z góry — wołała z entuzjazmem:

„Nie ma męskich zawodów”. „Pierwsza w kraju kobieca załoga prowadzi pociąg”. „Pierwsza w Polsce wyłącznie kobieca budowa bloku na Mirowie”. „Pierwsza w kraju kobieta kombajnerka”.

„Głos Pracy” (19. 8. 54) tak pisze o tej ostatniej:

„15-letnia Bogda Hubczuk rozpoczęła przed paru dniami samodzielną pracę na kombajnie samobieżnym S-4. Bogda Hubczuk jest pierwszą w kraju kobietą kombajnerką. Już w pierwszym dniu samodzielnej pracy... wykonała ponad 170 procent normy dziennej”.

Chwalono się, że kobiety pracują pod ziemią w kopalniach, a usłużna prasa próbowała wmawiać w społeczeństwo, że to kobiety same „spontanicznie” i „z radością” uchwaliły podjęcie prac pod ziemią.

Minęło kilkanaście lat tej „radosnej” pracy kobiet w najcięższych warunkach, a oto co pisze dziś „Przegląd Związkowy” (lipiec 1956) pt.:

„MNIEJ OPTYMISTYCZNIE O RÓWNOUPRAWNIENIU KOBIET

„Wydaje się, że w samym zrozumieniu sensu równouprawnienia popełniliśmy wiele błędów. Uważaliśmy za osiągnięcie, jeśli coraz więcej kobiet pracowało w budownictwie, jeśli kobieta została sztygarem, jeśli pracowała w hucie — jeśli, jednym słowem opanowała „męskie” zawody... Nie było chyba podstaw do radości, jeśli w 1948 roku w hutach właśnie przy najcięższej pracy — kobiety pracowały jako ładowaczki rudy, jeśli dziś jeszcze przy budowie zakładów przemysłowych w Oświęcimiu kobiety wykonują najcięższe prace”...

W taki sam ton uderza i „Głos Pracy” (14.8. 56):

„Cięży tu na nas kilka błędów. Jeden z nich to identyfikowanie pojęcia równouprawnienia z zatrudnianiem kobiet w zawodach „męskich”, często nie odpowiadających ich strukturze fizycznej. Wiele hymnów pochwalnych wyśpiewaliśmy na przykład na cześć traktorzystek, a tymczasem wstrząsy traktora wpływają szkodliwie na zdrowie kobiety”.

Tak pisze dziś „Głos Pracy”, który nie dalej, jak dwa lata temu sam śpiewał hymny pochwalne na cześć 15-letniej traktorzystki.

DZIECI WYCHOWUJE ULICA — DZIECI NA ŁAWACH OSKARŻONYCH

Kobiety pracują dziś, tak jak i mężczyźni, w godzinach nadliczbowych, masowo zatrudniane są w nocy. Tego rodzaju organizacja ich pracy musi, naturalnie, odbijać się fatalnie na życiu rodzinnym i wychowaniu dzieci. Pisze o tym „Głos Pracy” (14. 8. 56) i „Przegląd Związkowy” (lipiec 1956):

„Na około 2 milionów zatrudnionych kobiet — z tego większość w miastach — ilość miejsc w żłobkach miejskich wynosiła w ubiegłym roku tylko 51.110. Jeszcze gorzej w stosunku do potrzeb przedstawia się sprawa miejsc w przedszkolach... Nielepiej z miejscami w świetlicach...” „Nawet dzieci przebywające po parę godzin w przedszkolu lub świetlicy wychowuje w godzinach popołudniowych nie matka, lecz podwórko lub ulica. Skutki wiadome: przerażający procent dzieci z domów, w których życie rodzinne biegnie — zdawałoby się — przykładnie i wzorowo, dostaje się na ławy oskarżonych”.

CIEŻAR OBOWIĄZKÓW DOMOWYCH ZNACZNIE WIĘKSZY NIŻ NA ZACHODZIE

Dlaczego kobiety, nawet po powrocie z pracy, nie mogą zacząć się dziećmi? Wyjaśnia to „Głos Pracy” z dużą dozą ironii.

„Nie pomagają kobietom, dźwigającym ciężar podwójny — zawodowych i domowych obowiązków — ani rozbudowa żywienia zbiorowego, ani wysoka technika urządzeń do pracy domowej. W tej dziedzinie rozległe zapowiedzi między innymi na drugim Zjeździe PZPR zrealizowano tylko w nikłym stopniu. W istocie znajdujemy się pod tym względem bardzo daleko od uprzemysłowionych państw świata. Zwyczajna pralka jest luksusem dla pracowniczego rodziny, a jakość i ceny usług w stołówkach, sklepach, warsztatach rzemieślniczych itd., raczej dodają niż ujmują kłopotów w pracy przy gospodarstwie. Zakup wielu przedmiotów codziennego użytku jest udręką, przedsięwzięciem, wymagającym zasobów czasu, cierpliwości i... zełówek”.

KARYGODNE ZANIEDBANIA BEZPIECZEŃSTWA I HIGIENY PRACY

Kiedy mówi się o warunkach pracy w Polsce, nie podobna pominąć sprawy katastrofalnego stanu bezpieczeństwa i higieny pracy w bardzo wielu zakładach. W prasie krajowej czyta się nieomal codziennie o „karygodnych zaniedbaniach”, o „zakładach urągających przepisom bezpieczeństwa i higieny pracy”, o „wstydzie”, jakie one przynoszą itp., itp.

W czerwcu br. na sejmowej komisji zdrowia i pracy stwierdzono, jak podaje „Trybuna Ludu” (10. 6. 56):

„Sytuacja w dziedzinie bhp... (*) jest w dalszym ciągu bardzo ciężka. Nie zmniejsza się, a w niektórych dziedzinach nawet zwiększa się ilość wypadków przy pracy — szczególnie w takich resortach jak górnictwo, hutnictwo, kolej, PGR'y”.

KTO ZAWINIŁ BARDZIEJ: KAPITALIŚCI CZY SOCJALISTYCZNE PAŃSTWO?

Ciekawe niezmiennie stwierdzenie czytamy dalej w sprawozdaniu z komisji:

„Na ogół wszystkie niedociągnięcia w dziedzinie bhp zwykle się tłumaczyły złym stanem zakładów odziedziczonych po kapitalistach. Nie od dziś jednak wiemy, że nasze nowe, socjalistyczne zakłady częstokroć budowane są bez zabezpieczenia elementarnych warunków bhp”.

Dla ilustracji tej krytyki „socjalistycznego” budownictwa warto przytoczyć za „Głosem Pracy” (14. 10. 55) wrażenia jego specjalnego korespondenta z wizyty w nowo zbudowanym Zakładzie Ołowiu w Bolesławiu.

(*) bezpieczeństwo i higiena pracy.

„Zakład ołowiu, zbudowany przed dwoma laty wygląda jak stara ruina. Ściany wewnętrzne nie są pokryte wymaganą przez przepisy gładką powierzchnią do zmywania. Z oknami jeszcze gorsza sprawa. Zrobiono je z elementów prefabrykowanych, które się nie otwierają. I to gdzie? w hucie ołowiu, gdzie przepis nakazuje, by wymiana powietrza odbywała się kilkakrotnie w ciągu godziny. Nic dziwnego, że w każdym oknie jest kilka powybijanych dziur... Na niewielkiej przestrzeni stoją trzy piece, a niedaleko w kącie piece rafinacyjne. Przy spuście wytopu całą halę wypełnia dym — lotne tlenki ołowiu. Z tą truczną opieszale walczy jeden wentylator, który zaledwie z jednego pieca może pochłoniąć gazy. Podłogi w hucie ołowiu — znów według przepisów — powinny być o gładkiej powierzchni, by można je było kilka razy dziennie splukiwać. Tu są z nierównej kostki drewnianej, na której gromadzą się grube warstwy ołowianego pyłu. Kto uwierzy że w obiekcie sześciolatki... brak jest jadalni i palarni, a przecież każdy hutnik wie, że w żadnym wypadku nie wolno jeść i palić w miejscach, gdzie jest kontakt z ołowiem... Idziemy do ambulatorium zakładowego. „Przebadaliśmy już 17-tu pracowników — mówi lekarz... dwunastu zatrutych jest ołowiem. W niektórych wypadkach choroba jest bardzo zaawansowana i ci robotnicy muszą opuścić swoje dotychczasowe miejsce pracy”... Do Bolesławia przyjeżdżają delegaci Min. Hutnictwa, Centralnego Zarządu, Zarządu Głównego Związku Zawodowego Hutników i znają warunki pracy zatrudnionych tam hutników. Znają, a tymczasem ludzie mówią o nich: „Oni przychodzą po ołów, a my, robotnicy, po ołowić”. Ciężkie to oskarżenie”...

Obecnie prasa podaje, że ta „socjalistyczna budowla” została po czterech latach istnienia zamknięta.

DYSCYPLINA PRACY

Wprowadzona sześć lat temu w Polsce — na wzór sowiecki — ustawa o socjalistycznej dyscyplinie pracy, nie znajduje żadnego odpowiednika na kapitalistycznym zachodzie. Dziś mówi się już o skasowaniu tej ustawy (*), bo w obecnej nieco zmienionej atmosferze, trudno jest dłużej tolerować jej absurdalne przepisy. Na podstawie ustawy o dyscyplinie pracy nakłada się na pracowników kary pieniężne w wysokości dwukrotnej lub nawet trzykrotnej stawki zarobku dziennego za opuszczenie — bez dostatecznego usprawiedliwienia — 1, 2 i 3 dni pracy w ciągu roku (ostatnio przepis ten zmieniono na: w ciągu kwartału); za opuszczenie czwartego dnia pracy kieruje się sprawę do sądu i grozi za to kara aresztu do sześciu tygodni. Przepisy ustawy są niesłychanie sztywne, a kierownicy zakładów musieli się stosować do nich ściśle. Za niewykonanie bowiem ustawy groziła im kara aresztu do trzech miesięcy, grzywny do 4.500 złotych, lub obie te kary łącznie.

Nic dziwnego, że w tych warunkach, oskarżenia z tytułu przekroczenia ustawy o dyscyplinie pracy były masowo stosowane i, jak pisze „Trybuna Ludu” (22. 5. 56):

(*)Prasa krajowa doniosła, że 10 września rb. ustawa ta została przez sejm uchylona.

„W swoim czasie nawał procesów tego rodzaju był tak wielki, że w niektórych sądach powiatowych stworzono specjalne wydziały dla spraw dyscypliny pracy. W jednym dniu na wokandzie sądowej było 30-40 takich spraw”.

RADY ZAKŁADOWE NIE BRONIĄ NIEWINNIE OSKARŻONYCH

Ustawa o dyscyplinie pracy dawała związkom zawodowym możliwość obrony oskarżonych robotników. W każdym bowiem wypadku oskarżenia rada zakładowa obowiązana była dawać swą opinię. Związki zawodowe nie wykorzystywały jednak zupełnie tych swoich uprawnień, co ostro im wytyka „Przegląd Związkowy” (kwiecień 1955).

„Uderzające jest, że w przysięgającej większości skierowanych do sądu spraw, dotyczących ustawy o dyscyplinie pracy, a zakończonych wyrokami uniewinniającymi, rady zakładowe wydają opinie w całej rozciągłości akceptujące stanowisko dyrekcji, stwierdzające, że dla pracownika, który wszedł w kolizję z ustawą, nie ma żadnego usprawiedliwienia. Opinie te są przy tym z reguły powierzchowne, lakoniczne, formalne. O czym świadczą tego rodzaju bezduszne, suche orzeczenia? Mówią one, że organizacje związkowe w wielu zakładach pracy nie poczuwają się do rzetelnej obrony interesów robotników”.

GRZYWNY, NAKŁADANE MASOWO NA GÓRNIKÓW

Poza ustawą o dyscyplinie pracy, istnieją jeszcze w Polsce inne systemy nakładania kar pieniężnych na robotników, niestosowane, oczywiście, nigdzie na zachodzie. Są to na przykład grzywny, masowo nakładane w górnictwie węglowym.

Wiadome jest powszechnie, że warunki pracy w kopalniach węgla w Polsce są dziś niezmiernie ciężkie. Nie obowiązują tam 8-godzinny dzień pracy, mimo że przed wojną, już od 1937 roku górnicy, zatrudnieni pod ziemią pracowali tylko 7 i pół godziny dziennie. W większości kopalń warunki bezpieczeństwa są nieraz katastrofalne, a, co najgorsza, narzuca się stale górnikom nadmiernie wygórowane i, w tych warunkach, niezmiernie trudne do osiągnięcia plany wydobycia węgla.

O bolączkach górników mówi przewodniczący Zarządu Głównego Związku Zawodowego Górników. („Głos Pracy” 10. 7. 56).

„Wśród górników narosło dużo bolączek. Przede wszystkim chodzi o długość czasu pracy. W niektórych kopalniach jeszcze dziś utrzymuje się 8 i pół godzinny dzień pracy. Jednak i w tych kopalniach, które formalnie przeszły już na 8-godzinny dzień pracy, górnicy, zwłaszcza na ścianach, pracują znacznie dłużej. Wielkość wysiłku górnika trzeba oceniać również tym, że pracuje on także dodatkowo w niedziele... Inna sfera bolączek, to stan zdrowia górników. Mamy wśród górników dużo zachorowań na gruźlicę, pylicę, reumatyzm, choroby skóry, serca”.

ZWIĄZKI ZAWODOWE — POMOCNIKIEM ADMINISTRACJI

„...Bardzo napięte zadania wydobywcze, trudności w realizacji tych zadań i nieustanne czynienie związku odpowiedzialnym za mobilizację załóg do wykonania tych zadań, wytworzyły taki stan rzeczy, że rady zakładowe stały się pomocnikami administracji w walce o plan, o wydobycie. Następstwem tego stało się zamykanie oczu na fakty samowoli administracji w ustalaniu czasu pracy, godzenie się na uchylanie zasadom bezpieczeństwa pracy, zubożenie na zaniechania w dziedzinie bytowej, tolerowanie nadmiernego karania... nieuzasadnione zwalnianie z pracy... nieuzasadnione i biurokratyczne zmienianie norm górnikom, szeroko stosowane podejmowanie zobowiązań produkcyjnych... co było w istocie rzeczy niczym innym jak formą administracyjnego podwyższania zadań wydobywczych, itd.”.

Nic dziwnego, że w tych warunkach, górnicy bronili się, jak mogli przeciw naciskowi administracji i związków zawodowych, a jako represje stosowano przeciw nim masowe nakładanie kar pieniężnych.

„ZA ZŁORZECZKĘ PRZED SZYCHTĄ — 20 ZŁ.”

„Za złorzeczkę przed szychtą — 20 zł.” „Za robienie fermentu na szybie i naśladowanie dozoru — 100 zł.” „Za hamowanie pracy i nierobstwo — 40 zł.” „Za niewykonanie swych obowiązków — 20 zł.” „Za bezczelność — 30 zł.” „Za poniżanie autorytetu wyższego dozoru — 100 zł.” „Za nieprzepisową jazdę — 50 zł.” „Za lenistwo — 100 zł.” „Za kradzież — 40 zł.” „Za cygaństwo — 30 zł.” „Za bezczelność i nieposłuch — 15 zł.”

Takie i temu podobne zapisy w księgach kar w kopalniach podaje „Głos Pracy” (21. 2. 55 i 29. 2. 56). Zadziwiająca jest tu — nawet jak na stosunki komunistyczne — całkowita dowolność w ustalaniu winy i wysokości nałożonej kary. Píše o tym „Głos Pracy”:

„Kary najczęściej wymierzane są „na wycucie”, „na oko”, a wysokość grzywny zależy od zwyczajów panujących w kopalni, a nieraz od... humoru dyrektora, naczelnego inżyniera, kierownika oddziału czy sztygara... „Chaotyczne, dowolne, pozbawione jakiegokolwiek przewidywalności, a nieraz i logiki wymierzanie robotnikom grzywien jest — jak stwierdziłem — zjawiskiem spotykanym w bardzo wielu kopalniach”.

W niektórych kopalniach „karany był średnio co drugi górnik”, w innych „co trzeci”.

KARY POCHŁANIAJĄ NIEMAL CAŁY ZARÓBEK

„Głos Pracy” pisze dalej:

„...w wyniku dotychczasowej praktyki masowego stosowania grzywien niejedyn z górników w dniu wypłaty otrzymywał niewielką część uposażenia”.

Jest to sprzeczne z przepisami prawnymi, które zabraniają potrącać robotnikowi, z tytułu grzywny, więcej, niż 1/10 części wynagrodzenia przypadającego faktycznie do wypłaty.

Wobec nadania całej tej sprawie dużego rozgłosu, minister Górnictwa był zmuszony wydać w marcu br. okólnik, w którym stwierdził, że kary są nakładane niezgodnie z przepisami i wyjaśnił, jak należy postępować na przyszłość. Ale „Głos Pracy” jeszcze w maju stwierdza:

„Otrzymane przez nas ostatnio sygnały z różnych kopalń wskazują, że w praktyce, mimo okólnika... niewiele się zmieniło na lepsze”.

a w dowcipnie zredagowanym piśmie do towarzysza-wiceprezesa Wyższego Urzędu Górniczego pt. „Nie traćcie otuchy”, autor pisze:

„Więc jeszcze raz pytam: skąd i po co ten pesymizm? Jeśli nawet minister Górnictwa Węglowego wydaje pismo o ograniczeniu karan, to przecież u was, w Wyższym Urzędzie Górniczym macie wszystkie możliwości utrzymać status quo. Nie, doprawdy, nie macie się czego martwić”.

ROLA ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

Z przytoczonych powyżej materiałów wynika jasno, że głównym zadaniem związków zawodowych w Polsce jest wywieranie presji na robotników celem wykonania planów produkcyjnych. Podporządkowane całkowicie dyrektywom partii, zbiorokratyzowane związki zawodowe nie dbały zupełnie o warunki pracy. Kiedy jednak sytuacja robotników pogarszała się katastrofalnie, a — w związku z tym — rola organizacji związkowych stawała się coraz bardziej rażąca, partia na III Plenum KC. PZPR poleciła związkom zmienić swe oblicze i wysunąć — jako naczelne hasło — obronę interesów klasy robotniczej. Hasło to zostało przyjęte przez związki zawodowe i ogłoszone w styczniu br. na VII Plenum CRZZ, a więc po *jedenastu latach działalności związków*.

OBRONA INTERESÓW ROBOTNIKA — HASŁEM ANARCHOSYNDYKALISTYCZNYM

Dzisiaj tak pisze o tej zmianie „Głos Pracy” (20. 8. 56):

„Do niedawna nowym, śmiałym, odważnym, niemal rewolucyjnym wydawało się nam wysunięcie w styczniu br. przez VII Plenum CRZZ hasła obrony codziennych interesów klasy robotniczej, jako głównego zadania związków zawodowych. Czy było to hasło nowe? Tak, w praktyce było to nowe, bo poprzednio za fasadą słusznej tezy o jednoci historycznych interesów osobistych robotnika z interesami państwa, ukrywaliśmy występujące w życiu codziennym sprzeczności i konieczność obrony codziennych interesów mas robotniczych... uważaliśmy, że każdy, mówiący o konieczności obrony interesów robotnika w państwie socjalistycznym — to wyraził po-

głód WRN-owskich, anarchosyndykalistycznych i trade-unionistycznych. Bo w praktyce działalności związkowej sprawy bhp, urlopów, ochrony pracy kobiet i młodzieży itp. stanowiły coś pobocznego, jakieś zło konieczne, podczas gdy za główne uważało się walkę o wykonanie planów, a skoro to się uważa za główne, to zgadzano się i na to, by działać to i za cenę interesów robotników”.

Ale czy wysunięcie hasła obrony interesów robotniczych wpłynęło w praktyce na zmianę kierunku działalności związków zawodowych? Odpowiedź na to pytanie znajdujemy łatwo. Pisze o tym ten sam numer „Głosu Pracy”:

„Wiele jeszcze organizacji związkowych pracuje dziś, jak w 1954, 1953, 1952 roku... wielu działaczy związkowych, w tym również kierowniczych działaczy podlega chwiejności i wahaniom i gotowych jest wrócić do znacznie spokojniejszego w każdym razie „stylu pracy” z lat ubiegłych”.

DZIEDZINA PŁAC TO TABU — AŻ DO WYPADKÓW POZNAŃSKICH

Wydawałoby się, że w tak niedawno wysuniętym hasle obrony interesów robotników będzie się mieścić przede wszystkim obrona ich zarobków, walka o podwyżki, decydujące o poziomie życia robotników i ich rodzin. Tak, oczywiście, rozumieją swoją rolę wszystkie wolne związki zawodowe na świecie.

Tak jednak nie było w Polsce, do czego z naiwną szczerością przyznaje się „Głos Pracy” w dalszym ciągu tego samego artykułu.

„Nikt nie widział kompletnie wśród zadań związków zawodowych, związanych z obroną interesów mas robotniczych, dziedziny tak podstawowej jak dziedzina płac. To było tabu i na III Plenum KC i na VIII Plenum CRZZ i po nich, i niemal aż do wypadków poznańskich”.

Niemal aż do wypadków poznańskich! Teraz wreszcie wszystko staje się jasne. Nędza i wyzysk, jakie doprowadziły robotników do strajku i wyjścia na ulicę, zmusiły wreszcie partię, by w lipcu br., na VII Plenum KC postawiła wyraźnie sprawę poziomu zarobków, a właściwie by stwierdziła istniejącą nędzę.

W ślad za plenum partyjnym, również i na plenum związkowym (VIII Plenum CRZZ.) w sierpniu br. — po raz pierwszy w powojennej historii związków zawodowych — problem płac został postawiony na porządku dziennym obrad.

I znów powstaje pytanie. Czy wysunięcie sprawy zarobków wpłynie na zasadniczą zmianę kierunku działalności związków zawodowych, czy będą one miały istotny wpływ na kształtowanie się poziomu płac robotniczych? Odpowiedź dały nam już choćby obrady sierpniowego plenum. Mówiono tam ponownie o błędach, popełnianych w stosunku do klasy robotniczej w przeszłości, padło wiele frazesów o „umacnianiu demokracji robotniczej

w zakładach'', o „szerokich dyskusjach'', jakie należy prowadzić z załogami, z robotnikami na temat płac, a w praktyce — potwierdzono raz jeszcze zakaz strajków, a więc zakaz stosowania zasadniczej broni, jaką dysponuje wolny ruch zawodowy w walce o poprawę sytuacji pracowników.

Na tym samym plenium wicepremier Stawiński, stwierdza-
jąc, że suma 7 miliardów złotych, przeznaczona w bieżącym ro-
ku na regulację płac jest niewystarczająca, by zaspokoić roszcze-
nia robotników wielu branż, że wielkich nakładów finansowych
wymaga realizacja słusznych postulatów przywrócenia bezpraw-
nie cofniętych uprawnień robotniczych, jak na przykład różne
deputaty, zaapelował do związków o „pomoc w wyjaśnianiu kla-
sie robotniczej tych trudnych spraw''. („Trybuna Ludu'' 22.
8. 56).

A więc nie walka o podwyżki, ale „wyjaśnianie'' robotni-
kom, że mają, bez buntu, godzić się nadal z poziomem zarob-
ków niewystarczającym na utrzymanie — oto nowa, „rewolu-
cyjna'' rola związków zawodowych w Polsce.

A teraz zreasumujmy. Przez pierwsze jedenaście lat nie
wolno było związkowi zawodowemu nawet mówić o obronie inte-
resów robotniczych, bo to było hasło wrogie, WRN-owskie, trade-
unionistyczne. Po skończeniu się ery stalinowskiej i nastaniu ery
leninowskiej, polecono związkowi przybrać szatę obrońców co-
dziennych interesów robotników, a w ostatnich miesiącach do-
puszczono je do dyskusji na temat zarobków.

Tylko że — jak wiemy — nie polskie związki zawodowe
i nie polska partia komunistyczna decyduje o zasadniczych pla-
nach gospodarczych, a więc i o sumach, przeznaczonych na płace
i na ich podwyżkę.

Ale jedno wydaje się pewne. Nie łatwo byłoby zapuścić
z powrotem kurtynę po ujawnieniu tragicznej sytuacji robotni-
ków w Polsce, nie łatwo byłoby zamknąć usta, którym pozwo-
lono — choć przez chwilę — mówić prawdę, nie łatwo jest prze-
kreślić efekty wypadków w Poznaniu.

Janina MIEDZIŃSKA

Zmiany w polszczyźnie krajowej

WSTĘP

Zadaniem niniejszego szkicu jest danie obrazu powojennej
polszczyzny krajowej. Nie będzie to i być nie może obraz zu-
pełny, chociażby dlatego, że brak jest odpowiedniego przedsta-
wienia polszczyzny międzywojennej, które by mogło posłużyć
jako punkt wyjścia. Tak np. m. in. nie ma dotąd (w ogóle!)
pracy o użyciu przymków, nie ma (w ogóle!) o stopniu i charak-
terze wpływu języka rosyjskiego, nie ma wreszcie nawet słow-
nika, w należyty sposób obejmującego zasoby słownikowe „mie-
dzywojnia'' (*Słownik Warszawski* z lat 1900-1935 „miedzy-
wojnia'' prawie nie obejmuje, poza tym z reguły wadliwie po-
daje dokumentację). W związku z tymi niedostatkami chciał-
bym z góry się zastrzec, że w szkicu możliwe są z rzadka po-
myłki, polegające na przedstawieniu jako powojennego tworu
itp., który w istocie rzeczy powstał już przed wojną — na to
jednak nie ma rady, jeśli trzeba się, prawie jedynie, opierać
tylko na własnej pamięci. Zresztą te ewentualne pomyłki nie
zmieniałyby zasadniczego obrazu. Może kiedyś powstanie w Pol-
sce jakiś „instytut rejestracji polszczyzny'', którego zadaniem
będzie „słownikowanie'' każdej książki i każdego pisma z miej-
sca po ukazaniu się oraz robienie zapisów z mowy potocznej.
Instytut taki, w którym np. musiałby pracować kilka miesięcy
każdy student polonistyki i który nb. tylko ubocznie miałby
się zajmować wydawnictwami słownikowymi, niezmiernie by
uproszczył pracę językoznawców. Ale to marzenie dalekiej przysz-
łości.

Przedstawiając polszczyznę powojenną, posłużyłem się ma-
teriałem, zebrany z dwóch źródeł, źródeł dość późnych, nie-
dawnych. Jednym z nich są numery „tygodnika studentów
i młodej inteligencji'', „Po prostu'', z trzech pierwszych miesięcy
br. (oprócz numerów 2, 3, 5, 10; pierwszy numer, z którego
nota bene nie mam stron 3-6, nosi datę 1 stycznia 1956, ostatni,
trzynasty — datę 25 marca 1956). „Po prostu'', przekształcone
w tygodnik z początkiem ostatniego roku akademickiego (1955-
1956), jest pismem żywym, pulsującym, inteligentnym w ramach
marksizmu. Pobieżne zestawienie z rozmaitymi innymi pismami
krajowymi wykazuje, że język „Po prostu'' dalej odbiega od
normy przedwojennej (podając przykłady z pisma, oznaczam je
literą P., po której następuje liczba numeru i strony w nu-
merze). Drugim źródłem jest powieść Leopolda Tyrmanda pt.

DO POLSKI i ROSJI	LEKI — ŻYWNOŚĆ — ODZIEŻ najtaniej — najlepiej — wysyła FREGATA (Merchants) LTD. 7, Cromwell Rd., London, S.W.7.
---	---

„Zły”, wydana w Warszawie w roku 1955 przez Czytelnika, stron 678, a napisana również w Warszawie w maju-grudniu 1954 roku (skrót: T.). Akcja powieści toczy się przede wszystkim w Warszawie, w drugim rzędzie, epizodycznie, w miejscowościach podwarszawskich. Język powieści nacechowany jest obfitym wkładem *slangu* warszawskiego tak w dialogach, jak i, w znacznie mniejszym stopniu, w opisach autora (język samego autora nb. nie odznacza się schludnością dojrzałego stylisty). Za zasadniczy motyw treściowy uważam mit Janosika-jak-gdyby, interesująco rzucony na tło panoszącego się w powojennej Warszawie świata przestępczego — Zły-Janosik mści krzywdy jakie od owego świata ponosi szary człowiek Warszawy w obliczu nieudolności władz. Mit jest, zdaniem moim, artystycznie nieszczerliwie rozwiązany: Zły-Janosik powinien by zginąć w walce, nie tak odgadnięty, nie tak odcyfrowany, jak w powieści. Rozwiązanie Tyrmanda — Zły-Janosik dostaje się w ręce władz i czeka go proces — jest koncesją polityczną na rzecz dość zresztą nieporadnie zarysowanych władz. Widocznie autor doszedł do przekonania, że każda władza, nawet komunistyczne władze obecnej Polski, jest lepsza od anarchii i zupełnego bezprawia.

Z zebranego z obu źródeł materiału wybrałem tylko pewne rysy, wystarczające, aby w zakończeniu przedstawić wnioski, które by umożliwiły czytelnikowi na obczyźnie zająć stanowisko wobec zmian w powojennej polszczyźnie krajowej. Podając materiał nb., nie normalizuję nigdy pisowni, jeśli jest zła.

Z literatury językoznawczej, poruszającej poszczególne zagadnienia, uwzględniłem wszystko to, co było w moim zasięgu, i mam nadzieję, że nie pominąłem żadnej istotnej pozycji.

I. — ZMIANY SŁOWOTWÓRCZE

a) Twory z przyrostkiem *-owi-ec/-ow-c-*

Typ jest dawny. Składa się właściwie z dwóch typów, z tworów pochodzących od przymiotników z przyrostkiem *-ow-*, które to przymiotniki rozszerzamy przyrostkiem *-ec/-c-*, oraz z tworów odrzeczownikowych z przyrostkiem *-owiec/-owc-*. I przed wojną, i po wojnie częstsze były i są twory oznaczające osoby. Oto szereg powstałych po wojnie:

drog-owiec, ‘inżynier budowy dróg’: „To architekci wmówili w nas, że bez nich nie zrobi kroku ani mostowiec, ani *drogowiec*, ogrodnik, chemik czy *ładowiec*” (P. 7.9);

lewark-owiec, ‘złoczyńca operujący lewarkiem (?)’: „chuligani z Nasielska, morderca z Dąbrowy Górniczej, terroryści z Otwocka, paczka „*lewarkowców*”, zabójca własnej ciotki ze Starówki” (P. 9.3);

most-owiec, ‘inżynier budowy mostów’ (przykład wyżej);

odzież-owiec, ‘kierownik przemysłu odzieżowego’: „Zna się

te rzeczy — powiedział — przecież jestem *odzieżowiec*. Ustalam plany, kieruję produkcją, robię harmonogramy” (T. 430);

rewolwer-owiec, ‘ktoś, kto lubi posługiwać się rewolwerem’: „Wielkich *rewolwerowców* cechuje przede wszystkim zimna krew” (T. 144, por. także 142);

sezon-owiec, ‘sprzedawca towarów sezonowych’: „szybcy, nerwowi, zręczni, krzykliwi *sezonowcy*, zorientowani na doraźny, gwałtowny zysk” (T. 379);

urządzeni-owiec, ‘rodzaj technika’: „W informatorze tym Ministerstwo Rolnictwa zgłasza zapotrzebowanie na *techników-urządzeniowców*” (P. 1.7);

wdech-owiec, ‘człowiek w dechę, coś w rodzaju chuligana dumnego ze swej krzepy’ (por. wyrażenie *w dechę*, punkt d): „Są oczywiście nijacy, znieczuleni, obojętniacy, pływający w błotku swoich własnych drobnomieszczańskich interesów, są wreszcie *wdechowcy* i chuligani” (P. 6.5);

wodociąg-owiec, ‘robotnik wodociagowy’: „aby nie natknąć się na agresywny, a przynajmniej zapowiadający uszczypliwą rozmowę wzrok *wodociagowca*” (T. 340 — na tej samej stronie ten sam robotnik nazwany jest *robotnikiem wodociagowym*);

zaopatrzeni-owiec, ‘pracownik zawiadujący zaopatrzeniem hut’: „od szeregu lat pracuje jako *zaopatrzeniowiec* w Krosieńskiej Hucie Szkła Gospodarczego” (P. 1.1);

zetemp-owiec, ‘członek komunistycznego Z(wiązku) M(łodzieży) P(olskiej)’: „Nie odmówi pani nam, sochaczewskim *zetempowcom*” (T. 222).

I przedwojenne, i powojenne twory oznaczające rzeczy są rzadsze. Oto trzy twory niewątpliwie powojenne:

biur-owiec, ‘budynek mieszczący biura’: „Oczywiście *za* zbudowane po wojnie *biurowce* z Kruczej i Wspólnej mogliśmy mieć o wiele, wiele więcej” (P. 7.9, także T. 315);

luksus-owiec, ‘luksusowy samochód’: „Czego się tu kręci ten *luksusowiec*? Może to służbowy wóz i szofer tak sobie hasa przy niedzieli?” (T. 606);

wież-owiec, ‘wysoki wolno stojący budynek’ (znaczenie według Janiny Mally, por. *Poradnik Językowy*, 1950, zeszyt 2, str. 6): „Jej (= kamienicy) tłem był kremowy masyw ogromnego *wieżowca*” (T. 164). Ponoć w ostatnich czasach słowo stało się synonimem *drapacza nieba*. *Drapacze nieba*, z ang. *sky-scrapers*, oczywiście „niebo drapią” tylko przenośnie.

b) Twory z przyrostkiem *-ak*

Twory z przyrostkiem *-ak* powstają w powojennej polszczyźnie krajowej (1) szeroką i wyraźną falą. Interesujący artykuł pt.

(1) Nie tylko zresztą krajowej. Pisząc w Londynie jesienią 1945 roku „Rzecz o polszczyźnie” (obecnie wydaną przez *Veritas*), instynktownie rzuciłem na papier „skargę *pańszczyźniaka*”. Tworu oczywiście nie wzię-

„Pochodzenie, charakter i funkcja współczesnego przyrostka -ak” poświęcił tym twórcom w „Języku Polskim” (1954, str. 155-162) Witold Truszkowski (2). Truszkowski zebrał materiał z prasy, książek i z mowy potocznej z lat 1948-1954. To chronologiczne ograniczenie pozwala ustalić, że przynajmniej aż pięciu twórcom, które na pewno istniały już między wojnami, niesłusznie przypisał powstanie powojenne. Są to: *dęciak*, *łobuziak*, *na-
iwniak*, *tępak* i *ważniak*. Ponieważ Truszkowski podaje w ogóle tylko 21 twórców na -ak, mylne oznaczenie chronologii powstania owych przynajmniej pięciu jest dość znaczące. Drugim niedostatkiem artykułu Truszkowskiego jest to, że lista przykładów nie obejmuje zupełnie twórców (*slangu* warszawskiego?), które otrzymały przyrostek -ak w zastępstwie przyrostka -k- rzeczowników żeńskich. Oto cztery przykłady, z których każdy oznacza albo banknot, albo odpowiednią ilość czy też sumę pieniędzy, albo ilość w ogóle:

dwudziestak: „dorzuć im jeszcze *po dwudziestaku*” (T. 266);

pięćdziesiątka: „Masz tu jeszcze *pięćdziesiątaka*, Moryc — rzekł wręczając Mechcińskiemu rulon z biletami” (T. 222, por. także 247, 251);

piętnastak: „Sprzedajesz *po piętnastaku*” (T. 217, por. także 488);

trzydziestak: „Na tym tysiącu biletów, coś mi je sprzedał *po trzydziestaku*?” (T. 533, por. także 217, 436).

Te twory są przekształceniem twórców na -k-a, które swój temat wzięły od liczebników głównych: z *trzydzieści*-i powstała spokojna w tonie *trzydziest-k-a*, którą z kolei przekształcono na zawadiacki *trzydziest-ak*.

Oczywiście nie należy sądzić, że artykuł Truszkowskiego może podawać wszystkie twory na -ak, powstałe po wojnie (3).

Łem ze „Słownika Warszawskiego”, gdzie figuruje jako dialektyzm. W ogóle w Polsce wpada się w *lekką* przesadę, przypisując zwiększoną produktywność typu na -ak czynnikom dokonanej w powojennej Polsce zmiany społecznej — np. taki Melchior Wańkowicz, szlachcic z Białorusi, między wojnami należący do warszawskiej elity inteligencji, ma w swej emigracyjnej powieści pt. „Drogą do Urzędowa” (N. York, 1955) *wschoda* i *pół-wschoda*, to jest człowieka, który cywilizacyjnie, w całości lub do połowy, należy do Wschodu (oba na str. 165). Autorzy krajowi mogą zawsze skontrolować międzywojenny *ancien régime* na miejscu, w książkach czy pismach, albo w rzeczach, które obecnie ukazują się na obczyźnie (niestety, w tym drugim wypadku na przeszkodzie stoją zakazy i zakazy).

(2) Ten sam autor dał również artykuł krótszy i na innym materiale oparty pt. „Przyrostek -ak we współczesnej polszczyźnie” w *Zeszytach Naukowych Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Seria Nauk Społecznych, Filologia Nr. 1, Kraków 1955, str. 261-4.

(3) *Partyniaka* Truszkowski uwzględnia, bez podania znaczenia (str. 156). Jest to „(gorliwy) członek partii (komunistycznej)”, por.: „był dobrym organizatorem i *partyniakiem*” (P. 13.5). Między wojnami powstał *partyni*, twór chyba sanacyjny, „człowiek który ma na oku przede wszystkim interes

Aby artykuł materiałowo uzupełnić i jednocześnie zilustrować szerzenie się typu, podam obecnie cały szereg twórców na -ak, o których można sądzić, że są dorobkiem powojennym.

Twory oparte na temacie *przymiotnikowym* są najliczniejsze. Wyróżniam wśród nich cztery grupy.

Jeżeli przymiotnik tematowy jest bezprzyrostkowy, -ak nie wymaga zmiękczenia poprzedzającej spółgłoski:

lew-ak, „człowiek lewy, to jest fałszywy, udający przekonania komunistyczne (???)”: „Sprawdzi wszystkie instrukcje i kiedy nic z tego co my mówimy nie wyczyta, ochrzci nas *lewakami* i zastosuje sankcje” (P. 11.3).

Pozostałe trzy grupy odprzymiotnikowe wymagają morfologicznego zmiękczenia spółgłoski poprzedzającej przyrostek -ak.

Twory utworzone od przymiotników z przyrostkiem -n-:

obojętni-ak, „człowiek obojętny”: „Są oczywiście nijacy, znieczuleni, *obojętniacy*, pływający w błotku swoich własnych drobnomieszczańskich interesów” (P. 7.5);

pewni-ak, „człowiek pewny” (Truszkowski twór ten znajdy w znaczeniu oderwanym, por. zrobić coś *na pewniaka*): „Dotychczasowe doświadczenia zdają się wyraźnie wskazywać, że poleganie wyłącznie *na pewniakach*, na tych samych osobach nie doprowadziło do zbyt wielkich osiągnięć” (P. 13.6);

ręczni-ak, „handlarz „ciuchów” noszący swe towary na ręku, to jest na ramieniu”: „Obok uwijali się przygodni sprzedawcy, tak zwani *ręczniacy*, których całym majątkiem był przewieszony przez ramię błamek taniutkiego futerka, kupon sukna, płaszcz lub para spodni” (T. 421);

wstępni-ak, „artykuł wstępny”: „Rankiem, w pustej kawiarni, czerwonym ołówkiem rozszarpuje na ćwierci aktualny *wstępniak* „Trybuny”” (P. 6.4), „Wszystkie poszczególne zdania przemówienia były bezwarunkowo słuszne. Tak jak *we wstępniakach* „Trybuny Ludu”” (P. 6.4). W latach dwudziestych i trzydziestych, do jędrzejewiczowskiej reformy szkolnictwa, *wstępniakiem* był uczeń klasy wstępnej.

Twór utworzony od przymiotnika z przyrostkiem -an- z wyrzutnią tego przyrostka:

drewni-ak, „człowiek o „drewnianym” usposobieniu”: „Wiem, że nie jesteś *drewniak*, lecz wręcz przeciwnie, nadajesz się do wszystkiego” (T. 554).

Twór wzorowany na nazwiskach odprzymiotnikowych na -sk-i, niegdyś w zasadzie odmajątkowych-szlacheckich:

swojej partii”. Pomijam wszelkie różnice politycznego tła obu twórców, ograniczając się jedynie do słowotwórczej strony sprawy. Owóż (osobowy) typ na -nik zdaje się w powojennej polszczyźnie wchodzić w stadium obumierania. W zbadanych tekstach znalazłem tylko jeden nowotwór: *personalnik*, „kierownik personalny (biura)” (por. „Rozmawialiśmy z *personalnikiem*”, T. 228; P. 7.2 i 9.7), który chyba jednak powstał w oparciu o inną formację na -nik, o macierzystego *kierownika personalnego* (P. 9.7).

frajeroszcz-ak, 'frajer': „Tak, ale nie jeden *frajeroszczak* się spięta, jak mu do łba przyłożę” (P. 12.5).

Twory oparte na *temacie rzeczownikowym* (znacznie mniej liczne):

waci-ak, 'podwatowane palto': „Do Halskiego podszedł młody sierżant milicji o twardej nie ogolonej twarzy, w narzucanym na plecy szaroniebieskim *waciaku*” (T. 13).

Twory oparte na *temacie czasownikowym* (liczebność jak w wypadku odrzeczownikowych):

rozrabi-ak, 'człowiek, który postępuje lub zachowuje się w sposób niewłaściwy, awanturuje się': „Jutro trzeba będzie pracować w locie, na tempo, na posuw i właśnie dlatego musimy wflitować pomiędzy kordony największych warszawskich *rozrabiaków* na lewych biletach” (T. 545). W tym samym lub bliskim znaczeniu jest używany również i *rozrabi-acz*: „to nie ZMP, a banda *rozrabiaczy*” (P. 11.3).

Nowe twory z przyrostkiem *-ak* mogą razić swoją, ogólnie biorąc, zawadiackością. Dwa uwydatniamy tu momenty. Przynajmniej przedwojenne tramwaje warszawskie nazywano *szóst-k-q*, *dwudziest-k-q* itd. Owóż byłbym przekonany, że nazw tych nie zastąpiono po wojnie męskim „*szóst-aki-em*”, „*dwudziest-aki-em*” itd. Nawet komunistyczne „Po prostu” stwierdza z uznaniem i aprobatą: „Nie ma chyba w Polsce człowieka, który nie chciałby zarabiać więcej niż zarabia. I to bez względu na zajmowane stanowisko, zawód i stopień świadomości” (8.2). Owóż centralną pasją jest pieniądz albo coś, co z pieniądzem się bezpośrednio wiąże (por. znaczenia uprzednio wyliczonych *dwudziest-ak-ów* itd.). *Wstępni-ak* jest wyraźnie nieoficjalnym oboczniakiem nadal istniejącego macierzystego *artykułu wstępnego*, por.: „„Trybuna Ludu” w *artykułach wstępnych* walczy z tym jako z objawem „niedowładu samodzielności myślenia”” (P. 4.5), „Zaroł się *od artykułów wstępnych*” (P. 7.1). Wolimy *artykuł wstępny*, bo jest to określenie poważniejsze, a zbytek sztywności lekkości jest wadą, jak wyżej emocjonalna przesada w traktowaniu pieniądza.

c) Twory żeńskie z odrzuceniem przyrostka *-k*

Zdrobniały przyrostek *-k* dostał się nazwaniom kobiecym już w prasłowiańszczyźnie. I dziś, w polszczyźnie, dodanie tego przyrostka do rzeczowników oznaczających mężczyzn tworzy (oczywiście przy jednoczesnej zmianie deklinacji na żeńską samogłoskową) nazwania kobiet. Tak np. mężczyzna sprzedający towary, które nosi na rękę albo przewieszzone przez ramię, nazywa się *ręczniak* (T. 421), kobieta zaś — *ręczniaczka*. Odjęcie tak utworzonemu (ale nie temu) kobiecemu nazwaniu przyrostka *-k* (już bez zmiany deklinacji) ujawnia jego potencjalną zdrobniałość, otrzymujemy bowiem nazwę wyraźnie zgrubiałą. U Tyrmanda znajdujemy w ten sposób utworzoną *ciucharę*, 'kobietę

handlującą „ciuchami”’, i *parkieciarę*, 'dziewczynę przepadającą za tańcem na parkiecie tanecznym publicznego lokalu':

„Wszystkie niemal *ciuchary* były stare i grube, niektóre hojnie uszmkowane tanimi kosmetykami” (T. 422, por. także 425);

(mówi alfons): „Była dziś wieczór ze mną taka *parkieciara*. Siedemnastka, może nawet szesnaście lat. Chciałem ją podłożyć pod frajera, ale złamała się i urwała z lokalu” (T. 670).

Oba twory z typu są dawne (por. przedwojenną *spryciarę-spryciarz-spryciar-k-ax-spryciar-a*). Oczywiście mogą powstawać i u „u nas”, na obczyźnie — w „Zielu na kraterze” M. Wańkowicza znalazłem swego czasu *podfruwając* (por. *Kultura*, 1954, 1/75-2/76, str. 207).

Podobne odjęcie przyrostka *-k* zgrubiające rzeczownik żeński spotykamy również w wypadku nazwań rzeczy. U Tyrmanda występują takie dwie nazwy części odzieży:

jesion-a: „Rzucił Tkaczykowi spodnie i marynarkę i rzekł: — Masz. Czyść i prasuj. A potem *jesionę*...” (T. 133, por. także 135); sam autor używa *jesion-k-i*, por. 137, 216, 420;

marynar-a: „Dziś jeszcze muszę mieć tę *marynarę*” (T. 134, por. także 427); sam autor używa *marynar-k-i*, por. cytata dana wyżej; *marynar-k-i* używa też „ciuchara”: „Marynarka nowiutka, prosto z paczki”, 426.

Aby jeszcze pełniej podkreślić rzadkość procesu zgrubiania, dodajmy, że nawet bohaterowie Tyrmanda używają jednak tylko *kurt-k-i* (141), *podpin-k-i* (140) i *wiatrów-k-i* (141).

Oto inne zgrubienia nazw rzeczy:

przyczep-a, używana wspólnie z *przyczep-k-q*: „Przeciął mu drogę wynurzając się z Nowogrodzkiej, powolnie pykający ciągnik z trzema *przyczep-k-ami*; w ogarniętym walką umyśle Kitwaszewskiego błysła przez ułamek sekundy rozpaczliwa konieczność rozjechania *przyczep*” (T. 499);

ścier-a, oczywiście niewątpliwie używana wspólnie ze *ścier-k-q*: „Inaczej nie dostałbyś nawet pięciu *stów* ode mnie za tę *ściere*” (T. 159);

truskaw-a (obok *truskaw-k-i*): „*Truskawy*, ananasy, najlepszą, patentowaną, miczurinowską, metodą, pielęgnowane, na osiem, tygodni, przed, terminem, zakończyły, plan, dojrzewania... — strzykał wyrazami przez rzadkie zęby pelen werwy młodzian w koszu w żółto-zielono-niebieskie paski” (T. 380).

Bodaj jedynie w zgrubiałej postaci (pieniądze! pieniądze!) występuje nazwa stułotowego banknotu (lub stu złotych), niesłychanie często używana *stów-a* (cytata wyżej, *pod ściere-q*) — *Słownik Warszawski* zna tylko *stów-k-q*.

W postaci zgrubiałej występować mogą również i *abstracta*: *machloj-a*: „Nudno — powtarzali jeden przez drugiego — żadnej *machloi*, żadnego szatkowania...” (T. 385);

rozrób-a, 'bójka, pobicie': „Bo, widzi pan, poruczniku, ja miałem wstręt do rozboju i wstręt do złodziejstwa — kochałem

wyłącznie *rozróbę*. Bójka aż do ostatecznych konsekwencji, awantura, rzucenie przeciwnika na ziemię i wymuszenie na nim zupełnej kapitulacji — oto, co brało" (T. 633, por. także 362, 375, 523, 609); występuje oczywiście także i *rozrób-k-a*: „byłem wtedy przy tej *rozróbce* na rogu Widok i Kruczej" (T. 60).

d) *Twory z odrzuceniem przyrostka -k- i zamianą przedprzyrostkowej spółgłoski na -ch*

Sam typ jest prastary, por. *mich-a*, z *mis-k-a*. Najprawdopodobniej tworem powojennym jest tylko:

mach-a, 'twarz' (z *mas-k-a*): „A jak nie, to w *machę* i po gołym tyłku" (T. 448, por. także 110, 232, 555).

Nowe znaczenie wykazuje:

wiach-a, 'jakieś uderzenie (pasem?)' (z *wiąz-k-a*): „Dopałem ją na ulicy, złapałem za kok, posłałem kilka *wiach* i wrzuciłem parę obcasów" (T. 670, por. także 409).

W specjalnych połączeniach frazeologicznych występują dwa twory dawniejsze:

dech-a, utworzona od *des-k-i* w znaczeniu 'piersi' (znanym Słownikowi Warszawskiemu jako złodziejskie) — bicie się w *dechę* jest gestem podkreślającym własną siłę, własną znakomitość (4) — stąd wyrażenie w *dechę* używane przysłówkowo lub przymiotnikowo: „ktoś załatwił w *dechę* (= znakomicie) reklamę tego kiermaszu" (T. 362, por. także 288, 290, 383, 437, 499), „Kostium w *dechę*" (T. 431, por. także 523);

kich-a, utworzona od *kisz-k-i* — wyrażenie w *kichy* pierwotnie musiało być pochwałą jedzenia, które się nadaje do włożenia „w *kichy*", obecnie jest synonimem przysłowka (lub przymiotnika) *znakomicie*: „Zamaskowany jesteś w *kichy* — dodał z uznaniem" (T. 523, por. także 488), „Szofer jesteście w *kichy* i tamten, skubany, powinien Bogu dziękować, że pod was podłeciał, a nie pod jakiegoś słabszego kierowcę" (T. 609).

II — ZMIANY W SŁOWNICTWIE

O zmianach w słownictwie traktował już rozdział poprzedni, podejmując tę sprawę w ramach czterech specjalnie dobranych typów słowotwórczych. Rozdział niniejszy, w którym przedstawione są procesy zmian w oparciu o poszczególne słowa, stanowi uzupełnienie poprzedniego.

a) *Kilka nowotworów*

Zakładamy, że *mżawa* („W *mżawie* deszczu ze śniegiem", T. 11) i zdrobniła *mżawka* („*Mżawka* zmieniła się w deszcz",

(4) Por. *wdechowiec* z punktu a).

P. 12.5), słowa wyraziste, są nowotworami powojennymi. Polskie warunki klimatyczne są takie same od wieków, ale dopiero opady powojenne doprowadziły do powstania *mżawy* od *mżyć* na wzór *kurzawy* (od *kurzyć*), por. również *czarniawę/czerniawę* i *kurniawę*. Ponowa słownictwa jest często dosyć nieprzewidywana.

Podobnie nieprzewidywane jest powstanie drugiego według wszelkiego prawdopodobieństwa powojennego nowotworu, rzeczownika *zadufek* — ludzi zadufanych w sobie zawsze było w Polsce (i na całym świecie) aż za dużo. Ponieważ w wypadku *zadufka* mam tylko jedną-jedyną cytate, trudno orzec, czy jest to nowotwór szeroko używany (w wypadku *mżawy* szersze użycie stwierdzało w zupełnie innym źródle znalezione zdrobnienie): „Wiem też, że nie jesteś tchórzem bojącym się przyznać do błędu — ani *zadufkiem* nie dopuszczającym myśli o własnym błędzie" (P. 13.3). Jest to chyba nie twór odczasownikowy (od *zadufać*, por. *niedowiarę* od *nie dowierzać*), ale utworzony od imiesłowowego przymiotnika *zadufany* z wyrzutnią (częste w polskim słowotwórstwie zjawisko) przyrostka *-an-*. Pewną poszlaką po temu byłoby to, że *zadufany* występuje w tym samym artykule, z którego zaczerpnięta została cytata z *zadufkiem* („W systemie opartym na hierarchii patrzących tylko w górę, zachowujących wyniosłą pogardę dla szczebli niższych, królowało tysiące *zadufanych* kacyków", P. 13.3), ale poszlaka ta wskazywałaby jednocześnie, że *zadufek* jest doraźnym nowotworem indywidualnym.

Nie jest oczywiście niczym dziwnym, że w systemie, w którym rząd i partia monopolizują wszelką inicjatywę, wytworzył się (5) i często występuje przymiotnik *odgórny*. W cytowanych numerach „Po prostu" znajduję dziewięć wypadków użycia, np.: „Tu mści się ów okres źle pojętej „ideoowości" ujętej w określone ramy, poza które wyjść, znaczyło narazić się *odgórnym* czynnikiem", P. 6.5; albo: „W wielu wypadkach intencje 'odgórne' grzęzną w mule złego wykonawstwa". P. 7.2.

Równoległy *oddolny*, właściwie przysłówek *oddolnie*, występuje tylko raz:

„Zwrócił uwagę, że trzeba aby sami studenci *oddolnie* sygnalizowali wszystkie błędy jakie dostrzegają w swoim terenie i by formułowali wnioski, dotyczące istniejącego stanu rzeczy", P. 13.2.

Odgórny zbudowany jest z wyrażenia syntaktycznego *od góry*. Jest rzeczą ciekawą, że nie to wyrażenie występuje na łamach pisma, z którego biorę wszystkie wyżej podane cytaty, lecz wyrażenie nieco inne, *z góry*:

„ciągle jeszcze poprawy oczekuje się wyłącznie *z zewnątrz*, ściślej — wyłącznie *z góry*", P. 4.6; „Nawet w dziedzinie kry-

(5) Słownik Warszawski cytuje ten przymiotnik z siedemnastowiecznego autora, ale oczywiście dzisiejszy *odgórny* nie jest kontynuacją owego.

tyki tzw. „łysenkizmu” domagają się nastawień *z góry*”, P. 7.8; „rola organizacji społecznych ograniczała się do udzielania pomocy dyrektorowi w wykonywaniu *z góry* nałożonych zadań”, P. 9.2; i, tradycyjny zwrot, „przykład idzie *z góry*”, P. 12.1.

Powstaje pytanie, dlaczego właśnie nie wytworzyły się przymiotniki „*zdolny*” i „*zgórny*”. Odpowiedź na to można dać rozpatrzwszy materiały podane w pracy Haliny Kurkowskiej pt. „Budowa słowotwórcza przymiotników polskich” (Wrocław 1954) na str. 109-118. Otóż, pomijając zbieżność ewentualnego nowotworu „*zdolny*” z tradycyjnym, odczasownikowym *zdolnym*, polszczyzna ma tylko kilka przymiotników zbudowanych z wyrażen syntaktycznych (połączeń przyimka z rzeczownikiem) zawierających przyimek niesylabiczny (6) (praca Kurkowskiej podaje pięć: *grzeszny*, *kmyślny*, *wczesny*, *zbożny*, *zdrożny*), które — ważniejsza jest epoka powstania niż ilość — są wszystkie tworamiasów czasów dawnych. Wśród licznych przymiotników zbudowanych z wyrażen zawierających przyimek sylabiczny (tych przyimków jest *nota bene* sześć razy więcej niż niesylabicznych) stwierdzamy bardzo dużo nowizny-świeżyzny. Nie dziw więc, że wyrażenie syntaktyczne *z góry* nie mogło stać się tematem przymiotnika i że nacisk potrzeby wytworzył przymiotnik z wyrażenia paralelnego, *z od góry*.

b) Zmiana znaczenia

Nieznamość języka architektów i budowniczych nie pozwala autorowi artykułu stwierdzić, czy słowo *budowa* miało znaczenie ‘tego, co jest budowane lub zostało zbudowane’ w tym języku fachowym już przed wojną (7). Jeżeli miało, mielibyśmy do czynienia z przyjęciem słowa w tym znaczeniu przez ogólny język powojenny. Jeżeli nie miało — z wytworzeniem się tego znaczenia w ogólnym języku powojennym. Jakkolwiekby było, *budowa* w znaczeniu ‘tego, co jest budowane lub zostało zbudowane’ jest powojennym nabytkiem ogólnego języka. Otóż warto jest podkreślić, że *nabytek ten jest wytworem odbudowy zburzonej w roku 1944 Warszawy*. Nie jest rzeczą przypadku,

(6) Nie stanowiący sylaby (w, z). *Sylabiczny* = stanowiący sylabę (np. *od, do*).

(7) Dwie cytaty z „Pięciu studjów o Łazienkach Stanisława Augusta” pióra Władysława Tatarkiewicza (Lwów-Warszawa, 1925), które to cytaty uzyskałem od inż. Zbigniewa Dmochowskiego, pozwalałyby założyć, że konkretna *budowa* sporadycznie występowała w przedwojennym języku architektury (na str. 7-ej Tatarkiewicz pisze: „*Budowa* ks. Stanisława Lubomirskiego. W Zwierzyńcu pod Ujazdowem... znajdowała się na wyspie pośród sadzawki *budowa* groteskowa”, un édifice dans le goît grotesque, „jak pisze Zug”) i że nawet należało się liczyć ze sporadycznym występowaniem *budowy* abstrakcyjnej w liczbie mnogiej (na str. 7-ej: „*Pałac... jest wynikiem szeregu formacji, zmian, budów i przebudów*”). Polszczyzna jest zawsze pełna niespodzianek!

że *budowa* w tym znaczeniu (tradycyjne znaczenie czynności budowania bynajmniej nie zagubiło się, por.: „Szubarga w porozumieniu z kierownikiem *budowy* inż. Lauterbachem miał wykonać szereg wielkich malowideł ściennych”, P. 1.1) szczególnie często występuje w powieści Tyrmanda, której akcja odbywa się prawie wyłącznie w samej Warszawie, por. np.: „W takie powolne, sobotnie popołudnie sennie i puste *budowy* zdają się oddychać spokojnie i miarowo wśród uwapnionych opłotków i oszalań”, T. 555. Naturalnym biegiem rzeczy doszło do utworzenia się dopełniacza liczby mnogiej (liczby mnogiej tradycyjna *budowa* — czynność budowania w ogóle nie miała i nadal nie ma) (7), który początkowo budził sprzeciw, uzasadnione tym, że mylnie kojarzono tę formę z niepoprawnym dopełniaczem liczby mnogiej od rzeczownika *buda* (por. uwagi A.S. w *Poradniku Językowym* z grudnia 1953, str. 27). I ów dopełniacz często występuje u Tyrmanda, np.: „*wśród* wykańczanych, staromiejskich kamieniczek i świeżo zaczętych *budów*”, T. 64.

c) Rozszerzenie zakresu użycia dawnego wyrazu

Tu ograniczymy się jedynie do trzech przymiotników, utworzonych od rzeczowników żeńskich przyrostkiem -ow, do przymiotników *kawowy*, *kulturowy* i *podstawowy*.

W wypadku przymiotnika *podstawowy* rozszerzenie jest aktem ingerencji czynników rządzących: międzywojenna *szkoła powszechna* (która zresztą nazywała się tak również w wyniku ingerencji ówczesnych czynników rządowych) nazywa się obecnie *szkołą podstawową* (P. 9.3). Zmiana jest wartości problematycznej. Najprawdopodobniej zastępujący (jędrzejowiczowską) *szkołę powszechną* mianem *szkoły podstawowej* chcieli przez to podkreślić, że *szkoła podstawowa* jest *podstawą* tzw. *budownictwa socjalistycznego*, ale przecież zatarli demokratyczną *powszechność*.

Przymiotnik *kawowy* między wojnami oczywiście istniał, por. np. *lody kawowe*, ale po wojnie wprowadzono w Warszawie *bary kawowe*, które między wojnami nie były znane. Por.:

„Na teże właśnie zasadzie *bar kawowy*, „Pod kurantami” na MDM-ie przeżywał od chwili swego powstania niejaki konflikt między treścią a formą” (T. 76), „*W barach kawowych* krąży o nich dowcipy” (P. 7.5).

Przyczyną rozszerzenia użycia zakresu przymiotnika *kawowy* jest więc pewna drobna zmiana gospodarcza.

Zmiana zakresu przymiotnika *kulturowy* jest najprawdopodobniej rezultatem „rozplywu” słownictwa naukowego. Poza wypadkami specjalnymi (tom *Słownika Warszawskiego* z roku 1902 notuje „wojnę *kulturową*”, to jest *Kulturkampf* (?), ze Spasowicza) *kulturowy* znany był w archeologii (8), gdzie mówiono

(8) I podobno w socjologii (informacja Redaktora „Kultury”).

np. o złożach kulturowych. Obecnie obserwujemy jego rozszerzenie na inne słowa, por.:

„A wiecie co to znaczy — p r o w i n c j a? To państwo kulturowych znachorów” (P. 1.4), „funkcja kulturowa malarstwa” (P. 4.3).

d) Nalot słownictwa slangowego

Mowa w znaczeniu ‘to, co mówią, mówienie’ nie jest obca literackiej polszczyźnie, por. „nie o tym mowa”, „nie ma mowy”, „nie zwracaj uwagi na ludzkie mowy”, albo religijny zwrot „grzeszyć myślą, mową i uczynkiem”. Tradycja takiego użycia rzeczownika *mowa* obejmuje m. in. Mickiewicza: „Mowy (= opowiadania) starca krążyły we wsi po kryjomu” (według *Słownika Warszawskiego*).

Powojenny język krajowy cechuje szczególne uwydatnienie tego znaczenia. Jest to rezultat wpływu któregoś typu języka „ludowego”, to jest albo dialektu miejskiego, albo wiejskiego. Tyrmandowska charakterystyka warszawskiej „ciuchary” obejmuje „ów specyficzny, bardzo warszawski kształt warg, wymodelowanych w długoletniej praktyce pyskówki, m ó w i wymyślań (T. 422). Ktoś zmyśla, że przed wojną był oficerem kawalerii — „Po co ta mowa — rzekł Meteor — pan był przecież wachmistrzem” (T. 165). Ktoś usiłuje sprzedać komuś płaszcz, wmawiając, że płaszcz jest z czeskiej popeliny, na co nabywca: „Nie skacz do mnie z taką mową” (T. 159). Jak z obu przykładów widać, mowa jest nieledwie slangową *bujdą*. Ale dla podkreślenia, że jest to właśnie ‘bujda’, trzeba *mowę* rozszerzyć na *mowę do trawy* (co się tyczy znaczenia *do trawy*, trudno rozstrzygnąć, czy jest to samo, co w wypadku *kosiarki do trawy*, czy też, co w wypadku *mówienia do trawy*):

„Mowa do trawy — rzekł po chwili — to warszawska szmata” (T. 152 — urywek z dialogu o rzekomo czeskim płaszczu), „Mowa do trawy!” (T. 426 — kupujący przekreśla tym zwrotem pochwałę marynarki, którą to pochwałę wygłasza sprzedawczyni).

Ale oczywiście nie zawsze ma *mowa* odcień ujemny, może być nawet wręcz przeciwnie:

„Jednym ze środków uparcie i konsekwentnie przezeń używanych jest jak widzimy stosowanie metafory i parabol literackiej zamiast „mowy wprost”” (P. 4.4).

Rozpatrzmy teraz *mowę* w połączeniu, niesłuchanie popularnym, z przymiotnikiem *drętwy*. Przymiotnik ten przede wszystkim znaczy ‘pozbawiony czucia, bezwładny’ („jeszcze parę wódek i będziesz zupełnie *drętwy*”, T. 448). Z tego znaczenia wywiązuje się znaczenie ‘pozbawiony orientacji’ („Znaczy się, że wcale nie jesteś taki *drętwy*, za jakiego cię mają, Meteor”, T. 176 — komplementuje szef podwładnego). Ale znaczenie obecnie najbardziej charakterystyczne to ‘bezsensowny, fałszywy,

nieszczery, pusty, zakłamany’ (jak gdyby odbijający naruszenie normalnego przepływu życia w zdrętwiałej części ciała). Mamy obecnie w Polsce *drętwe* pytanie, to jest ‘pytanie bezsensowne’ („Chcecie załapać parę złotych i bilet na jutro? — uśmiecha się Szaja. — Maasz... — mówi z marzycielskim niedowierzaniem czesząc się — po co te *drętwe* pytania?”, T. 554), albo np. *drętwego* prelegenta, to jest ‘prelegenta operującego oklepankami, w które nikt, ani on sam, nie wierzy’ („Mamy na rozkładzie wygwiszanie *drętwego prelegenta*, co zapowiedział odczyt o młodzieży”, P. 12.5). Stałym i częstym zespołem stała się jednak przede wszystkim *drętwa mowa* — w opracowanych numerach „Po prostu” znajduję aż dziewięć jej przykładów, np.: „Wszyscy, bez wyjątku, byliśmy wrogami *drętwej mowy*. Nie ufaliśmy oficjalnym komunikatom i zebraniowym referatom” (P. 6.5), „Niepozbawione słuszności są zarzuty, że słowa „patriotyzm, ojczyzna, służba dla narodu”, to dla części naszego pokolenia jedynie „*drętwa mowa*”” (P. 11.7), „Czy „*drętwa mowa*” istotnie całkowicie już wyparła oryginalna myśl artystyczna?” (P. 11.8).

Z cudzysłowów, w jakich się często używa tego zestawienia należy wnosić, że jeszcze jasno się wyczuwa, że *drętwa mowa* jest świeżym nabytkiem ze slangu.

Żałatwić odmownie to zwrot oznaczający złe potraktowanie, np. pobicie. Geneza tego zwrotu jest niewątpliwie urzędnicza (por. *żałatwić odmownie podanie*), ale okoliczności, w jakich powstało znaczenie slangowe, nie są całkowicie jasne. Oto dwa przykłady:

„Kto cię tak *odmownie żałatwił*? — spytał Kubuś, wskazując na świeżą bliznę pod podbródkiem Moryca” (T. 110), „I takich, jak ten — wskazał na ZŁEGO — zawsze *żałatwimy odmownie!*” (T. 609).

Nieco inne znaczenie ma następujący przykład:

„Ale wykonywany utwór stracił na wartości muzycznej — jak to się popularnie mówi „*został żałatwiony odmownie*”” (P. 9.7).

e) Sprawy uboczne

Automatyzacja jest najnowszym zagadnieniem rozwoju techniki przemysłowej. Zdawałoby się, że tak właśnie nazwana powinna być w polszczyźnie. Ale niedawno Jan Bielatowicz zaproponował na łamach londyńskiego „Życia” przyjęcie angielskiego *automation* w postaci... „*automacja*” (13 maja 1956), z kolei zaś Stefan Legeżyński (10 czerwca 1956) w postaci... „*automatycja*”. Jakże naturalna i normalna wobec tych pomysłów jest stosowana w kraju właśnie *automatyzacja*:

Przejrzyjcie dane o *automatyzacji* przemysłu w USA” (P. 9.1), „O wzroście bezrobocia jako pokłosiu *automatyzacji*” (P. 9.1).

Na łamach prasy emigracyjnej pod łącznym naciskiem języka angielskiego i francuskiego na oznaczenie pewnego politycznego stanu rzeczy na świecie przyjęła się *koegzystencja*. W kraju słusznie używa się rodzimego *współistnienia*:

„Dzięki dotychczasowym osiągnięciom i zdobytemu w walce nowemu układowi sił skutecznie przeciwstawiamy się wszelkim próbom agresji imperialistycznej, stojąc na gruncie *współistnienia* i pokojowej rywalizacji dwóch systemów” (P. 13.2).

Ale, niepotrzebnie, w niepolitycznym znaczeniu trafia się w kraju właśnie *koegzystencja* (zbyt mocna jest już przeszło trzyletnia tradycja cudzoziemskiego zdobnictwa stylowego):

„Ta *koegzystencja* (= *współistnienie* autora i wzoru postaci jego sztuki) daje mierne wyniki” (P. 12.5).

Przymiotnik *mocarny* był ulubieniem Sienkiewicza („*Mocarni* są z rodu wszyscy książęta mazowieccy”, „*Mocarny* z was pacholek”, „Chłopy na schwał i *mocarne* jak niedźwiedzie” — wszystkie przykłady z „*Krzyżaków*”, według artykułu Eugeniusza Pawłowskiego pt. *Gwara ludowa w „Krzyżakach” Sienkiewicza*”, *Język Polski*, 1949, por. str. 113) i Orkana. Owóż już dawno wykazano, że jest to wyraz-nieporozumienie — przeniesiony bowiem został z dialektu podhalańskiego, w którym, jako twór od mazurzonego *moczar*u, oznaczał to, co znaczyłby jakiś „*moczarowy*” (por. *Język Polski*, 1935, str. 141-3). Nie można bezkrytycznie iść śladami mistrzów słowa, którzy czasami w świat puszczają, jak tutaj np., jakieś inteligenckie nieporozumienie. Udało im się, dopomógł *figlarny* od *figlarza* i *gospodarny* od *gospodarza*, więc się ludziom nadal roi, że *mocarny* od *mocarza*, na tym bo się wsparło jego sztuczne inteligenckie znaczenie. *Mocarny* brzmi pretensjonalnie, na Młodą Polskę patrzy, z której dziś im mniej brać, tym lepiej. Nitsch pisał ostrzej: „dziś to ulubiony wyraz zwłaszcza pisarzy drugorzędnych, a też różnych okolicznościowych mówców, nie zawsze władających lepszym stylem podniosłym” (*Język Polski*, 1935, str. 142). Po tych słowach ciężko mi wymienić okazję, z jakiej je cytuję, bo „*Złego*” Tyrmanda czytałem z zapartym tchem. Owóż idąc za szeregiem literatów używa-nadużywa *mocarnego* właśnie Tyrmand:

„Raz mówią o *mocarnej* postaci, innym razem o kimś niewielkiego wzrostu” (20), „Na *mocarnie* sklepionej, śniadej szyi” (24), „jego *mocarny* bark rąbnął w rzeźbione drzewo” (249), „buldogowaty „Chevrolet”, dudniąc *mocarnie*, potoczył się ku Pięknej” (266), „Pociąg parł z lewej strony z *mocarnym* przydechem” (611).

(Dokończenie nastąpi)

Stanisław WESTFAL

Emigracja à la Mike Spillane

W łódzkiej „Kronice”, z 16-31 sierpnia 1956, ukazała się korespondencja Piotra Goszczyńskiego o polskiej emigracji w Wielkiej Brytanii pt. „Zagubieni we Mgle”. Na dwóch kolumnach. Zawiera ona tak pasjonujące informacje, że chciałoby się ją przytoczyć w całości. Oto zasadnicze ustępy:

„Całą emigrację nazywa się w Anglii „polityczną” lub „nową”. (Liczba emigrantów, którzy przybyli do Anglii przed wojną w poszukiwaniu pracy jest stosunkowo niewielka). Emigracja dzieli się w Anglii i Szkocji w zasadzie na dwa ugrupowania polityczne. Jedno z nich, większe i bardziej wpływowe, wybrało swym wodzem Andersa, a właściwie mówiąc zostało przez niego wybrane. Drugie, dużo słabsze, jest „własnością” p. Augusta Zaleskiego, którego wielką kamienicę oglądałem w najbardziej luksusowej dzielnicy Londynu.

Trzon emigracji ze względu na liczebność tworzą robotnicy. Nie są oni wrogo ustosunkowani do Polski i naszego ustroju. Ale całkowita prawie nieznajomość życia kraju wpływa opóźniającą na decyzję powrotu do ojczyzny. Przede wszystkim jednak ludzie ci są w straszliwy sposób terroryzowani i szantażowani przez emigracyjną „góre”. Od Polski odgradzono ich prawdziwą żelazną kurtyną, pozbawiono wiedzy o naszej rzeczywistości, rzucano na łup kłamstwa.

Anders z Zaleskim mogą się nie zgadzać jeśli idzie o „podział dochodu narodowego” — są jednak bardzo jednomyślni gdy w grę wchodzi ogłupianie dziesiątków tysięcy emigrantów. Od tego bowiem zależna jest ich egzystencja. By tę egzystencję sobie zapewnić używają wszelkich sposobów. Jednym z takich chwytów „catch as catch can” jest wykupywanie polskiej prasy nadsyłanej z kraju do międzynarodowych księgarni. Na ten cel pieniądze nie brak. Wiele na ten temat mógłby powiedzieć Mr Isson, który polskie czasopisma zakupuje od wódzów emigracyjnych na... makulaturę. Emigracyjny czytelnik chciałby jednak znać polską prasę. Mieszkający w Londynie mógłby łatwo ją otrzymać, np. w Polskiej Ambasadzie. Mógłby, coż kiedy dojścia do Ambasady bronią „forpocztę” emigracyjnych wódzów. Przed Ambasadą często spotkać można nienagannie ubranych panów spacerujących wolnym krokiem. Panowie ci wyposażeni są w aparaty fotograficzne i biada emigrantowi, którego zdjęcie zostanie dokonane w momencie wkraczania na teren polskiej placówki dyplomatycznej, czy w chwili jej opuszczania. Metody są różne. — Czy zdjęcie opublikuje się w piśmie noszącym nazwę „Dziennik Polski”, czy nie — zawsze fotografia powędruje do tajnego archiwum „Rządu” a sfotografowany może być pewien, że w najbliższym czasie utraci pracę. Anders ma długie ręce i dobrą pamięć. A przede wszystkim szeroko rozgałęzione stosunki. Dzięki tym właśnie stosunkom potrafi znaleźć drogę do pracodawcy, potrafi go przez swych agentów przekonać jakie „niebezpieczeństwo” stwarza zatrudnianie „komunisty”.

I człowiek, który chciał przeczytać polską gazetę, traci pracę. Mimo, że w Anglii w tej chwili bezrobocie nie ma, o pracę bynajmniej nie jest łatwo. Polacy są na ogół dobrymi pracownikami, pod tym względem mają już ustaloną markę. Toteż nie każdy pracodawca skłonny jest przestraszyć

się groźbami Andersa. W takim wypadku stosuje się inną metodę. Jaką? Ot, na przykład pozbawia się „komunistę” mieszkania. Ta sprawa nie wymaga już tyle zachodu. Anglik jest przede wszystkim człowiekiem interesu, gdy więc wynajmuje jakiemuś Polakowi mieszkanie za 10 funtów, uważa zazwyczaj, iż suma ta nie jest zbyt wysoka. Warto zauważyć, że w Anglii nie ma ochrony lokatorów w stosunku do ludzi, którzy mieszkania wynajęli dopiero po wojnie. Gdy więc podstawiony agent pp. Zaleskiego czy Andersa oferuje za to mieszkanie sumę o 5 funtów wyższą, właściciel bez chwili namysłu wymawia mieszkanie poprzedniemu lokatorowi. O znalezieniu nowego mieszkania nie ma co marzyć. A więc automatycznie ów „komunista” nie tylko pozbawiony jest locum, lecz musi także zrezygnować z pracy, gdyż dojazd spoza Londynu pochłania takie sumy, wobec których praca staje się po prostu nieopłacalna. Dobrana „spółka” ma w zapasie jeszcze inne metody szantażu i terroru.

Oto np. system, który zastosowano w związku z pobytem w maju br. polskich marynarzy w Portsmouth i w Londynie. Marynarze zostali zaproszeni do Londynu na spotkanie z kolegami angielskimi. Zakwaterowano ich w tym samym hotelu, w którym w dwa miesiące później zamieszkałem i ja. Hotel nosi nazwę „Ambassadors” i może właśnie dlatego panowie z b. „Rubbensa” zapragnęli „dyplomatycznie” zabrać się do rzeczy. Chodziło o „drobnostkę”. Mianowicie o namówienie choćby tylko jednego polskiego marynarza, by pozostał w Anglii i poprosił o prawo azylu. W tym celu wieczorem po hotelowych korytarzach spacerowały bardzo roznegliżowane „panie” mające oszłomić swymi wdziękami chłopców znad Wisły i Warty. Mimo poważnych kosztów, gdyż wynajęto na kwatery owych pań i towarzyszących im „menagerów” aż pięć pokoi, nie udało się. Marynarze nie dali się wziąć na kawał. Nawet elegancki, starszy pan, który przedstawił jednemu z marynarzy którąś z tych piękności jako swą córkę i swatłał mu ją, obiecując wysoki posag, i to w funtach, także nic nie wskórał. Żaden z marynarzy nie pozostał w Anglii”.

„Na liczbie Polaków przebywających na emigracji, „górze” specjalnie zależy i to nie koniecznie ze względów ideowych, broń Boże. Tu chodzi po prostu o pieniądze. Tak jest! Wszyscy Polacy muszą „dobrowolnie” płacić składki co miesiąc na rzecz tzw. „skarbu narodowego”. Tych, którzy by chcieli się wyłamać z tego „dobrowolnego obowiązku”, spotkać może utrata pracy lub mieszkania, co w rezultacie na jedno wychodzi.

Tak więc polscy emigranci ze swych bardzo skromnych zarobków płacić muszą haracz na rzecz „Białego Konia”, prezydenta Augusta i jeszcze kilku innych „wodzów”.

Tuż przy Hyde-Park na Lancaster Gate, w sąsiedztwie eleganckich i bardzo drogiej hoteli jak „Windsor” i „Lancaster Court Hotel” stoi piękny, nowoczesny dom noszący nazwę „Baarrie House”. Nie wszyscy londyńczycy zapewne wiedzą, że właśnie w tym domu na I piętrze znajdują się prywatne apartamenty Winstona Churchilla, a już na pewno jeszcze mniej londyńczyków wie o tym, że na II piętrze tej wytwornej kamienicy uwił przytulne gniazdko dla siebie i młodej aktoreczki, która przed niedawnym czasem produkowała się nago w paryskich kabaretach — generał Anders. Mieszkanie jest luksusowe, a czynsz za te „mame” 8 pokoi wynosi tylko 48 funtów na tydzień. Bagatela.

Tuż przy parku, tym jednak razem przy Harold-Park na Great Warley Street, o 15 km od Lancaster Gate, w mniej wytwornym domu, na siódmym piętrze, a raczej na strychu odrapanej czynszowej kamienicy, mieszka Stanisław Borkowski, lekarz z zawodu. Niestety, jak wielu Polaków, nie może pracować w swym fachu. Maluje więc kolorowymi kredkami na chodnikach

pocieszne figurki z disneyowskich bajek. Obok malującego leży stara zniszczona czapka, do której przechodnie wrzucają duże miedziane pensy. Gdy dzień jest dobry — pensów tych zbiera się na sumę pół funta. Z 15 funtów koniecznych do wegetacji Borkowski funt musi odnieść co miesiąc do siedziby „skarbu narodowego”. Za jego pieniądze pan Anders utrzymuje „przyjaciółkę” i mieszkanie kosztujące miesięcznie 192 funty. Właśnie między innymi za pieniądze dr Borkowskiego Anders kupił wspaniałego „Pacarda” za 17 tys. funtów szterlingów i olbrzymią farmę w Stanach Zjednoczonych, której koszt szedł już w setki tysięcy dolarów.

Anders uczyni więc wszystko, by dr Stanisław Borkowski nie powrócił do kraju. Dla Andersa każdy emigrant powracający do Polski to strata, osobista strata. Anders to biznesmen, który dziś należy do rzędu najbogatszych Polaków na Brytyjskich Wyspach.

Polscy emigranci zrywają się na postępowanie „góry”, milczą jednak. Praca i mieszkanie — o tych sprawach nie należy zapominać na obczyźnie. A poza tym? Poza tym Londyn to olbrzymie miasto, Londyn liczy przecież 9 mln. mieszkańców i mimo tego, że policja angielska należy do najlepszych na świecie, nie zawsze udaje jej się wykręcić ludzi, którzy dopadli powracającego w nocy wśród gęstej mgły do domu, wbijają mu nóż w plecy. a i takie „przygody” spotykały tych, którzy zbyt głośno oburzali się na świństwa popelniane przez Władysława Andersa.

— Lepiej być żywym tchórzem niż martwym bohaterem — mówią Polacy nad Tamizą”.

Korespondencję swą kończy Goszczyński, dość niespodziewanie, łzawymi zachwytaami nad występami „łódzkiego zespołu tańca W.K.D.” w Londynie. Aby przełamać monopol emigracyjnych „gangsterów” i „szantażystów” wystarczy podobno zaśpiewać „Wracaj Janku do swej wioski”. Tak sądzi i Goszczyński i ambasador Milnikiel (czyżby od niego dostał autor swą „inside information”?):

„Jakże prawdziwe słowa wypowiedział ambasador PRL tow. Eugeniusz Milnikiel zwracając się do członków zespołu: „Przyniesicie tym biedakom kawałek Polski, daliście im ogrom wzruszeń i radości. Wasz przyjazd kosztował dużo pieniędzy, ale wasza praca nie da przeliczyć się na żadną walutę — to co zrobiliście dla tych Polaków, przyniesie stokrotnie zyski. Gdy część z nich powróci do kraju, waszą to będzie zasługa”.

Długo myślałem nad tymi trudnymi sprawami i doszedłem do wniosku: Wśród Polaków na obczyźnie trzeba budzić tęsknotę do kraju. Jak długo będą nosić ją w sercu, tak długo pozostaną Polakami. Gdy w inny sposób pomóc im nie można, starajmy się by tęsknota nie zgasała, by tliła się w ich sercach zachowując ich w ten sposób dla polskości. To jest nasz najświętszy obowiązek — nie dać im zapomnieć o kraju, aż przyjdzie czas ich powrotu do Macierzy”.

Długo myślałem nad tymi trudnymi sprawami i doszedłem do wniosku:

1) Goszczyński jest dowcipnym psotnikiem. Bzdury wypisywane w kraju przez tyle lat o polskiej emigracji tak go irytowały, że skorzystał z odwilży, żeby napisać absurdalny „pastiche” schematycznej „demonizacji” emigracji. Redaktor „Kroniki” jest oczywiście jego współnikiem. Może jednak przesolili, nawet jak na 1956 rok (po co na przykład było wciągać w to wszystko „tow. Milnikiel?”) i będą mieli grube nieprzyjemności.

2) Goszczyński jest „wewnętrzny” emigrantem, marzy o triumfalnym

powrocie gen. Andersa do Polski na białym koniu. Wściekały go informacje o upadku prestiżu „politycznego kierownictwa” emigracji. Trudno było mu w komunistycznym piśmie napisać, że cała emigracja stoi murem za Andersem i Zaleskim, którzy z kolei mają w kieszeni i Eisenhowera i Churchill'a i że „wyzwolenie” jest bliskie. Napisał wobec tego „ketmanową” wersję, z której każdy czytelnik krajowy potrafi odczytać, że emigracja polska jest jedną z największych potęg na Zachodzie, że jej bogactwo i wpływy są niemal bezgraniczne, odrzucając jednocześnie całą absurdalną wersję „gangsteryzmu” i „szantażu”. Redaktor „Kroniki” jest oczywiście jego współnikiem.

3) Goszczyński jest narwanym choć słabiutkim poetą, admiratorem Brechta i „Opery za Trzy Grosze”. W szarych mgłach Tamizy uroiła mu się wizja emigracyjnego „Lumpenproletariatu”, Anders w roli starego Peachum, w pocziwych bridzystach z „Ogniska” ujrzał groźnych „Meckie-Messerów”. Redaktor „Kroniki” jest idiotą.

4) Goszczyński jest idiotą. Redaktor „Kroniki” jest idiotą.

5) Goszczyński jest idiotą i draniem. Redaktor „Kroniki” jest idiotą i draniem.

Może ta ostatnia, najbanalniejsza wersja jest słuszna? W swoim czasie „Kronika” podała informację, że „Zniewolony Umysł” Miłosza jest w specjalnym wydaniu zrzućany balonikami na Polskę. Zaniepokojony o swoje „copyright” redaktor „Kultury” napisał do „Kroniki” uprzejmy list: „gdzie, jak, kto? Prosimy o egzemplarz”. („Kronika” twierdziła, że egzemplarz taki ma w swoim posiadaniu). Żadnej odpowiedzi...

a. n.

GRYF PUBLICATIONS LIMITED

PRZEDSTAWICIELSTWO „KULTURY”
I WYDAWNICTWO KSIĄŻKOWYCH „KULTURY”
NA WIELKĄ BRYTANIĘ

zaopatruje w książki polskie mając na składzie ponad
3.000 tytułów. Wysyłka natychmiast po otrzymaniu
z a m ó w i e n i a.

Katalogi bezpłatnie na żądanie.

WYSYŁAMY BEZPOŚREDNIO DO W. BRYTANII,
ST. ZJEDNOCZONYCH, AUSTRALII, BRAZYLII
I I N N Y C H K R A J Ó W.

Na terenie Francji przedstawicielstwo:
„Libella”, 12, Rue St. Louis-en-l'Île, Paris 4^e

BOGATY DZIAŁ NOWOŚCI

Sprawy i troski

Kronika australijska

W kronice życia Polonii Australijskiej mało jest faktów godnych zanotowania, natomiast ciekawe są procesy powolnych przeobrażeń kilkudziesięciu tysięcznej masy uchodźczej zagnanej na antypody.

Na pewnym zebraniu prezes mówił pięknie i wzniośle, jak i poprzednich lat, że zostaliśmy tutaj, aby walczyć o odzyskanie niepodległości naszej ojczyzny i że jesteśmy emigracją polityczną. Przez szereg lat takie przemówienia znajdowały pełny oddźwięk i poklask, lecz na omawianym zebraniu posypały się wypowiedzi najpierw nieco zażenowane, potem śmielsze, w miarę ich liczebności, że aczkolwiek zostaliśmy na zachodzie dla względów politycznych, to jednak teraz jesteśmy raczej jedną z grup Polonii zagranicznej. Sytuacja polityczna nie rokuje nadziei na rychły powrót, my się już tutaj zadomowiliśmy, trzeba budować strukturę organizacyjną Polonii, jako stale zamieszkałej w Australii.

Działo się to na zebraniu elitarnym działaczy emigracyjnych. A już parę lat przedtem na zebraniu ludzi bez stażu politycznego i bez matury, mówiono: „Planów budowy Domu Polskiego na naszym przedmieściu nie wiążemy z organizacjami w city, bo ci panowie może zechcą wracać do wolnej Polski, i słusznie, bo będą tam potrzebni, a my przecie tu zostaniemy na zawsze i dom nasz nie powinien być zagrożony likwidacją i repatriacją Polonii”.

Toteż nie będzie wielkiej przesady w określeniu, że polska emigracja polityczna przeszła ewolucję stając się w szerokich masach grupą polonijną, a w środowiskach najbardziej patriotycznych, również emigracją zarobkową na co dzień a emigracją polityczną od święta.

Asymilacja postępuje powoli etapami, niezmiennie, jednak coraz to nowe widać jej objawy. Imigrant z Europy w pierwszym tygodniu po przyjeździe mija przechodnia jeszcze z prawej strony, po paru miesiącach przestaje uchylać kapelusza witając znajomego, po roku zaczyna rozmowę od pogody wzorem angielskim, po kilku latach w sklepie rozmawia z wielojęzycznym sprzedawcą-tłumaczem po angielsku, bo by mu ubliżyło podejrzenie, że nie zna tego języka, chociaż tłumacz jest niezbędny dla zrozumienia tej swoistej angielszczyzny i udzielania wyjaśnień w takimże nowoaustralijskim narzeczu.

Na szybkie postępy asymilacji wpływają głównie dobrobyt i kompleks niższości... W Australii znów jest prosperity, nie ma prawie bezrobotnych, zarobki są dobre, mało kto się wybija i dochodzi do bogactwa, lecz prawie wszyscy żyją zamożnie i w większości zamożniej niż gdyby byli w Polsce. Przecie większość Polonii Australijskiej, to ci niegdyś wywiezieni na roboty do Niemiec, a obecnie właściciele ładnych domów, samochodów i nawet w młodszym pokoleniu raket tenisowych.

Trudno oprzeć się może paradoksalnemu wrażeniu, że wiele nieszczęśliwych tułaczy pozbawionych ojczyzny, jednak indywidualnie wygrało wojnę, czy też wygrało na wojnie.

Więc też australijski styl życia imponuje i wciąga. Innym powodem stopniowej asymilacji jest kompleks niższości. Wystarczy spojrzeć na przykład na rozmawiającego Polaka-inteligenta, by nie widząc jego rozmówcy, z wyrazu twarzy odgadnąć, czy jest tym rozmówcą Australijczykiem, czy też rodak, zwłaszcza „bez matury”. W pierwszym wypadku będzie pewna uniżoność, w drugim „dostojność” maluje się na obliczu.

Skoro przewagi wojenne, „natchnienie narodów” i cierpiętnictwo tu nie są w wysokiej cenie, Polak nie ma czym imponować.

Strawa duchowa i kulturalna z Kraju jest nie do przełknięcia, z naszych centralnych ośrodków emigracyjnych mało tu dochodzi rzeczy mogących napawać nas dumą, a wieści z politycznego Londynu napawają raczej wstydem. Patrząc z perspektywy australijskiej przykład Hankego mniej ludzi zachęcił do repatriacji, niż odrzucił w ogóle od polskości.

A że w epoce wielkich przeobrażeń nie wystarczy starej kultury bez jej uzupełnienia w dostosowaniu do nowych czasów, więc co Polonia zagubiona na piątym kontynencie ma przeciwstawić naporowi asymilacyjnemu?

Polonia Australijska jest może specjalnie odcięta od świata. Odległość sprawia, że słuchanie polskich audycji, europejskich, czy amerykańskich jest bardzo utrudnione. Kilkaset numerów „Kultury”, czy „Wiadomości” dociera do elity, a reszta nie słyszała nawet, że Miłosz napisał „Zniewolony Umysł” a Józef Mackiewicz „Drogę do nikąd”, bo w miejscowej prasie polskiej nie było dotąd recenzji. O angielskich książkach Pietrkiewicza i Korabiewicza były na szczęście wzmianki w prasie australijskiej. Są tu wyświetlane stare polskie filmy i cieszą się wielkim powodzeniem, ale dla młodych, wychowanych w australijskim społeczeństwie bezstanowym, te konflikty z powodu „mezaliansów” („Trędowata”, „Ich Troje” itd.), ta bieda i nierówność społeczna, prezentują dawną Polskę wręcz groteskowo. Nie ratują też sytuacji odegrywane na tutejszych scenach sztuki teatralne w rodzaju „Szczęście Frania”, „Lekkomyślna Siostra” itd.

Co można przeciwstawić tak bogatej literaturze angielskiej dla młodzieży, zwłaszcza np. dla dorastających dziewcząt? „Anię z Zielonego Wzgórza” tłumaczoną z angielskiego? Albo wojenno-powstańcze dzieje ociekające krwią, albo też niezrozumiałe konflikty na tle mezaliansów. I jedno i drugie tak dalekie, tak obce dla dziewcząt dorastających w Australii, że utyskiwania na wynaradawianie się młodego pokolenia stają się nie usprawiedliwione, bo prawie nic w tej dziedzinie się nie robi. Psychikę młodego pokolenia urabia prócz kina, radia, telewizji, komiksów i szkoły, również dom rodzinny i książka. Nasze możliwości ograniczają się bodaj do tych

dwa ostatnich dziedzin. Wobec powodzi różnych nagród literackich na emigracji przydałaby się z kolei nagroda za książkę dla młodzieży.

Wracając do spraw Polonii, nie ma w jej życiu organizacyjnym jakichś doniosłych faktów, natomiast zaczyna wykrystalizowywać się pewna nowa linia podziału organizacji — na te z szumnymi nazwami, radami, zarządami, i grupującymi ludzi niegdyś na wysokich stanowiskach — jednym słowem sztaby szeroko zakreślonych akcji — ale bez szeregowców, i organizacje lokalne, masowe, prowadzone przez sierżantów i kaprali — bez wysokich szarż. Wydaje się, że organizacje drugiego typu mogą rokować nadzieje pomyslniejszego rozwoju, dzięki większej prężności, bardziej realnemu podejściu do rzeczywistości australijskiej, a zwłaszcza lepszemu wyczuciu zainteresowań przeciętnego emigracyjnego zjadacza chleba. Aczkolwiek w organizacjach i w życiu towarzyskim istnieje pewien podział na inteligentów i „prostych ludzi”, to jednak antagonizmu „klasowego”, ani wrogości nie ma. Po prostu inteligent z dawnego nawyku uważa się za coś lepszego, ale w tutajszych warunkach nie może tego poprzeć żadnymi dowodami, natomiast „prosty człowiek” powiada dosadnie „im kto z większego konia spadł, tym bardziej na głowę upadł”. To przeciwstawienie, byłoby — zdaniem piszącego te słowa — raczej aktualne dla wzajemnego ustosunkowania się szerokiej rzeszy emigrantów w różnych krajach i politycznego ośrodka londyńskiego.

Na tematy „londyńskie” i kreowania jakiejś nowej centrali na emigracji, według projektu p. Brzezińskiego, trwa przewlekła dyskusja na łamach tutejszych „Wiadomości Polskich”. Z dotychczasowych polemik, raczej niż dyskusyj, można wyciągnąć następujące wnioski: bardzo krytyczny stosunek do stanu obecnego i zgoda na potrzebę zmiany (vide p. J. Kłownik Nr 4/102 „Kultury”), lecz poważne zastrzeżenia co do projektu p. Brzezińskiego, gdyż organizacje reprezentują tylko część społeczeństwa a ich wciągnięcie do tworzenia centrali politycznej, wprowadzi walki o władzę i rozbięcie. Wniosek końcowy jak dotychczas: Droga do nikąd.

Reasumując przeobrażenia tutejszej Polonii można by zaryzykować następujące uogólnienia: Stopniowa asymilacja w kierunku podwójnego patriotyzmu, z rzadkimi wypadkami renegacji, to jest zupełnego wyrzeczenia się polskości i przyjęcia wrogiej względem niej postawy, negatywne nastawienie do skłóconych polityków londyńskich i postawa wyczekująca gotowa do przywrócenia zaufania jednolitemu ośrodkowi będącemu wyrazicielem poglądów emigracji. Wchodzenie do życia społecznego ludzi typu wankowiczowskiego Gąsiora, który zagospodarzywszy się na nowym terenie, zaczyna się rozglądać za prezesurą komitetu parafialnego.

Postawa potencjalnie patriotyczna, która w potrzebie mogłaby zgotować niespodzianki a tymczasem wyraża się między innymi pomocą paczkową dla Kraju, ocenianą przez „Tygodnik Katolicki” na około 1 i pół miliona funtów rocznie. Jedną z takich niespodzianek była sprawa p. Danielaka. Płynął on samotnie ze Szwecji i ugrzązł w dramatycznych okolicznościach w Liberii, gdzie został aresztowany. Z więzienia wysłał list do Rady Naczelnej Polskich organizacji w Australii z prośbą o ratunek. Na wyratowanie rodaka z „niewoli murzyńskiej”, w krótkim czasie trzysta osób złożyło datki w wysokości kilkuset funtów a interwencja drogą dyplomatyczną i gwarancje spowodowały, że p. Danielak niebawem przybył do Australii. Gdy dziękował

on za pożyczkę, którą obiecał zwrócić, pospaly się do redakcji listy ofiarodawców, że to nie była pożyczka a bezzwrotna darowizna. Niezbadane są odruchy Polonii Australijskiej, która w ciągu pięciu lat istnienia Funduszu Rady Naczelnej nie zabrała nań drogą dobrowolnych datków tyle, ile w ciągu miesiąca na p. Danielaka.

Polonię nadal charakteryzuje postawa antykomunistyczna, repatriantów może było kilku, bowiem ogółem wróciło za żelazną kurtynę dwadzieścia parę osób, w tym większość dawnych emigrantów rosyjskich.

Biuletyny „Kraju” dopiero od niedawna zaczęły tu docierać i to w nie wielkich ilościach. Jest już faktem ogólnie znanym, że na przykład związek metalowców oczyścił się z komunistycznych wpływów dzięki imigrantom z kurtyny, a związek kolejarzy w stanie Victoria uległ im z racji, że „dipisów” nikt nie naglił o płacenie składek, aby ich potem pozbawić prawa głosowania. Obecnie więc antykomunistyczne ugrupowania wysunęły nawet szereg polskich kandydatów do władz związkowych uznając ich za cennych sojuszników.

Poziom moralny Polonii? Pamiętam, przed laty czytałem w „N.Y. Times” „dreszczowiec” Amerykanki, która przybyła do obozu DP i przeżywała silne wzruszenia i obawy czy jej „dipisi” w nocy nie zarzną. Taką bowiem opinią cieszyli się wówczas wysiedleńcy. Sprawa rzeczywiście wyglądała dosyć beznadziejnie, a obozy wydawały się zbiorowiskiem wykolejeńców. Dzisiaj oficjalne statystyki wykazują, że przestępczość wśród imigrantów w ogóle, a również wśród tych byłych DP, jest mniejsza niż wśród autochtonnej ludności australijskiej. Po burzach i perypetiach ludzie wrócili do równowagi, stali się solidnymi obywatelami, pełnymi poszanowania prawa. W życiu społecznym, jak Australia długa i szeroka, nie było słyhać o żadnym konkretnym wypadku malwersacji finansowej, pomimo atmosfery nieufności i skłonności do wysuwania gołosłownych oskarżeń. W dziedzinie nauki polską specjalnością jest, to co się w Niemczech żartobliwie nazywało „dipisologią”. A więc znany czytelnikom „Kultury” dr Zubrzycki został zaangażowany przez Australijski Uniwersytet Narodowy w Canberrę do przeprowadzenia zakrojonych na lata studiów socjologicznych i demograficznych nad powojenną imigrację do Australii. Dr Listwan wygłosił na australijskim kongresie medycznym referat o neurozach imigrantów a dr K. Zakrzewski w Canberze wygłosił odczyt pt. „Pewne aspekty psychologii DP”. Na wyżej wspomnianym kongresie medycznym, amerykański świat lekarski reprezentował dr Rytel, niegdyś lekarz warszawski, wygłaszając referat w sekcji historycznej pt. „Kopernik, jako lekarz i społecznik”.

W dziedzinie oświaty należy podkreślić dalszy rozwój szkolnictwa, ilość dzieci uczęszczających do szkółek sobotnich sięga paru tysięcy, a pełne szkoły (z internatami) o programie szkół australijskich, lecz również z polskimi przedmiotami, prowadzone przez siostry Nazaretanki, rosną w coraz do nowych stolicach stanowych.

W dziedzinie kulturalnej Polonia Australijska przechodzi z jednostronnej roli konsumenta do roli współtwórczej, czego przykładem są: Nagroda literacka „Kultury” przyznana p. Andrzejowi Chciukowi z Melbourne i nagroda radia monachijskiego — p. Zbigniewowi Jasińskiemu. Poza tym powstał tu kwartalnik literacki „Widnokregi”, a utwory pisarzy z Australii co-

raz częściej ukazują się w polskich pismach literackich na innych kontynentach.

Prócz teatrów amatorskich, często na dobrym poziomie, i nowej mody wieczorów sztuk czytanych (i niekiedy nagrywanych na taśmy dla innych polskich skupisk) powstał w Melbourne kabaret literacki „Wesoła Kookaburra”.

Może najbardziej znamiennym w „Widnokregach” był artykuł Z. Jasińskiego „Prawo do milczenia”, wykazujący, że wobec nieopłacalności zawodu pisarza czy publicysty, selekcja odbywa się nie według kwalifikacji utworów i autorów, a według reguł licytacji w dół, skutkiem czego do czytelników docierają jedynie prace autorów piszących bezpłatnie. Sytuację tę charakteryzuje zresztą również podział świata dziennikarskiego Polonii Australijskiej, na członków Związku Dziennikarzy R.P. „nie praktykujących” i na nie członków — praktykujących obecnie zawód dziennikarski. Objawy, jak ustanowienie 100-funtowej nagrody literackiej przez Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne w Sydney i wzrastający dobrobyt Polonii Australijskiej, zdają się wskazywać, że rynek czytelniczy będzie żądał dobrego towaru chociażby nieco drożej, i pióra z „Widnokregów”, i te stosujące prawo do milczenia, uzyskają możliwość pisania i tworzenia nowego ośrodka kultury polskiej na antypodach.

E. ŻAGIELL

... od szpilki

Wszystko
TAZAB
WYŚŁA
22, ROLAND GARDENS • LONDON • S.W.7

do samochodu ...

Najnowsza historia Polski

Prezydent Mościcki

Głucha, niewdzięczna cisza wisząca nad daleką mogiłą Prezydenta Rzeczypospolitej, Ignacego Mościckiego, zmusza mnie do podania tych wspomnień w dekadę jego śmierci. Idzie mi to niesporo, działam poniekąd samowolczo, gdy żyje tyle bliskich mu osób, mogących o nim powiedzieć więcej i serdeczniej, może sprawiedliwiej. Nigdy nie należałem do jego ludzi, ani nie miałem możliwości szczyścić się jego przyjaźnią. Usprawiedliwieniem więc moim niech będzie głębokie przekonanie: nie wolno dopuścić, by chwasty zapomnienia bezkarnie porosły na żyznym niegdyś łanie ofiarnej pracy dla Polski zmarłego Prezydenta.

Były najgorętsze dni dwudziestolecia niepodległości. Szedł burzliwy koniec wiosny 26-go roku. Dnia 31 maja połączone izby parlamentarne wybrały znaczną większością na Prezydenta Rzeczypospolitej Józefa Piłsudskiego, akceptując w ten sposób przewrót majowy i szczęśliwie chroniąc Polskę od dalszego trwania rewolucji. Co więcej, na drugi dzień, 1 czerwca, to samo zgromadzenie, mniejszą już przewagą głosów wybiera na trzeciego Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego, kandydata postawionego przez Marszałka Piłsudskiego.

„Kto to?” — gorączkowo pytali mający głosować suwereni. Posłowie Miedziński, Bartel, oraz inni zaufani ludzie Piłsudskiego wyjaśniają ochotczo: uczony, profesor politechniki lwowskiej, twórca fabryki wyrobów azotowych w Mościcach, towarzysz pracy Komendanta z P.P.S. i współwygnaniec z czasów londyńskich. Obecnie apolityczny naukowiec.

— Jedziemy, generale, po profesora-Prezydenta! — krzyknął mi nad uchem premier Bartel, gdy z zaciekawionym patrzył — z tylnych krzeseł łoży rządowej, jeszcze w starej sali sejmowej — na rozprawiające grupki rozgorączkowanych, gestykulujących

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

posłów i senatorów. Zerwałem się z krzesła i szedłem szybko korytarzami sejmu za premierem do jego samochodu, stojącego przed gankiem. W czasie jazdy zreferowałem Bartłowi zarządzenia bezpieczeństwa, które jako Komisarz Rządu na miasto Warszawę wydałem na te, pełne wagi, dni życia stolicy.

— To tu! — zawołał nagle premier do szofera, gdyśmy przejeżdżali obok czynszowej trzypiętrowej kamienicy, gdzieś w okolicach kościoła Św. Krzyża.

— Generale, ile mię to kosztowało zachodu — mówi Bartel, biorąc mnie pod rękę już w bramie domu. — Rozumie pan, wczoraj telefonowałem do profesora do Lwowa, że musi przyjechać w sprawie niecierpiącej zwłoki. Wyjechałem dziś po niego wcześniej rano na pociąg i mówię mu jaka jest wola Komendanta: ma zostać Prezydentem Rzeczypospolitej! Był zupełnie zaskoczony i słyszeć nie chciał o czymś podobnym. Przy śniadaniu na próżno przedstawiałem mu konieczność tego faktu. Ale ja wiem, co robię! Połączyliśmy go telefonicznie ze Lwowem, żeby rozmówił się z panią Michaliną, znaczy profesorką Mościcką. Dopiero potem, gdy widziałem, że się już, chwała Bogu, waha, zawiozłem go do Komendanta. Myślę więc, że teraz będzie dobrze. Bo przecież u pana Marszałka — od razu przyrzekł, że zrobi wszystko, co Komendant każe. No, chodźmy powoli na górę, bo to, panie, wysoko, trzecie piętro. Generał zostanie na schodach, bo widzi pan, profesor profesora prędzej zrozumie — dodał sapiąc i naciskając dzwonek przy drzwiach na trzecim piętrze. Gdy wszedł, usiadłem urażony na oknie półpięterka i wyjrzałem na podwórze. Chuda, zajadła stróżka wymyślała tęgą, rozczochraną lokatorkę w czerwonej halce, że trzepie tak późno chodniki. Po dłuższej wymianie burzliwych zdań i piskliwych okrzyków orzeczeniem podwórkowej administracji stało, że lokatorka dotrzepie resztę dywaników, ale długich chodników, ani — ani. Musiałem przerwać te studia, gdyż nagle otworzyły się drzwi trzeciego piętra i spocyny, wesoly, rubaszenie uśmiechnięty premier Bartel dał mi znak, że wszystko idzie dobrze. W chwilę potem na schody wyszedł wysoki, dobrze zbudowany starszy pan, o poważnej, raczej zatroskanej bladej twarzy, z siwiejącymi włosami, ubrany w miękką kapelusz i szare letnie palto. Gdy stanął na chwilę niezdecydowany, Bartel zawołał niecierpliwie: — Panie Prezydencie! śpieszmy, bo tam w sejmie czekają!

Starszy pan, patrząc w dół, zaczął powoli schodzić po stopniach. Zeskoczyłem z parapetu na równe nogi i, rozumiejąc, że dla nowego prezydenta to pierwszy meldunek, z działością lekarza wojskowego wyrzuciłem z siebie: „Panie Prezydencie, generał Składkowski melduje się posłusznie jako Komisarz Rządu!” Wysoki pan zatrzymał się, pochylił jeszcze bardziej i mocno ciągnąc rękę ku dołowi uściśnął moją dłoń. Odtąd zawsze w ten sposób reagował Prezydent Mościcki na meldowanie się. Nie mówi „dziękuję”, lecz mocnym uściskiem

ręki i pochyleniem wprzód jakby dziękował i przeproszał za trud pełnienia służby. Na zalanej słońcem ulicy Prezydent siada z premierem Bartlem do jego samochodu, a ja, mając jechać pierwszy, wskazuję do swego. Szofer naciska starter, ale niestety nie bierze! — Znowu cholera się zacięła! — mruczy speszon. Stoimy tak chwilę, zbiera się już gromadka gapiów, gdy Bartel wychyla się czerwony ze swego samochodu i eksploduje: „Generale! do sejmu!! Jechać!” Rozkładałam bezradnie ręce. Gdy jeszcze szofer szamoce się ze starterem, daję znak, by jechali beze mnie. Samochód uwołający Prezydenta rusza ostro, a ja speszony zostaję z niecierpliwie gadającym szoferem i uparcie milczącym starterem. Już słyszę z boku w tłumie: „To nowy komisarz, ale ma starą maszynę”, gdy szofer, dodając ręcznego gazu, wyciska wreszcie zbawcze dźwięki idącego motoru. Zatrzymują nas jeszcze w drodze przy skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich, dość, że dojeżdżamy do sejmu dopiero pod koniec ceremonii zaprzysiężenia głowy państwa. Premier Bartel zabiera zaraz potem Prezydenta Mościckiego do Prezydium Rady Ministrów, a ja, nie próbując znowu szczęścia, zostaję przed sejmem przy mym starym Austro-Daimlerze, którego motor obecnie idzie posłusznie i równo jak panna. Przy sposobności postanawiam pożegnać się z marszałkiem sejmu Ratajem, zastępującym do dziś Prezydenta Rzeczypospolitej. Melduję się u tego wysokiego, wyjątkowo przyjemnego i kulturalnego pana, który uprzejmie dziękuje mi za służbę i utrzymanie porządku w czasie „bezkrolewia”. Ten dystyngowany, o arystokratycznym wyglądzie poseł stronnictwa chłopskiego był żywym zaprzeczeniem kastowości społeczeństwa. Teraz wracam do mego biura w ratuszu po pierwszym niefortunnym eskortowaniu nowego Prezydenta Rzeczypospolitej. Jako Komisarz Rządu spotykałem i żegnałem Prezydenta Mościckiego przy wszystkich jego oficjalnych wystąpieniach na terenie Warszawy. Nie będę ich tu szczegółowo opisywał, ale ogólne wrażenia z tych krótkich, powierzchownych, sporadycznych spotkań dadzą się streścić: Prezydent jest małomówny, bardzo poważny, właściwie nigdy nie żartuje. Jest jednak bardzo uprzejmy dla wszystkich i ma jakiś daleki, smutny uśmiech. Nie widać ani cienia zarozumiałości, a nawet pewności siebie. Uczony, profesor politechniki, ciągle jeszcze dominuje nad Prezydentem Rzeczypospolitej. Dopiero po paru miesiącach, 23 sierpnia 1926 roku otrzymałem za podpisami Prezydenta Mościckiego, premiera Bartla i ministra Młodzianowskiego definitywną nominację na „Komisarza Rządu na miasto stołeczne Warszawę w IV stopniu służbowym”. Jednocześnie dopiero teraz formalnie zwolniony zostałem przez Prezydenta ze stanowiska szefa Departamentu Sanitarnego M.S.Wojskowych. Do tego czasu pełniłem me komisarские funkcje na zasadzie prowizorycznej, będącej swoistą rzadkością nominacji, podpisanej w zastępstwie Prezydenta Rzeczypospolitej przez Marszałka Sejmu Rataja.

Gdy sejm, otrząsnąwszy się po wypadkach majowych, zaczął atakować rząd premiera Bartla, minister spraw wewnętrznych Młodzianowski, ustępując ze swego stanowiska, postawił moją kandydaturę jako swego następcy. Wobec nieżyjących winniśmy zachować wdzięczność. Ale gdyby nie postawienie tej kandydatury, może do dziś dnia uchodziłbym za porządnego, godnego szacunku człowieka. Jako minister spraw wewnętrznych od 2 października 1926 w gabinecie Piłsudskiego wpadłem w wir wypadków i nastrojów rządów pomajowych. Do niedawna premier, obecnie wice-, ale wsparty autorytetem Marszałka — profesor Kazimierz Bartel był całkowitym przeciwstawieniem spokojnego, zrównoważonego, delikatnego usposobienia profesora, Prezydenta Mościckiego. Prostując się i podciągając w górę, Bartel dawał do zrozumienia, że spośród dwóch profesorów Politechniki Lwowskiej, których Piłsudski zaprzął do polityki, to on właśnie, Bartel, otrzymał stanowisko bardziej czynne i odpowiedzialne. Rubaszny, energiczny, hałaśliwy upajał się szczerze możliwością wydatnej, sumiennej pracy dla Polski pod potężnym kierownictwem Piłsudskiego. Lubił nazywać Prezydenta Mościckiego najmłodszym Piłsudczykiem, a wobec bliższych sobie ludzi nieraz nawet „dobrodusznie”, po cichu podśpiewywał: „Tyle znacy, co Ignacy...” uważając Prezydenta ciągle jako swego mniej dynamicznego kolegę z Politechniki Lwowskiej, z którego nie jest grzechem zażartować. Pierwsze więc chwile urzędowania nowego Prezydenta Rzeczypospolitej, urzędowania sprawowanego tylko na wyraźne życzenie Marszałka Piłsudskiego, nie były różowe. Oficjalne życie polityczne krążyło po prostej linii między Belwederem a Zamkiem, ale Zamek Królewski, niedawne generał-gubernatorstwo, był zupełnie opuszczony i odrapany. Obok Bramy Grodzkiej tynk odpadał całymi płatami, pokazując stare wielkie cegły, przykro rażące w czasie wjazdów i wyjazdów ambasadorów i posłów obcych mocarstw oraz pobytu delegacji społeczeństwa polskiego. Na prośbę Prezydenta Mościckiego o przeprowadzenie choćby częściowego remontu Zamku, minister Robót Publicznych, dawny premier Moraczewski, szczerzy socjalista, odpowiedział, że ma pilniejsze roboty przy budowie szkół i reperacji dróg, niż konserwowanie starego zamku królewskiego. Prezydent nawet w podobnych wypadkach zachowywał spokój i równowagę ducha, zdobywając sobie tym powoli ludzi i zyskując autorytet związany z wysokim urzędem. Nigdy nie poskarżył się Marszałkowi, który otaczał go głęboką, prawdziwą, pochodzącą z dawnych lat przyjaźnią i głębokim szacunkiem dla zalet serca i umysłu. W tej serdecznej przyjaźni wybuchal jednak nieraz potężny temperament Komendanta. Jako przykład posłużyć może rada gabinetowa na Zamku, dnia 25 czerwca 1928 roku. Zebraliśmy się, ministrowie, koło godziny piątej po południu w sali z oknami wychodzącymi na kościół Św. Anny, łączącej adiutanturę z gabinetem Prezydenta. Zupełnie nie wiedzieliśmy o co chodzi,

tylko wicepremier Bartel miał minę domyslną, a nawet radosną. Sygnał trąbki na dziedzińcu Zamku zwiastował wystąpienie warty pod broń na przyjazd Marszałka Piłsudskiego. Za chwilę wszedł on do sali i, skłoniwszy się ogólnie, przeszedł do gabinetu Prezydenta. Ubrany był Marszałek, jak zawsze przy odwiedzaniu Prezydenta Rzeczypospolitej, w błękitny mundur strzelecki z odznaczeniami bojowymi; szablę na długich rapciach, białe rękawiczki i czapkę strzelecką niósł w lewej ręce. Wygląd miał poważny i zmęczony. I było czego. Od wypadków majowych zaszło wiele faktów: obalenie przez Sejm rządu Bartla, wyjazd Marszałka do Genewy celem załatwienia konfliktu z Litwą, pochowanie Słowackiego na Wawelu, wybory do sejmiku i senatu, wreszcie burzliwe otwarcie sejmiku w marcu 1928 roku połączone z podkreśleniem narastającej groźby komunizmu. Nic więc dziwnego, że Marszałek wyglądał zmęczony. Za chwilę weszliśmy i my do gabinetu pana Prezydenta i po przywitaniu się z nim przeszliśmy do narożnej sali kolumnowej, w której ustawiony był długi stół nakryty zielonym sukniem. Gdy zajęliśmy miejsca Marszałek Piłsudski poprosił Prezydenta o głos i w dłuższym, gorącym i mocnym przemówieniu zgłosił dymisję rządu, motywując ją swoim przepracowaniem i zmęczeniem wywołanym ustawiczną walką z sejmem. Marszałek gotów jest służyć jako minister spraw wojskowych w rządzie każdego wyznaczonego przez Prezydenta premiera, a nawet w razie potrzeby państwowej utworzy w przyszłości własny rząd, o ile to będzie zgodne z zamiarami i wolą pana Prezydenta, obecnie jednak musi wypocząć. Gdy Marszałek skończył zmęczony swym przemówieniem, Prezydent Mościcki wyraził radość z powodu zamiaru Marszałka zadbania wreszcie o swe zdrowie i wezwał nas ministrów, by uczcić przez powstanie prace i zasługi Piłsudskiego. Marszałek, rozgorączkowany, nie lubiący form zewnętrznych, zawołał, wstając również: — Ależ, Panie Prezydencie!

— No, to nie, to siadajmy — powiedział Prezydent z wielkim, właściwym mu spokojem, którym bardzo nam zaimponował. Marszałek, ochłonawszy, z ulgą nachylił się do Prezydenta, mówiąc serdecznie: — Rzec przechodzi więc do Ciebie, — skarżąc się przy tym, że będąc tak bardzo zmęczonym nie może jeszcze wyjechać, by odpocząć. Zegnaliśmy się z panem Prezydentem i Marszałkiem. Premierem nowego rządu został uśmiechnięty cały czas Kazimierz Bartel i w dwa dni później, 27 czerwca odbyło się zaprzysiężenie jego rządu według zwykłego ceremoniału zamkowego. Pan Prezydent stojąc odczytał rotę przysięgi przed stołem marmurowym, na którym stał krucyfiks i dwie zapalone świece. Uroczystość odbyła się w tejże sali narożnej za gabinetem Prezydenta i trwała tym razem bardzo krótko, bo zaledwie kwadrans. Po przysiędze odbyła się wspólna z panem Prezydentem fotografia ministrów nowego rządu. Bartel dziarsko wrócił do „władzy”, a Marszałek Piłsudski wyjechał na urlop. Prezydent na letnie miesiące przeniósł się do

pałacu myśliwskiego w Spale. Premier Bartel, zostawwszy sam na gospodarstwie, czuł się teraz w ciągu lata samodzielny i potężny. Lubił po przyjacielsku podciągać ministrów. Poza tym ten sympatyczny, dzielny, pracowity, rezerwowo oficer saperów kochał bardzo że, jako premier, mógł przejechać się czasem na pewnym generale, choć sanitarnym. Pochodziło to nie ze złej woli, lecz raczej ochoczego wykuwania nowej „rzeczywistej rzeczywistości”. Jakże wyglądała ta rzeczywistość? Gdy dnia 3 kwietnia 1929 wezwany zostałem do Inspektoratu, gdzie Józef Piłsudski przebywał, gdy miał dużo roboty z inspektorami armii, Marszałek oświadczył, że wezwał mnie jako ministra spraw wewnętrznych w zastępstwie chorego premiera Bartla, celem wydania ogólnych wytycznych na czas najbliższy. Oto dosłowne oświadczenie Marszałka: — Jest trzech ludzi, gdzie jest źródło władzy w Polsce: Pan Prezydent, ja i pan Bartel. Niechże więc ministrowie szukają władzy u tego źródła... — Po szeregu innych mniej ważnych zleceń i dłuższym pobycie u pana Marszałka zaniósłem otrzymane wytyczne premierowi Bartłowi. Był bardzo zadowolony z tego „Triumwiratu”, łaskawie podkreślił go przez Komendanta.

W inspektoracie u pana Marszałka zaprowadzone zostało w myśl wynalazku Prezydenta tak zwane powietrze górskie. Jest to urządzenie tłoczące do pokoju oczyszczone od kurzu i sadzy powietrze z drobną domieszką ozonu. Marszałek zaziębia się obecnie mniej i chwali sobie tę pomoc, wynikającą z troskliwości Prezydenta o jego zdrowie. Powietrze górskie za zgodą Prezydenta Mościckiego zaprowadzone zostało w szeregu szpitali chorób płucnych z wynikiem dodatnim.

Zarówno w gabinecie Bartla jak późniejszych Marszałka Piłsudskiego, Sławka i Prystora nie spotykałem się często z Prezydentem Mościckim, gdyż o sprawach wewnętrznych Państwa informowali go premierzy w myśl moich tygodniowych meldunków, składanych u nich w prezydium rady ministrów. Widywałem więc Pana Prezydenta tylko w czasie formalnych uroczystości państwowych i samorządowych. Bliższy, rzeczowy i częsty kontakt z Prezydentem nawiązałem dopiero po zwolnieniu mnie ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych i mianowaniu w dniu 23 czerwca 1931 roku II-im wiceministrem spraw wojskowych i Szefem Administracji Armii. Gdy meldowałem się już w tym charakterze na Zamku, pan Prezydent zauważył dobitnie z właściwym sobie uśmiechem: — Będziemy teraz widywać się częściej, gdyż pan Marszałek prosił mnie o opiekę nad przemysłem wojennym.

Ten przemysł wojenny był krzyczącą anomalią naszego życia ekonomicznego, wywołaną brakiem dostatecznie silnie rozwiniętego przemysłu w Polsce. Tymczasem, po Niemcach w Gdańsku odziedziczyliśmy fabrykę karabinów, przeniesioną do Warszawy, a konieczność regeneracji amunicji z poprzedniej wojny stworzyła wytwórnię w Rembertowie. Nową amunicję wyrabia-

liśmy w Skarżysku, a broń piechoty w Radomiu. Naczelnym dyrektorem trzech wspomnianych fabryk, doskonały, zdolny, energiczny fachowiec, inżynier Wierzejski, przyzwyczajony w Rosji południowej do racjonalnych, na szeroką skalę obliczonych metod przemysłowych, dusił się w atmosferze i funkcji dostawcy wyłącznie dla wojska przedmiotów uzbrojenia, nie tych, które się w danej chwili koniunkturalnie opłacały, ale tych, które były wojsku najpotrzebniejsze i dostępne ze względów budżetowych. Stąd konflikty między mną i zastępcą moim generałem Langnerem z jednej, a dyrektorem Wierzejskim i dyrektorami fabryk z drugiej strony. Tylko dyrektor fabryki prochu w Pionkach Prot, dawny waleczny oficer karabinów maszynowych, umiał godzić możliwości techniczne i finansowe z bieżącymi potrzebami wojska. Otóż, inżynier Wierzejski znalazł poparcie dla swych szerokich poglądów przemysłowych u Prezydenta Mościckiego i zaufanego jego ucznia, ministra handlu i przemysłu, Kwiatkowskiego. Uważali oni słusznie, że wojsko nie powinno zajmować się przemysłem, lecz dawać obstalunki przemysłowi prywatnemu, który wtedy, poganiany konkurencją, produkuje szybciej, lepiej i taniej. Generał Langner i ja zgadzaliśmy się z tym zasadniczo, ale przede wszystkim i niezwłocznie musieliśmy wykorzystać istniejące już fabryki i wytwórnie wojenne do głównego zadania włożonego na nas przez Marszałka Piłsudskiego, a dopingowanego stale przez generała Sosnkowskiego, jako przewodniczącego Komitetu dla Spraw Uzbrojenia i Sprzętu. Tym głównym zadaniem było uzbrojenie wojska w jednolite działa i karabiny z koniecznym wojennym zapasem amunicji. Stąd, w czasie wyjazdów inspekcyjnych, w których towarzyszyłem Panu Prezydentowi, często w dyskusji o przemyśle wojennym padały z jego strony przy kwestiach technicznych arbitralne słowa: — To ja wiem! — Albo zrezygnowane niechętnie: — No, niech pan robi jak pan uważa, że jest najlepiej! Pan za to odpowiada.

Te rozmowy, w których Prezydent miał wybitną przewagę techniczną, a ja wycucie naglających potrzeb wojska, nazywałem przez wspomnienia z surowych egzaminów uniwersyteckich, „rygorozami”. Za to, ileż korzyści, ile trafnych uwag technicznych, ile wskazówek dawało zwiedzanie fabryk przy Prezydencie, jako wybitnym uczonym, techniku i doświadczonym organizatorze. Dyrektorzy starali się zadowolić jego ściśle wymagania i poprawiali z roku na rok jakość i ilość produkcji. Można śmiało powiedzieć, że — oparta na głębokiej wiedzy — ingerencja Prezydenta do spraw technicznych przemysłu wojennego przyspieszyła znakomicie jednolite uzbrojenie naszego wojska, które całkowicie osiągnęliśmy w roku śmierci Komendanta 1935. Najlepiej czuł się Pan Prezydent przy wyjazdach do fabryki prochu w Pionkach. Przyczyną był z jednej strony tak dobrze mu znany chemiczny charakter produkcji, z drugiej brak tarć i zadrażeń dyrektora Prota z administracją wojska. Najlepiej

zapamiętałem tamtejszą pierwszą inspekcję, w której towarzyszyłem panu Prezydentowi. Meldowałem się na Zamku w gabinecie Prezydenta koło godziny piątej po południu, w jasny słoneczny dzień czerwcowy. Za chwilę Prezydent, ubrany w skórzaną hełm i płaszcz samochodowy, siada w pierwszym dziedzińcu do długiego Cadillac'a i wskazuje mi miejsce obok siebie. Wysoki, postawny adiutant, kapitan Hartman, w kapeluszu góralskim i pelerynie zatraskuje drzwiczki samochodu i zajmuje szybko miejsce obok tegoż, sprawnego szofera Pasińskiego. Jedziemy ostro krakowską szosą na Raszyn, Tarczyn, Grójec, Białobrzegi i Jedlińsk do Radomia. Tu skręcamy w lewo na boczną, wąską, dobrze utrzymaną szosę, wiodącą do Pionek. Zaczynają się wielkie lasy Kozienickie, w których schowane trwa i pracuje „Horodyszcze Protowe”. Wkrótce mijamy wycięty dla bezpieczeństwa od pożarów leśnych pas drzew i zatrzymujemy się przed wrotami strzeżonymi przez wartownię z kilku uzbrojonymi stróżami. Cała fabryka okopana jest głębokim rowem, za którym biegą wysokie zasieki drutu kolczastego. Następuje obowiązkowe legitymowanie adiutanta, po czym szybko nadchodzi dyrektor Prot. Powitanie z Prezydentem jest serdeczne choć nieco strywne, jak dobrego, obiecującego ucznia z wymagającym profesorem. Wybrukowaną szeroką drogą, w żółtych płamach przebijającego gęste korony sosen niskiego już słońca, idziemy do piętrowego domku, przeznaczonego na nocleg pana Prezydenta. Dla przeciwstawienia się pożarom, podszycie sosen jest starannie wygrabione, a trawniki przed domem krótko przystrzyżone i obficie polewane na piaszczystym gruncie. Sprawia to staranne, czyste, dostatnie wrażenie raczej spokojnego zacisznego parku, niż piekielnej fabryki środków wybuchowych. Po krótkiej kolacji — dyrektor Prot zaprasza do sąsiedniej salki, gdzie na wielkim planie fabryki, już przy świetle elektrycznym, przedstawia Prezydentowi przebieg produkcji, poczynając od magazynów surowca, wytwórni poszczególnych rodzajów prochu, wreszcie magazynów służących do przechowywania gotowego produktu. Wszystko to upstrzone jest formułami i połączeniami chemicznymi, za którymi z trudem nadążam. Pan Prezydent słuchając zapala się, wpada w słowa dyrektora, dodaje swoje uwagi. Niektóre rzeczy zastrzega sobie do sprawdzenia przy jutrzejszym obchodzie. W ogóle jest bardzo zadowolony, mówiąc, że tu dopiero po Warszawie i Zamku wraca do swego życia, do swych ulubionych myśli. Czas biegnie szybko. Północkowe koguty przeciągle podawały sobie godzinę duchów w horodyszczu, gdyśmy udawali się na spoczynek. Człowiek zasypiał przy otwartych oknach i miarowym poszumie rozłożonych czubów starych sosen, z cichym ale serdecznym pragnieniem, by fabryka prochu tej nocy, nie wznosząc się przypadkiem w górę, utrzymała się na piaszczystej powierzchni ziemi. Nazajutrz przy pięknej pogodzie rozpoczęło się od wczesnego ranka zwiedzanie rozrzuconej w lasach fabryki. Prot siedzi na przednim siedzeniu bryczki pana

Prezydenta ze swym planem i pokazuje wszystko w terenie. Prezydent wysiada i ogląda szczegółowo wszystkie interesujące go procesy produkcji, rozmawiając z inżynierami, majstrami i robotnikami. Dojeżdżamy również do nieco oddalonych magazynów gotowych produktów fabryki i wracamy do piętrowego domku, leżącego na prawo od wjazdu, na obiad i godzinny odpoczynek. Po południu młody inżynier fabryki, uczeń Prezydenta z Politechniki Lwowskiej, wygłasza wobec swego dawnego profesora i zebranych inżynierów odczyt o porównawczych metodach produkcji prochu w różnych krajach i armiach. W dyskusji zabierają głos inżynierowie, a na końcu pan Prezydent. Przemówienie jego jest właściwie dłuższym praktycznym treściwym wykładem profesorskim. Młody prelegent spocony i lekko speszony, na wezwanie Prezydenta udziela dodatkowych wyjaśnień. W tych interesujących naukowych pogwarkach — już „słoneczko na zachodzie”. Kapitan Hartman ubrany do drogi staje na baczność, dając tym znak, że Prezydentowi czas jechać. Zrazu Prezydent nie zwraca na to uwagi, aż wreszcie lekko zniecierpliwiony mówi: — Panie kapitanie, tu jesteśmy nie na czas, ale dla gruntownego porozumienia się z panami. To nie są delegacje formalne jak w Warszawie, gdzie mnie stale poganiacie. Pan jest w mundurze i ja to lubię, ale to moja rzecz już, kiedy skończę interesujące rozmowy z kolegami.

Potężny Hartman tak potraktowany staje smutnie na spoczynku, a Prezydent spokojnie kończy wymianę myśli z dawnymi uczniami. Już po zachodzie słońca Prot wyprowadza Prezydenta do samochodu przy bramie swego horodyszczu. Pan Prezydent jedzie na noc do Kazimierza nad Wisłą, a ja wracam do Warszawy, szczęśliwy i pewny, że „moje prochy w ładownicach są suche”. Największą satysfakcją Prezydenta Mościckiego było częste zwiedzanie budujących się hut i fabryk Centralnego Okręgu Przemysłowego, leżącego na południe od Sandomierza. Pamiętam, jak stojąc w wykańczanej hali Stalowej Woli Prezydent zauważył: „Jakże cieszę się, jak jestem szczęśliwy nie jako wódz tej ziemi, ale jako zwyczajny Polak, widząc narodziny tego dziecka, które wyrośnie w nasz mocny zorganizowany polski przemysł i nadrobi zaniedbania niewoli. Ten przemysł będzie służył całej Polsce”.

Bartłowski wyrażenie: Polska A i B — było tępięte przez Prezydenta, jako pozostałość odczuwania różnic z czasów zaborów. Polska jest jedna, a tym lepiej jeżeli nauczymy się wymieniać i uzupełniać różne produkty pracy jej dzielnic. Z myślą o tej przyszłości, wyjazdy Prezydenta do C.O.P.-u, najczęściej w towarzystwie wicepremiera Kwiatkowskiego, nie miały nic wspólnego z reprezentacją. Były to raczej fachowe inspekcje naczelnego inżyniera ze skrupulatnym roztrząsaniem na miejscu wszelkich możliwości i ulepszeń technicznych.

Ta sama skromność i prostota cechowała stosunek Prezydenta Mościckiego do wojska. W czasie parad w święta pań-

stwowe przyjeżdżał zwykle przed odbierającym defiladę i zasiadał w łożu między dyplomatami a rządem, bez odbierania meldunków i honorów. Oto charakterystyczna motywacja tego postępowania: — To, że ja jestem prezydentem, to i tak wszyscy wiedzą. Chodzi o to, żeby wojsko widziało wodza, który je stworzył i będzie wiódł w czasie wojny. A i on również musi widzieć i robić przegląd tego wojska, by móc ocenić jego wartość i zdolności. — Ten zwyczaj trwał zarówno za życia Marszałka Piłsudskiego jak i po jego śmierci.

Po ukończeniu jednolitego uzbrojenia wojska zaczęliśmy budować fabrykę działek przeciwpancernych i lotniczych. Pan Prezydent w mej obecności i mego zastępcy, pułkownika dyplomowanego Ulrycha, odbył dłuższą wstępną fachową dyskusję z inżynierami nad produkcją tych działek, które, choć niewystarczające ilościowo, zdały tak dobry egzamin w czasie wojny z Niemcami. Te długie, chwilami ciężkie dyskusje naukowe odbywały się najczęściej w Instytucie Technicznym Uzbrojenia i Centrum Badań Balistycznych w Zielonce pod Warszawą. Prezydent szczególnie lubił prowadzić tam rozmowy fachowe ze zdolnym i energicznym podpułkownikiem inżynierem Witkowskim.

Dalszą stałą wydatną współpracę z Prezydentem Mościckim rozpocząłem z chwilą mianowania mnie przez niego premierem rządu. Rankiem 13 maja 1936 roku, po mym powrocie do Warszawy z krakowskiej Wieży Srebrnych Dzwonów i Sowińca, generał Śmigły Rydz wezwał mnie do Inspektoratu i polecił zameldować się o godzinie pierwszej u Pana Prezydenta w charakterze kandydata na premiera. W oznaczonej godzinie kapitan Hartman meldował mnie i wpuszczony zostałem natychmiast do gabinetu Prezydenta. Spotkał mnie raczej formalnie, surowo i przystąpił od razu do rzeczy: — Na skutek konieczności opanowania ciągłych rozruchów, wywołanych głównie bezrobociem, uzgodniłem z generałem Śmigłym, by panu zaproponować objęcie rządu. Minister Kwiatkowski pomoże panu rozładować bezrobocie. Czy pan się zgadza?

Otrzymałszy krótką odpowiedź pozytywną, Prezydent omówił ze mną nazwiska proponowanych ministrów, po czym ciągnął dalej: — Tu mamy stałe zwyczaje od czasów pana Marszałka Piłsudskiego, że minister spraw zagranicznych, pan Beck, porozumiewa się ze mną bezpośrednio, naturalnie pan musi wiedzieć o wszystkim. Poza tym, jak pan wie, specjalnie interesuje mnie przemysł wojenny, reforma rolna, prowadzona przez pana Ponia-towskiego i oświata z kolegą moim profesorem Świętosławskim. Sprawy ekonomiczne prowadzi od śmierci Komendanta pan Kwiatkowski, do którego mam zupełne zaufanie. Będzie pomagał panu jako wicepremier gospodarczy i przewodniczący komitetu ekonomicznego ministrów. Czy te rzeczy panu odpowiadają?

Oświadczyłem, że z ministrem Kwiatkowskim pracowałem już zgodnie w gabinecie Marszałka Piłsudskiego i że, moim

zdaniem, bliski kontakt ministrów z panem Prezydentem wydzie tylko na dobro służby. To jednak, jeżeli mam zaprowadzić porządek w państwie, proszę dla siebie również o tekę ministra spraw wewnętrznych, by nie tylko koordynować w Warszawie pracę ministrów, ale mieć bezpośrednią ingerencję w terenie. Dla premiera ustępującego rządowi Kościłkowskiego proponuję tekę ministra pracy i opieki społecznej. Pan Prezydent pomyślał chwilę po czym powiedział: — To już jak pan uważa, ma pan w sprawach wewnętrznych dawne doświadczenie — i pożegnał się ze mną. Odchodząc, w krótkich słowach zapewniłem Prezydenta, że postaram się nie zawieść jego zaufania. Wyszło to zdawkowo i drewnianie, co gorsze — nie dało żadnego ciepłego echa ze strony Prezydenta. Po tym nijakim rozstaniu, wyjechałem z Zamku dosyć samotny i bezradny, ale zdziwiony i zaskoczony dużą zmianą, zaszła w Prezydencie przez pięć lat mej służby w wojsku, w czasie których nie mówiłem z nim o szerszych sprawach państwowych. Obecnie, to już nie skromny uczony, który został Głową Państwa ustępując naleganiom Marszałka Piłsudskiego. Teraz jest to świadomie pewny swego doświadczenia i otaczających go ludzi małomówny kierownik państwa. Wyjeżdżałem z odrapanego Zamku i patrząc na stare pół rozwalone budy koło kościoła Św. Anny pomyślałem w prostocie ducha: „Jak nie ma być bezrobocia, gdy państwo toleruje takie zaniedbanie w sercu stolicy. Musi to być wszystko inaczej”.

Dnia 15 maja 1936 roku odbyło się na Zamku pod przewodnictwem pana Prezydenta zaprzysiężenie mego rządu i formalne objęcie służby od ustępujących ministrów. W myśl zapewnień Prezydenta minister skarbu, wicepremier Kwiatkowski całkowicie poszedł z punktu widzenia ekonomicznego na rękę moim poczynaniom w rozładowaniu bezrobocia. Pomagał nam przy tym minister pracy i opieki społecznej Kościłkowski. Wobec niemożności finansowej udzielenia pomocy od razu na całym obszarze Rzeczypospolitej, łataliśmy ciężką sytuację organizowaniem robót w miejscach największego napięcia potrzeb społecznych, ale o ile możliwości, w związku z realnymi zadaniami państwa lub samorządu. Staraliśmy się zużyć pieniądze na bezrobotnych możliwie pożytecznie, uważając, że wypłacanie czystych, nieodrabianych zapomóg jest bezcelowe i demoralizujące. Zarówno o postępach tych prac, jak i warunkach bezpieczeństwa w państwie meldowaliśmy z Kwiatkowskim w czasie wspólnych tygodniowych audiencji u pana Prezydenta. Zjawialiśmy się zwykle tuż przed południem co czwartek i po krótkim czekaniu w salonie, leżącym za adiutanturą, byliśmy wprowadzeni przez kapitana Hartmana lub Guzewskiego do gabinetu Prezydenta, który spotykał nas zwykle tuż za progiem i po przywitaniu się przez swój zwykły długi uścisk dłoni, prosił ruchem ręki siadać, zatrzymując sam miejsce w rogu kanapy. Wicepremier Kwiatkowski, mając zawsze w tece masę tajemniczych ekonomicznych notatek, zestawień i wykresów, siadał szybko przy

dużym okrągłym stole, a ja obok z moją książką meldunkową. Pan Prezydent słuchał zawsze długiego, dobrego, treściwego referatu Kwiatkowskiego z widocznym zainteresowaniem, chwilami zadowoleniem, dodając swoje: — Taak! — albo: tak, to wiem.

Wicepremier pracował z dawną z Prezydentem, jeszcze przy organizowaniu fabryki w Mościcach, toteż znali się i rozumieli doskonale. Prezydent ufał Kwiatkowskiemu, a ten naprawdę chciał i umiał zaufaniu odpowiedzieć. Po omówieniu sytuacji ekonomicznej i odpowiedzi na pytania rzeczowe Prezydenta, najczęściej z zakresu przemysłu, następowała moja kolej. Tu sytuacja ulegała nagłej i gruntownej zmianie. Prezydent słuchał mnie również uważnie, ale z pewnym odcieniem niepokoju i ostrożności. Zaczynałem zwykle od nastrojów ogólnych w prasie i społeczeństwie, potem naświetlałem sprawy rozładowywania bezrobocia, wreszcie przebieg rozruchów i zaburzeń, których na początku mego urzędowania nie brakło. Tu twarz Prezydenta przybierała wyraz cierpiący lub zirytowany, przy czym nieraz mówił z wyrzutem: — Panie premierze, policja znów strzelała, — uważając mnie widocznie za niesumiennego znachora, który wbrew powziętym zobowiązaniom, nie umie wyleczyć choroby trwającej organizm Polski. Dopiero koło półroczna mego premierostwa, gdy zwiększone zatrudnienie i zakaz strzelania przez policję uspokoiły kraj, Prezydent zaczął nabierać do mnie zaufania i raz, wyjeżdżając do Spały powiedział: — Proszę pana, teraz ja tam jadę spokojnie i spokojnie śpiam tu w Warszawie, bo już nie boję się, że nagle otrzymam wiadomość o nowych rozruchach, które zatruwały mi życie.

Wśród prac podejmowanych dla zatrudnienia bezrobotnych przyszła kolej i na poprawę fatalnego wyglądu odrapanego Zamku królewskiego w Warszawie i jego otoczenia. Wygląd ten był świetnym poparciem niemieckiego powiedzonka: „Polnische Wirtschaft”. Wymagała więc zmiany tego stanu już sama godność państwa. Salony Zamku przedstawiały się pięknie i przyjemnie, choć nie tak dostojnie, jak sale wawelskie. Na ich tle postać Prezydenta poważnego, siwego, wysokiego, przystojnego wyglądała ujmująco i godnie. Z jednakim dobrym wyrozumiałym uśmiechem przyjmował życzenia noworoczne od kolejnych dziekanów korpusu dyplomatycznego — nuncjusza papieskiego i posła tureckiego, jak w lecie w Spale, wieniec dożynkowy i piękne, w gwarze ludowej, przemówienie profesora Cierniaka, wplatającego umiejętnie do życzeń dla Prezydenta krytykę rządu i administracji. W całej państwowej reprezentacji Prezydenta nie było śladu pompy i splendoru, były godność i dostojność. Nastrój jednak u obcych i swoich specji i psuł nie dbały wygląd Zamku. Zupełnie łatwo udało mi się zawiązać sprzysiężenie przeciw temu karygodnemu zaniedbaniu w stolicy państwa siedziby Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Konieczne pieniądze na zatrudnienie przy tym bezrobotnych dali: minister skarbu, fundusz bezrobocia, zapomogi samorządowe,

wreszcie prezydent-„mianowanie” miasta Warszawy Starzyński. Po całych siedemnastu latach niepodległości zapadła wreszcie decyzja zniszczenia w dawnym Zamku królewskim śladów ponurego moskiewskiego generał-gubernatorstwa, a nadania mu wyglądu godnego siedziby głowy Państwa Polskiego. Fachowe dowodzenie objęli zdolni, ofiarni, pełni entuzjazmu dla sprawy profesorowie Szyszek-Bohusz i Jawornicki. Inżynierowie i majstrowie z licznymi bezrobotnymi runęli zwartą gromadą na otoczenie zamkowe. Rozkopali cały Plac Zamkowy robotami brukarskimi, pieli się po drewnianych rusztowaniach na szczyty wież i do okien, błyszczących w odrapanych, splugawionych przez Moskali murach. Obstawili rusztowaniami pałacyk pod Blachą i obsadzili krzewami majdan przed dawnymi stajniami przybocznych czerkiesów. Bezrobotni zaatakowali Zamek i od strony Wisły, kładąc początek pięknego kamiennego bulwaru na piaszczystym, ponurym pustkowiu przy moście Kierbedzia. Zwalone zostały stare, popękane tandetne rudery obok sąsiedniego kościoła Św. Anny, który uległ gruntownemu odnowieniu. Z wieży Zegarowej Zamku zaświeciły złote „godziny”, zdawało się że na szczęście i rozwój Rzeczypospolitej. Na białej baszcie przy bibliotece zamkowej odnowiony kompas „wskazywał tylko godziny słoneczne”. Mocna w sobie Baszta Grodzka podparła swą przysadzistą krzepą delikatną strukturę Zamku, który wyskoczył, wznosił się w górę nad obniżonym poziomem Placu Zamkowego. Pochyły ten plac został zniwelowany przez przekraczanie go szerokimi monumentalnymi schodami kamiennymi. Zazieleniło się zejście od Zamku do skutej kamiennym brzegiem Wisły. Piękny, podparty obronną dzwonnica, kościół Św. Anny wrócił do dawnych szlachetnych linii przez odsłonięcie od strony Wisły, uwolnionej od barokowych dodatków, stylowej kaplicy gotyckiej. Dach świątyni pokryty został dostojną blachą miedzianą. Cały Zjazd do Wisły po obydwu swych stronach nabrał piękna godności i rozmachu. Wieczorami, oświetlona reflektorami sylweta Zamku i płonąca czerwona lampa przed zewnętrznym obrazem Matki Boskiej na murach kościoła dawały od strony czernej głęboko w dole Wisły — widok wzruszający wiarą, ładu i porządkiem, widok niezapomniany. Pan Prezydent, który dość krytycznie patrzył na nasze zabiegi, w końcu był rad, nie ze względu na siebie, ale na podniesienie godności i dostojęstwa reprezentacyjnego Zamku i jego otoczenia.

— Teraz nie będzie wstydu dla Polski — powiedział Prezydent na widok ukończonych prac, jesienią po swym powrocie ze Spawy. Powiedzenie takie nie było wyrazem nadmiernego liczenia się z cudzoziemcami, ale wysokiego idealnego pojęcia o Polsce. Mieszkając wiele lat przymusowo na wygnaniu politycznym w Anglii i Szwajcarii i znając dobrze życie innych narodów, Prezydent Mościcki był daleki od chwalebnia wszystkiego co obce. Przeciwnie, można powiedzieć, że zachwycało go wszystko, co polskie i miał w sobie jakąś głęboką cichą radość,

wdzięczność dla Nieba za to, że jest Polakiem. Był pod tym względem pogodnym przeciwstawieniem Marszałka Piłsudskiego, który, jak tytan, dusił się w swych psychicznych ramach polsko-litewskich a może w ogóle ludzkich i rzadko zaznawał w ciężkiej pracy państwowej uczucia radości, a zdaje się, nigdy — szczęścia. Posepną, proroczą wizją przyszłości Polski — niszczyła krótkie chwile szczęścia Komendanta.

W atmosferze zmniejszającego się bezrobocia oraz ugruntowania spokoju i bezpieczeństwa w kraju, jak grom z jasnego nieba spadła w lecie 1937 roku konieczność tłumienia rozruchów chłopskich w Małopolsce. Duże prace uruchomione w Centralnym Okręgu Przemysłowym nie zdołały całkowicie rozładować bezrobocia w przeludnionych małopolskich okolicach Małopolski środkowej. Na tle niezadowolenia mas, pod wpływem agitacji wybuchł tak zwany strajk chłopski, polegający na wstrzymaniu się chłopów od dowozu żywności do miast, celem ich wygłodzenia, wywołania rewolucji mas robotniczych i obalenia rządu. Strajk ten nie był jednomyślny i rolnicy wiozący żywność do miast, napadani byli na drogach publicznych przez pikietę strajkujących. Powstały ciężkie, krwawe dla obydwu stron, walki z interweniującą policją, rezultatem których była śmierć 42 strajkujących. Tych tragicznych wypadków w Polsce nie przeżyłem osobiście, gdyż byłem wtedy na urlopie we Francji. Wrócić nagle do Polski nie mogłem na skutek zaaranżowanych przez ambasadora Łukasiewicza moich rozmów z premierem Francji Daladier. Wisiałem więc w hotelu paryskim przy telefonie bezsilny, słuchając, co się już stało i czego odrobinę już nie podobna. Zerwanie rozmów i wyjazd do Polski był niemożliwy, gdyż oznaczałoby to dla Francuzów jakąś rewolucję w Polsce. Gdy wróciłem, pan Prezydent na mój widok zawołał z wyrzutem: — Pan tam jeździ, a my tu znów mieliśmy strzelaninę policji! — Na szczęście była to już ostatnia za mego urzędowania. Stopniowo w Małopolsce wracał spokój i bezpieczeństwo publiczne. Już w roku 1938 można było zwolnić trzystu włóścian, więzionych za rozruchy zeszłoroczne. Szkoda było więc wykonać, gdy przywódcy, posyłający ludzi na śmierć, umieli wykręcić się od odpowiedzialności przed prawem. Pan Prezydent bardzo był rad z tego rozładowywania sytuacji. Wkrótce zacząłem zwalniać innych więźniów politycznych, w tym więźniów brzeskich. Gdy zameldowałem Prezydentowi, że przygotowujemy powrót Wincentego Witosa z wygnania w Czechach, Prezydent aż uniósł się w fotelu, potem siadł i wzruszony powiedział: — To dawno trzeba było to zrobić! — Z biegiem czasu, choć powoli, nawiązywało się między Prezydentem i mną bliższe porozumienie. Oto jeden z przykładów.

Było słoneczne czerwcowe czwartkowe południe. Wicepremier Kwiatkowski wyjechał otwierać nowy portowy basen dla okrętów w swej ukochanej Gdyni, Prezydent szykował się odpocząć w zameczku w Wiśle na Śląsku, gdyż w Polsce był letni

spokój i cisza. Właściwie, nie było na szczęście nic gwałtownego do meldowania. Gdy po krótkiej rozmowie już zamknąłem swój zeszyt meldunkowy, pan Prezydent spojrział na mnie nieco łagodniej mówiąc: — Więc jakoś to panu wszystko idzie. Jakże pan ma jeszcze największe trudności w swej pracy?

Pomyślałem chwilę, po czym odpowiedziałem: — Panie Prezydencie, moralna pozycja moja jest dosyć mocna. Fakt, że mimo bojkotu wyborów do sejmiku i senatu przez stronnictwa opozycyjne, poszło do urn 67% uprawnionych do głosowania, ten fakt upoważnia mnie do głębokiego przekonania, że wygraliśmy plebiscyt na korzyść naszych rządów i pracy dla państwa. Zresztą, najlepszym dowodem przegrania bojkotu wyborów jest pocieszający fakt, że stronnictwa opozycyjne szykują się do brania udziału w idących, szeroko rozpisanych wyborach do samorządu. Zdobędą tam na pewno szereg mandatów, bo Polacy lubią być w opozycji, ale tą drogą wrócimy do następnych powszechnych wyborów do sejmiku, których stronnictwom opozycji bojkotować już się na pewno nie opłaci. Jesteśmy więc na dobrej drodze do powrotu normalnych stosunków parlamentarnych w Polsce. Poza tym, powoli, lecz stale bezrobocie maleje, rozwija się przemysł i handel, a skala życia obywateli idzie w górę. W tych warunkach, mając z upoważnienia pana Prezydenta moralne prawo i obowiązek służenia Polsce, nie boję się ani legalnych wyborów, ani nielegalnych zaburzeń i ruchawek. To czego się bardzo boję, to brak jednolitości i zwartości w naszym własnym obozie. Pomijam tu chwilami dokuczliwą opozycję w sejmiku i w terenie ludzi Sławka. Jest to bardzo przykre, bo pochodzi od towarzyszy broni. Mocno natomiast przeszkadza mi w pracy i niepokoi ten przykry rozdzźwięk, który istnieje i pogłębia się między ludźmi pana Prezydenta i generała Śmigłego. Nie są to tylko sprawy personalne. Chodzi tu o sposób uwzględnienia potrzeb państwa. Generał Śmigły ma rację, gdy żąda pieniędzy na zbrojenia, w których Niemcy tak bardzo nas wyprzedzili, a wicepremier Kwiatkowski ma również rację, gdy twierdzi, że nie może dać więcej, by nie załamać złotego i musi układać budżet według swych możliwości. Ten rozdzźwięk, istotny i głęboki, bo uwarunkowany różnicami poglądów w zaspakajaniu najpilniejszych potrzeb państwa, odbija się na wszystkich szczeblach administracji, hamuje swobodę moich ruchów i poczyniła i jest największą moją trudnością w skutecznym koordynowaniu przeze mnie pracy ministerstw.

— Ma pan w tym dużo racji — odpowiedział powoli i namyślając się Prezydent. — Postaram się panu w miarę możliwości pomóc — dodał zegnając się.

Wkrótce nastąpiło mianowanie generała Śmigłego marszałkiem. Poza tym, gdy przyjechałem służbowo odwiedzić Prezydenta na zamku w Wiśle, wyraził on życzenie, aby marszałek Śmigły był drugą po nim osobą w państwie, a to jako przygotowanie do wyboru Śmigłego prezydentem Rzeczypospolitej

w 1940 roku. Na tej zasadzie po powrocie do Warszawy wydałem tak zwany Okólnik o drugiej osobie w państwie, za którego niezręczność i brak celowości ponoszę wyłączną odpowiedzialność. Te formalne zarządzenia naturalnie nie zdołały zamknąć wyrwy, pogłębiającej się między wojskiem, a ministrem skarbu. Bywałem obecny jako bezsilny, niefortunny mediator przy wielu scysjach w gabinecie pracy marszałka Śmigłego między nim, a wicepremierem Kwiatkowskim. Marszałek po wyczerpaniu dowodów unosił się, żądając szeregu koniecznych, a wobec napięcia sytuacji z Niemcami, niecierpiących zwłoki uzbrojeniowych inwestycji dla wojska. Minister skarbu, blady i zmęczony tymi atakami odpowiadał, że pieniędzy więcej nie ma. Musiałby robić planową inflację, a tego nie zrobi w żadnym razie z następującym umotywowaniem. Jesteśmy młodym państwem z ludnością ekonomicznie niewyrobioną. Wzrastający dobrobyt Polski opiera się między innymi na oszczędnościach ubogich i średniozamożnych ciułaczy. Inflacja — załamanie wartości ciężko, „krwawo” uciulanego złotego — zachwiałaby odpornością i wiarą społeczeństwa w siłę i uczciwość państwa. Wtedy bylibyśmy rozbici i zniszczeni jako zorganizowane społeczeństwo jeszcze przed wejściem do wojny. Obydwie, gwałtownie dyskutujące strony miały rację. Zło leżało w naszym ubóstwie, na które rady nie widział premier o mych zdolnościach. Prezydent Mościcki popierał całkowicie ostrożną politykę finansową Kwiatkowskiego. Szczyt rozdzźwięku nastąpił na skutek mowy bliskiego marszałkowi Śmigłemu pułkownika Wendy w sejmiku o konieczności planowej inflacji, jeżeli mamy wytrzymać wyścig zbrojeń z Niemcami. Mowa ta była dla mnie, siedzącego na ławach rządowych w sejmiku, zupełną bombą, a złowrogię znaczenie jej potęgował fakt, że Wenda był wicemarszałkiem sejmiku. Gdy po mowie przebrzmiały w sali sejmowej oklaski ludzi marszałka Śmigłego, Kwiatkowski blady zerwał się z ławy rządowej i biegnąc do szatni zawołał do mnie: — Zawiadamiam pana, że jadę do Prezydenta złożyć swą dymisję.

Jeździłem odtąd do zaskoczonego efektem mowy Śmigłego, do zagniewanego nie na żarty, a podburzanego przez Kwiatkowskiego Prezydenta i do głęboko obrażonego w swej ambicji skarbowca, Kwiatkowskiego. Dopiero po wielokrotnych „wizytach” i po trzech dniach wiszącego kryzysu rządowego zdołałem zażegnać ten niepotrzebny ciężki konflikt.

Udało mi się to głównie dzięki zaufaniu, nawet życzliwości, którą zdobyłem sobie u Prezydenta w czasie ciężkiej jego choroby w marcu 1939 roku. Jakoś w kilka dni po wizycie ministra Ciano, dyrektor Żybski zawiadomił mnie, że Prezydent Mościcki jest ciężko chory. Zaniepokojony, zadzwoniłem przez telefon wewnętrzny do wicepremiera Kwiatkowskiego, ale otrzymałem odpowiedź bardzo wymijającą, która utwierdziła mnie w przekonaniu o ciężkiej chorobie, ukrywanej przede mną. Wieczorem tegoż dnia Kwiatkowski blady i zdenerwowany nagle

przyjechał do prezydium rady ministrów, mówiąc bez ogródek, że Prezydent rzeczywiście jest ciężko chory, gdyż ma skręt kiszek i że pani Prezydentowa prosi mnie o przybycie o godzinie 9-ej wieczorem na Zamek, gdzie odbędzie się rada rodzinna. Gdy przyszedłem na Zamek, w sali przed gabinetem Prezydenta siedzieli już: córka pana Prezydenta pani Bobkowska z mężem, wicepremier Kwiatkowski, szef kancelarii cywilnej Łepkowski, generał Szally, kapelan ksiądz Humpola i znany chirurg z Krakowa, kolega mój uniwersytecki, docent Glatzel. Pani Prezydentowa zjawiała się na chwilę, ale wnet odeszła do chorego męża. Doktor Glatzel zreferował sprawę, mówiąc, że pan Prezydent cierpi od paru dni na skręt kiszek i że lekarze na ogół nie radzą operacji ze względu na wiek i osłabienie chorego. Sytuacja więc jest bardzo poważna. Gdy skończył, pani Bobkowska i Kwiatkowski zwrócili się do mnie co sądzę w tej sprawie. Powiedziałem, że musimy się zdecydować na ciężką, a nawet niebezpieczną operację. Nie możemy czekać biernie, zastanawiając się wielką odpowiedzialnością, że chodzi tu o życie Prezydenta Rzeczypospolitej, musimy zaryzykować i operować go tak, jakby chodziło o życie uboższego nieznane drwala. Czekać bezradnie, obawiając się złego wyniku operacji, postąpimy tchórzliwie i postawimy Prezydenta w gorsze warunki pomocy niż zwykłego człowieka, leczonego operacyjnie na klinice. Stało ostatecznie, że pan Prezydent będzie operowany nazajutrz rano, mimo, że wynik operacji jest niepewny. Tej nocy zupełnie nie spałem. Na wszelki wypadek zarządziłem pogotowie policji warszawskiej. Rano otrzymałem od dyrektora kancelarii cywilnej Łepkowskiego radosny telefon, że docentowi Glatzlowi udało się przez odpowiednie ułożenie chorego usunąć skręt kiszek i że Prezydent czuje się lepiej. Odpadła oczywiście konieczność ciężkiej operacji. Zatelefonowałem tę pomyślną wiadomość marszałkowi Śmigłemu, odwołałem pogotowie policyjne i poszedłem spać. Koło południa obudził mnie telefon Kwiatkowskiego, mówiącego, że pan Prezydent nie śpi i czuje się na tyle mocny, że chciałby mnie zobaczyć. Ubrałem się szybko i pojechałem na Zamek. Tam w przeciwnieństwie do wczorajszego przygnębienia wszystko było już wesołe i radosne. Kapitan Hartman wprowadził mnie na piętro do sypialni Prezydenta. Leżał on wyczerpany, ale spokojny na wznak na wysoko ułożonych poduszkach, blade z zapadłymi oczami i wydłużonymi rysami twarzy. Wyciągnął do mnie rękę, mówiąc słabym głosem: — Dziękuję panu za wszystko. — Uściśnięciem ostrożnie wiotką, słabą dłoń i wyraziłem radość, przede wszystkim jako premier, że minęło oto zagrożenie spokoju życia państwowego, a następnie jako uczciwy człowiek i lekarz, że tak szczęśliwie, szybko poprawiło się zdrowie pana Prezydenta. Pogadaliśmy jeszcze tylko krótką chwilę, by nie męczyć powracającego do zdrowia. Cała rodzina promieniała szczęściem i radością. Odchodząc prosiłem pana Prezydenta, by przyjął marszałka Śmigłego, który

jest również zaniepokojony jego chorobą. Tego dnia po południu w sypialni Prezydenta nastąpiło serdeczne spotkanie mych dwóch mocodawców. Była to piękna chwila w moim życiu. Narreszcie prawdziwa zgoda! W ciągu paru tygodni stan zdrowia Prezydenta poprawił się na tyle, że mógł wrócić do zajęć państwowych. Stosunek jego do mnie zyskał na serdeczności. Znaczenie moje i możliwość pracy państwowej na skutek życzliwości Prezydenta wzrosły widocznie. Poprawiły się również bardzo stosunki między panem Prezydentem a marszałkiem Śmigłym, a nawet między ich ludźmi. Był najwyższy czas — nadchodził nad Polskę piekielny huragan.

Narastająca agresywność Hitlera, żądającego Gdańska i nadszych ziem pomorskich, spotkała się w odpowiedzi ze świetną, mocną, nieustępliwą, odrzucającą kategorycznie wszelkie ustępstwa terytorialne, mową ministra Becka. Mowa ta, wygłoszona 5 maja w sejmie, była jasnym wyrazem woli całego narodu i rozstrzygnęła o zbliżaniu się nieuchronnego konfliktu zbrojnego z napastliwymi Niemcami.

Dalszym wyrazem nieugiętej woli narodu był powszechny ofiarny udział w Pożyczce Lotniczej. Polacy, mający dużo wspólnego instynktu, gdy chodzi o żywiołowo, choć w rozmaity sposób, kochaną przez nich Polskę, czując nieuchronność wojny, zebrali się w Zamku na wezwanie Prezydenta w symbolicznej jedności Pożyczki. Najzjadlejsi opozycjoniści polityczni zasiedli obok ministrów zwalczanego, ba, bojkotowanego przez nich rządu. Pan Prezydent przewodniczył temu od lat niewidzianemu zgromadzeniu, złączonemu miłością ojczyzny, ze spokojem, umiarem, taktem, nawet serdecznością. Doskonale zrozumiał doniosłość chwili historycznej: ta mała krótkotrwała trzygodzinna Treuga Dei Polaków na Zamku była wyrazem wielkiej, odwiecznej jedności narodu w nieubłaganej, namiętnej, bezgranicznej walce o istnienie, o całość i wolność polskiej ziemi.

W chwili najwyższego napięcia sytuacji politycznej i wzrastających pogroźek niemieckich, pan Prezydent, w pogodne południe poniedziałkowe dnia 28 sierpnia 1939 roku wezwał na Zamek marszałka Śmigłego, mnie i ministra Becka. Gdyśmy usiedli w gabinecie, Prezydent, spokojny jak zawsze, polecił ministrowi Beckowi przedstawienie całokształtu narastającego z dnia na dzień napięcia z Niemcami. Beck, podkreśliwszy gwałtowność terytorialnych żądań niemieckich i niemożliwość jakichkolwiek ustępstw z naszej strony zakończył z głębokim przekonaniem: — Będzie cud, jeżeli w najbliższych dniach nie będziemy mieć wojny.

Marszałek Śmigły podniósł znaczną przewagę wojenną Niemców, która musi stworzyć wielkie trudności dla nas, szczególnie w pierwszym okresie wojny, nim sojusznicy zdobędą się na okazanie nam pomocy. Sądząc z rozmów marszałka z generałami Gamelin i Ironsided, pomoc ta nadciągnie powoli i nie

od razu w wystarczającym nasileniu. Tak, że na początku wojny będziemy się bili, choćbyśmy mieli bić się sami.

Ja podniosłem te same momenty, które w kilka dni później podkreśliłem w przemówieniu do sejmu, obradującego już pod bombami. Stwierdziłem iż jasne jest, że Niemcy bez żadnego słusznego powodu narzucają Polsce ciężką wojnę, którą, choć słabsi, musimy przyjąć. W wojnie tej zwyciężymy, gdyż Józef Piłsudski nauczył Polaków jak uporczywie zdobywać wolność i jak wytrwale jej bronić. W osiągnięciu tego przyszłego zwycięstwa nad zaborczymi Niemcami dopomogą nam we własnym interesie potężni sojusznicy.

Pan Prezydent z właściwym sobie spokojem zreasumował dyskusję i jej brzemiennie dla państwa decyzję, mówiąc powoli: — To trudno, trzeba się ważyć na wszystko, gdy chodzi o istnienie i całość Polski.

Opuszczaliśmy tę Radę Czterech po powzięciu ostatecznej decyzji przyjęcia groźnej wojny w ciężkim nastroju, ale zdecydowani. Wiedzieliśmy dobrze o naszej niższości wobec Niemców w uzbrojeniu, ale wierzyliśmy w moralną przewagę naszego narodu, która dawała rękojmię ostatecznego zwycięstwa. Pewni byliśmy już nadejścia nieuchronnej, zniszczenia i śmierć niosącej burzy wojennej, choć bomby Hitlera jeszcze nie szarpały żywego ciała Polski.

W cztery dni później w pamiętny piątek wrześniowy, na ulicach bombardowanej z powietrza Warszawy rozplakatowane zostało Orędzie Prezydenta Rzeczypospolitej, kończące się słowami wiary i ufności: „Cały Naród z Błogosławieństwem Bożym w walce o świętą i słuszną sprawę, wspólnie z wojskiem wejdzie do walki w zwartych szeregach aż do zupełnego zwycięstwa”.

Gdy przez pierwsze „pięćdziesiąt cztery godzin Polska stała samotnie u wrót cywilizacji, broniąc nas i wszystkie wolne narody i to wszystko, co reprezentujemy i uważamy za rzecz cenną”. (Przemówienie posła Arthura Greenwooda w angielskiej Izbie Gmin.) „Z bezprzykładnym męstwem, z epicznym heroizmem stała przed swymi przyjaciółmi, wahającymi się czy iść im z pomocą”, w ciągu tych pierwszych decydujących dni wojny Prezydent Mościcki był spokojny i zdecydowany w myśl powziętej zasady: „Będziemy się bić, choćbyśmy bili się sami”. Gdy wysiłki naszej dyplomacji i bohaterstwo walczących wojsk osiągały wypowiedzenie wojny Niemcom przez Anglię i Francję, decyzja Prezydenta Polski — przyjęcia wojny z Hitlerem przechodzi na szeroką płaszczyznę międzynarodowego europejskiego konfliktu. Wcielona zostaje w życie dawna wytyczna Józefa Piłsudskiego, by w razie zaatakowania nas dążyć do wywołania wojny światowej. Druzgocząca przewaga Niemców mimo bohaterskiego oporu polskich wojsk, zmusiła nas do przeniesienia obrony na linię rzeki Wisły z Warszawą jako punktem oporu. Wynikłe stąd przerwanie połączeń komunikacyjnych z zachod-

nimi sprzymierzeńcami, oraz trudności rządzenia krajem zmuszają rząd i Prezydenta Rzeczypospolitej do przeniesienia się na Wołyń, a wobec dalszego naporu Niemców od północy — do Kosowa na Pokucie, w pobliżu sojuszniczej Rumunii. Wszelkie nadzieje dalszego skutecznego oporu upadają wobec wkroczenia wzdłuż całej granicy Polski wojsk sowieckich. Zbliżanie się czołgów rosyjskich do Kosowa zmusza Prezydenta Rzeczypospolitej, po naradzie z marszałkiem Smigłym, premierem i ministrem Beckiem do powzięcia ciężkiej, podyktowanej bezpośrednią przemocą wroga decyzji „przeniesienia siedziby głowy państwa i rządu do jednego z krajów sprzymierzonych. Z tego nowego miejsca władze polskie przy zachowaniu pełnej suwerenności będą mogły dalej prowadzić wojnę u boku sprzymierzonych państw aż do zwycięstwa”. Są to słowa wyjęte z Orędzia, które wydaje Prezydent Mościcki do narodu polskiego w pogranicznej miejscowości Kuty. Jeszcze do południa 17 września mieszkał Prezydent w majątku Załucze, leżącym między Kosowem a Śniatyniem. Z Załucza widać było położony na wysokim brzegu za Prutem malowniczy Śniatyn. Ośłonę Prezydenta Rzeczypospolitej stanowiła kompania zamkowa i miejscowy posterunek policji. Użycia wojska do swej ochrony Prezydent odmówił jeszcze w Łucku uważając, że wszystkie nasze siły mają służyć do walki z wrogiem. Gdy więc bolszewicy zajmowali po południu 17 września powiatowe miasto Śniatyn, Prezydent pod osłoną niepełnej kompanii zamkowej przejechał do ostatniego miejsca swego pobytu w Polsce, Kut nad Czeremoszem. Był bardzo blady, wyczerpany długą trwającą dietą, ale mimo ciężkiej sytuacji politycznej zachował jasny pogląd na sprawę, spokój i opowiadanie. Na kwaterze ministra Becka w Kutach, gdy przygotowaliśmy Orędzie, Prezydent powiedział: „To już jasne, że idziemy w sieć! Ale innego wyjścia nie widzę: walczyć nie mamy czym, a poddać się nie możemy”.

Złożenie podpisu Prezydenta na ostatnim jego orędziu do narodu nastąpiło, wbrew późniejszym twierdzeniom Rumunów, pod wieczór dnia 17 września 1939 roku w miejscowości Kuty na polskiej ziemi. Czołgi bolszewickie przekroczyły już wtedy Prut i zbliżały się do Kosowa. Wieczorem 17 września udaje się Prezydent w towarzystwie ambasadora rumuńskiego w Polsce Grigorcea do Czerniowiec, gdzie zatrzymuje się chwilowo w pałacu arcybiskupim. W nocy przekracza granicę przez most na Czeremoszu w Kutach rząd i marszałek Smigły, którym Rumuni obiecali swobodny tranzyt przez swój kraj. Już w Czerniowcach, pod gwałtownym naciskiem Niemców żądają władze rumuńskie zrzeczenia się przez Prezydenta Rzeczypospolitej i członków rządu polskiego ich funkcji państwowych, stawiając o jako warunek dalszej możliwości naszej podróży. Koło południa udajemy się z ministrem Beckiem do wielkiego gmachu arcybiskupstwa, by zameldować Prezydentowi o tych żądaniach Rumunów. Zostaje zaproszony do Prezydenta również marszałek Smigły.

W wysokiej ponurej sali po zreferowaniu sprawy przez Becka i krótkiej naradzie zapada jednomyślna decyzja odrzucenia tego bezwstydnego żądania sprzymierzonych władz rumuńskich. Pierwszy raz widzę Prezydenta gwałtownie podnieconego. Głosem podniesionym stwierdza on kategorycznie, że w tak ciężkiej dla Polski chwili urzędu swego nie złoży. Niech się dzieje co chce. Minister Beck udaje się do pałacu gubernatorskiego, by zakomunikować Rumunom tę naszą negatywną odpowiedź. Władze rumuńskie nie mają czoła nastawać, nawet umożliwiają nam dalszą podróż, ale w nocy odczepiają wagon Prezydenta od pociągu rządu polskiego i „zapraszają” głowę sprzymierzonego państwa do pobytu w zameczku króla Karola, Bicz. Jednocześnie oskarżają Prezydenta o naruszenie neutralności Rumunii przez nieprawne wysłanie z poczty w Czerniowcach jego Ośrędzia do narodu polskiego. Jak piszą w swym Aide Mémoire Rumuni do ambasadora Raczyńskiego w odpowiedzi na jego protest z powodu internowania Prezydenta Rzeczypospolitej, rządu i Wodza Naczelnego: „W międzyczasie zaszedł fakt, który wytworzył sytuację, z którą liczyć się musi rząd rumuński. Jeszcze w czasie swego pobytu w Czerniowcach, Prezydent Mościcki wydał ośrędzie do narodu polskiego. Tekst tego ośrędzia podpisany przez J.E.P. Mościckiego, został oddany w biurze poczty w Czerniowcach celem wysłania do Paryża i Londynu. Inne identyczne teksty tego ośrędzia otrzymały osoby, które podjęły się wywieźć je zagranicę celem ich opublikowania”.

Oto o jaką „zbrodnię” oskarża sprzymierzony rząd rumuński Prezydenta Mościckiego dla umotywowania jego internowania. Rząd polski zostaje internowany w miejscowości kuracyjnej Słanic, a marszałek Śmigły w mieście Craiova. Odtąd, siłą rzeczy, tracę osobisty kontakt z Prezydentem Mościckim. Już z pułapki rumuńskiej w Słanicu rankiem 20 września telefonuję do zamku Bicz do generała Szallyego, szefa gabinetu wojskowego Prezydenta i mówię mu o naszym przymusowym położeniu. Na moje pytanie: — Jak się ma pan Prezydent? — generał odpowiada: „Pan Prezydent ma się dobrze, ale jest w tej samej sytuacji, co panowie. Właśnie u pana Prezydenta jest ambasador Raczyński”. Gdy zadzwoniłem do Bicz 24 września ze zwykłym codziennym pytaniem, co słyhać, otrzymałem odpowiedź: „Pan Prezydent robi wielką zmianę”. By się całkowicie upewnić, zapytałem: — Czy co do swej osoby? — na co otrzymałem odpowiedź: „Tak”. Wobec tego dodałem: — Proszę, generale, zameldować panu Prezydentowi, że zastosujemy się do wszystkiego, co uzna za pożyteczne dla Polski. — Po tej rozmowie odpadła próba mojej zamierzonej „nielegalnej” podróży do pana Prezydenta do Bicz.

Jasne się stało, że pozbawiony możliwości wykonywania swego urzędu, Prezydent Mościcki wykorzysta swe uprawnienia konstytucyjne i w myśl artykułu 24 konstytucji „wyznaczy... swego zastępcę”. W nocy z 29 na 30 września 1939 roku w zameczku

górkim Bicz Prezydent Rzeczypospolitej, w porozumieniu z marszałkiem Śmigłym, dotychczasowym jego zastępcą, w asyście ambasadora polskiego w Rumunii Rogera Raczyńskiego, kładzie podpis na nominacji, wyznaczonego przez niego nowego prezydenta, znajdującego się we Francji, Władysława Raczkiewicza. To ofiarne, szybkie, dalekowzroczne pociągnięcie Prezydenta Mościckiego dało możliwość natychmiastowej odbudowy legalnych władz naczelnych, mogących prowadzić w sprzymierzonej Francji dalszą walkę o wolność i istnienie Polski. W tej sytuacji rząd mój wysłał 30 września depezę do Prezydenta Raczkiewicza, w której zgłasza swą dymisję. Stosunek ustępującego rządu do internowanego Prezydenta Mościckiego ilustruje wysłany w chwili upadku mego gabinetu, ale nie ducha ministrów, telegram:

„Do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Ignacego Mościckiego. Rząd Rzeczypospolitej wyraża najgłębszy hołd Panu Prezydentowi za Jego długoletnią pracę, podejmowaną zawsze w imię najwyższych celów Rzeczypospolitej oraz za decyzję powziętą obecnie — w poczuciu pełnego poświęcenia — dla utrwalenia legalnej i czynnej władzy w okresie największych trudności Państwa Polskiego.”

Otrzymałmśmy od niezłomnego, ofiarnego do końca Prezydenta Mościckiego jakże pokrzepiającą, z serca płynącą odpowiedź: „P.T. Premier generał Sławoj-Składkowski. Słanic (Moldowa). Bicz 1. X. 1939. Z głębokim wzruszeniem przyjąłem serdeczne słowa, jakie nadesłał mi Pan, Panie Premierze, i Rząd w dniu dzisiejszym. Stosunek mój do Pana i Jego Rządu polegał do ostatniej chwili na pełnym moim zaufaniu. Ze wszystkimi poczynaniami Rządu solidaryzowałem się. W ten sposób stworzona została i moralna wspólna odpowiedzialność za wszystkie decyzje, dotyczące losów naszego narodu i państwa. Rozważając nad minionym czasem, aż do ostatnich naszych najcięższych przeżyć stwierdzam i dziś, moi drodzy, że ze wszystkich możliwości, jakie posiadaliśmy w naszych rozstrzygnięciach, wybieraliśmy zawsze najlepsze, to jest te, które zgodne były z honorem i godnością narodu. Ignacy Mościcki”.

W depezy tej, pisanej w najcięższych chwilach życia, odbija się cała głębia umysłu i piękno charakteru Prezydenta.

Odtąd na smutnym, samotnym, bezsilnym wygnaniu nie komunikowaliśmy się z powodu trudności technicznych i cenzury z Prezydentem Mościckim. Dopiero na wyjeździe z Rumunii napisał do mnie łaskawy, serdeczny list, który przechowuję jako drogą, pełną szacunku i nagrody dla mnie pamiątkę. List ten, jako charakterystyczny dla przeżyć sędziwego Prezydenta na wygnaniu, podaję w całości:

„Craiova d. 20. XII. 1939.

Wielce Szanowny i Kochany Panie Premierze!

Zmuszony wewnętrzną potrzebą zabieram się do napisania

paru słów bezpośrednio do Kochanego Pana Premiera. Tym razem nie szukałem wyręki. Wczoraj przywieziono mi z Bukaresztu list odręczny Pana P.R. (1) w którym po 2 miesiącach ciężkiej swej choroby wyraża troskę o moje zdrowie i donosi mi, że na wszystkie strony czyni energiczne starania w sprawie umożliwienia mego wyjazdu do Szwajcarii. W dzisiejszej odpowiedzi podziękowałem Panu P.R. za interesowanie się moim losem, ale wyraziłem powątpiewanie w skuteczność wszelkich nacisków w tej sprawie. Motywowałem swoje wyczucie emocjami strony trzeciej (2) w stosunku do czynników, które nie chcą naśladować Cz.-Śl. (3) zdecydowały nasz fizyczny protest. Opór nasz uważa strona trzecia za jedyną przyczynę wywołania bardzo ciężkiej i niebezpiecznej sytuacji na zachodzie. O zdrowiu swoim donosiłem, że nie jest tak źle, bo opanowała mnie zawziętość życia, żeby jeszcze doczekać się innego obrazu w Polsce, który by jednocześnie udowodnił, że znowu, pomimo wielkich ofiar, nastąpił szczęśliwy zbieg okoliczności, wyzwalający nasz kraj z kleszcz sąsiedzkich stale grożących nam zagładą. Tutaj prowadzimy tryb życia bardzo monotony ale godnie dostosowany do naszych nadzwyczajnych przeżyć. Podczas dnia jestem zajęty czytaniem książek naukowych, co pozwala mi na zachowanie spokoju wewnętrznego. W nocy tylko po przebudzeniu się po paru godzinach snu trudno odpędzić koszmarnie obrazy z Kraju, które dosyć morderczą psychicznie. Kończąc zasylamy Kochanemu Panu Premierowi wyrazy czci i życzenia świąteczne. Składamy również w Pańskie ręce najserdeczniejsze życzenia świąteczne dla wszystkich nam drogich. I.M."

Tak w więzieniu Prezydent Mościcki widział jasno stosunek Sprzymierzonych do Sprawy Polskiej.

Jakoś po Bożym Narodzeniu 1939 roku na zimnych korytarzach ponurego hotelu „Ferdynand” w Baile Herculane, gdzie był internowany mój rząd, zabłysła iskierka radości i wesela. Wiceminister Kwiatkowski dostał wiadomość, że dzisiaj po południu przez stację kolejową Baile Herculane przejeżdżać będzie Prezydent Mościcki w drodze do Szwajcarii, do kraju, którego jest honorowym obywatelem. Król Karol dotrzymał więc swego przyrzeczenia, że postara się zwolnić Prezydenta z internowania przed końcem roku. Co za radość! Jest więc jeszcze w świecie szczypta sumienia!

Przez zawiany śniegiem most na górskiej rzece Czarna idziemy z wicepremierem Kwiatkowskim do naszego anioła opiekuńczego, komisarza rumuńskiego Cartianu. Przedstawiamy mu konieczność naszego wyjazdu do odległej o sześć kilometrów stacji kolejowej, by pożegnać pana Prezydenta. Zrazu nie chce słyszeć o niczym. Potem telefonuje do prefekta Lugo, colonela,

(1) Prezydent Raczkiewicz.

(2) Francja i Anglia.

(3) Czechosłowacja.

i na moją prośbę daje mi aparat telefoniczny do ręki. Podniecony wołam do prefekta, że w imię braterstwa armii polskiej i rumuńskiej, w imię sojuszu i wspólnych tradycji proszę go o umożliwienie mi i moim ministrom zobaczenia przejeżdżającego Prezydenta, który przecie ciągle jest jeszcze „gościem” króla Rumunii. Porządny pułkownik mięknie i daje komisarzowi Cartianu pozwolenie dla nas. Mamy jechać dwoma samochodami, a Cartianu z żandarmami na trzecim na stację kolejową. Wracamy do hotelu radośni i upojeni. Nawet wielka statua ponurego Herkulesa stojąca na placu kurortu wydaje nam się przyjaźnie uśmiechnięta spod zwalów wilgotnego śniegu. Zaraz po obiedzie zaczynamy wybierać się do wyjazdu, pierwszego od trzech miesięcy. Pakujemy się jak śledzie w dwóch samochodach. Groźnie błyszczą bagnety na karabinach walecznych żandarmów, otaczających rzymską, pompaticzną postać komisarza Cartianu. Jadą oni pierwsi, gdyż do stacji kolejowej prowadzi jedyna szosa, jako jedyne również wyjście z wąskiej, górskiej doliny rzeki Czernej, na końcu której leży nasze „lecznice” Baile Herculane. Rzymianie leczyli tu syfilis a my nasze cierpienia polityczne. Zajeżdżamy pod mały, przez Węgrów jeszcze wybudowany budynek stacyjny. Cartianu prowadzi nas do poczekalni pierwszej klasy. Pociąg naturalnie opóźniony. Przed zmierzchem jednak wśród kłębow dymu i płonących iskieł wtacza się na stację zadyszana lokomotywa i wybiegamy radośni na peron. Żandarmi obstawiają wszystkie wagony, żeby kto z nas się nie omylił i nie wsiadł do idącego w świat ekspresu. Szukam wagonu Prezydenta, gdy w oddali widzę kolegow już z nim rozmawiających. Przy wagonie Prezydenta stoi dwóch żandarmów, zabraniających wejścia. Podbiegam pośpiesznie. Pan Prezydent okryty futrem wychyla się z otwartego okna, mówiąc swym spokojnym jak zawsze głosem: — Dzień dobry, panie premierze! — Za Prezydentem w głębi wagonu miga jak w Polsce wysoka postać wiernego kapitana Hartmana. Krzycząc radośnie, że witamy pana Prezydenta, dziękujemy za list i cieszymy się, że przynajmniej pan Prezydent nie będzie więziony przez sojusznika i może jechać do wolnej Szwajcarii, gdzie na pewno będzie mógł pracować dalej dla sprawy polskiej. Prezydent uśmiecha się lekko, ale mówi, że tam też wiele nie będzie mógł zrobić, bo Szwajcarzy uwarunkowali jego pobyt jedynie pracą naukową. Milknę więc, by dać mówić kolegom z Prezydentem. Postój pięciominutowy mija szybko. Już pociąg rusza. Stajemy na baczność, odsłaniamy głowy. Postać wychylonego z okna Prezydenta ginie za chwilę w obłokach białej pary. Zostajemy na peronie zawiedzeni, że to już po wszystkim, ale bynajmniej nie samotni, ani nie opuszczeni dzięki obfitej obecności żandarmów. Markotni, przy wczesnym zmroku zimowym wracamy do naszego hotelu „Ferdynand” na dalszą poniewierkę.

Było to moje ostatnie widzenie Prezydenta Mościckiego. W siedem lat później, dnia 2 października 1946 roku dobro-

czynna śmierć skróciła jego cierpienia moralne i fizyczne. W mogile na cmentarzu podgenewskiej wioski Versoix leżą szczątki — konspiratora pod zaborami, dwukrotnego emigranta politycznego, profesora, uczonego wynalazcy, Prezydenta Rzeczypospolitej — szlachetnego, mądrego, sumiennego pracownika dla Polski.

Sławoj SKŁADKOWSKI

Tematy napoczęte (2)

Dwa co najmniej momenty z naszej niedawnej historii mają doniosłość jeżeli chodzi o mapę wydarzeń międzynarodowych. Chodzi tu — jak łatwo się domyślić — o stanowisko Polski w dobie kryzysu monachijskiego oraz o wiosnę roku 1939 kiedy polityka brytyjska próbowała pospieszyć stworzyć zapory przeciwko spodziewanej dalszej agresji Trzeciej Rzeszy.

Należałoby wyjaśnić obszerniej zarówno naszą rolę w czasie Monachium i odpowiedzieć na pytanie, czy Polska mogłaby przeważyć szalę za wojnę w roku 1938 jak i wytłumaczyć sytuację naszą na wiosnę roku 1939. Czy Polska miała jakiś inny wybór poza sojuszem z Anglią i wstąpieniem do koalicji anty-niemieckiej? Wydaje się, że decyzja polityczna Polski przyjęcia gwarancji angielskiej i stawienia czoła Hitlerowi była niebawem doniosła dla całych losów wojny. Polska przypuszczalnie biłaby się i bez gwarancji angielskiej. Jeżeli tak było, to Rosja sowiecka powinna żywić głęboką wdzięczność dla dwóch krajów: Polski za to, że nie poszła na pokusy współpracy z Berlinem i Jugosławii, że oparła się zbrojnie atakowi niemieckiemu. Obie te akcje miały olbrzymie znaczenie dla losów wojny, przy czym decyzja jugosłowiańska sprawiła, że atak niemiecki na Moskwę spóźnił się i że opóźnienie inwazji niemieckiej zaważyło bezpośrednio na całym przebiegu kampanii niemieckiej w Rosji. Gdyby zaś Polska nie poparła nawet czynnie udziałem swoich dywizyj Niemiec, ale stała się przedpołem akcji Hitlera, odskoczną dla jego uderzenia, to kampania niemiecka przeciwko Rosji przyszlaby wcześniej, Jugosławia byłaby może została zastraszona re-orientacją pro-niemiecką na Wschodzie Europy i uderzenie

niemieckie w głąb Rosji miałyby o wiele lepsze widoki powodzenia.

Polska nie poszła z Hitlerem. Rzeczowe zbadanie wszelkich realiów — i to zarówno w dziedzinie ofert, sugestij i propozycyj Hitlera jak i imponderabiliów polskich — byłoby wielce wskazane, ażeby wyjaśnić światu wagę naszej decyzji. Decyzji nie tylko a może nawet nie tyle wojskowej, oporu polskiego, ile decyzji politycznej. Albowiem gdyby Polska rzuciła na szalę z wiosną roku 1939 odmienną decyzję polityczną — jak na przykład Rumunia — cały układ polityczny w Europie Wschodniej byłby odmienny.

Ale tu rodzi się pytanie — podobnie jak przy Powstaniu Warszawskim — czy Polska mogła zdecydować inaczej? Czy była w Polsce siła, która by skłoniła naród do opowiedzenia się za taką czy inną formą neutralności — życliwej czy uległej — wobec Hitlera? Wiele wskazuje na to, że takiego autorytetu w Polsce nie było: powiada się nieraz że jedynym człowiekiem, który by miał widoki przeforsowania takiej polityki był Piłsudski. Ale czy nawet Piłsudski, gdyby żył, zdołałby wymóc tego rodzaju politykę na swoim narodzie? Należy mieć tu spore wątpliwości.

Wszystko to należałoby wyjaśnić, wając na szali zarówno oferty i sugestie Berlina pod adresem Warszawy — sugestie czynione zapewne już w roku 1934, których Polska nie chciała zrozumieć, chociaż były tak oczywiste dla obserwatorów przebywających w hitlerowskim Berlinie — jak i względy moralne i imponderabilia naszej sytuacji.

2

Wydaje się, że nie rozumieliśmy — i nie my jedni — w chwili rozpętania się drugiej wojny, że ta druga próba samobójstwa Europy, ta najgorsza wojna, albowiem bratobójcza wojna Europejczyków — czy też wojna Kaina Europy, Niemiec Hitlera, przeciwko Europie — przyniesie głębokie a fatalne zmiany w roli kontynentu. Że nie wróci on już do swojego dawnego znaczenia po tej bratobójczej masakrze. I że rezultatem tej wojny musi być dalsze cofanie się wpływów Europy i granic Europy.

Pierwsza wojna światowa przyniosła wolność krajom Europy wschodniej — ale cała Europa stała się po roku 1918 mniej wolna, mniej swobodna, mniej jedna w swoim poczuciu. Do roku 1914 paszport był instytucją znaną tylko w Rosji carskiej i Turcji. Swoboda poruszania się w Europie sprzed pierwszej wojny była niebywała; podobnie zresztą jak w całym ówczesnym świecie, który był światem otwartym. Od roku 1918, chociaż Europa wschodnia uzyskała niepodległość, cała Europa straciła wiele ze swej swobody; granice odrutowały ją szczelniej, swoboda poruszania spadała stale, przemoc państwa rosła, ruchy totalne zapowiadały zagładę jednostki. Trzeba chyba stale pod-

kreślić wielką zasługę Polski międzywojnia, że wciśnięta między dwa totalizmy: czerwony i brunatny, nie stała się ona tworem totalnym, chociaż przejęła z ówczesnego powietrza Europy wiele wzorów państwa ciemniącego. Nie uciekam się celowo do powiedzenia „faszyzm”, albowiem posługiwanie się tym terminem uważam za uwłaczające dla myślowej precyzji i uczciwości. „Faszyzm” jako pojęcie został podrzucony do naszego słownika przez propagandę sowiecką — dla zatarcia śladów. Istniał faszyzm jako jeden z trzech systemów totalnych w Europie i to system najbardziej łagodny i kulturalny. Jest ironią, że właśnie ten termin wybrała propaganda innego totalnego państwa dla określenia swoich wrogów — i to termin należący do systemu, który był wprost niepoważny na tle groźnych przewag hitleryzmu i komunizmu sowieckiego.

3

Cofanie się Europy z całym niejako bagażem, a zatem i granic, musiało być wynikiem wojny, która wszczęta została przez centralne państwo w Europie i zrodziła się z buntu przeciwko całej schedzie europejskiej. Ta próba re-barbaryzacji Europy i „zrobienia” jej od nowa, od podstaw, wciśnięcia całej rzeki naszej kultury w nowe łóżysko, musiała przynieść klęskę nam wszystkim. Klęska ta musiała odbić się najgorzej na wschodnich rubieżach Europy.

Zywiliśmy w tej mierze zbyt wiele złudzeń. Nie rozumieliśmy, że od roku 1941-go sprawa naszych granic wschodnich była przesądzona w sensie negatywnym. Stawialiśmy tezę o kompensatach na zachodzie przy utrzymaniu granicy ryzykier na wschodzie. Tego rodzaju teza była i nierealistyczna i niesłuszna. Można bowiem było albo przyjąć zasadę powrotu do *status quo* dla całej Europy przy takich korektach granic jak Prusy wschodnie — które pod żadnym warunkiem nie mogły stanowić dalekiej enklawy niemieckiej — albo przyjąć tezę wymiany ziem wschodnich na zachodzie. Nie można jednak było stawiać tezy o kompensatach, albowiem tego rodzaju ujęcie otwierało drogę dla podniesienia żądań Rosji sowieckiej, która w czasie wojny poniosła niezmierne straty i szkody; nie widać powodu dlaczego Jugosławia, zniszczona i złupiona, nie miałaby domagać się także terytorialnych odszkodowań? Kraje zachodnie, które doznały inwazji niemieckiej — Francja, Belgia, Holandia, Dania — przyjęły, po pewnych wstępnych wahaniach, powrót do dawnych granic (poza próbą francuską w zagłębiu Saary). Tym samym uznały one — i słusznie — że w starej Europie nie ma miejsca na zmiany granic. Te zmiany granic, to przesuwanie granic jest tylko dowodem, że Europa jest czymś niestałym, że jest w stanie zmiany. Teoria taka musi się odbić niekorzystnie właśnie na tej połaci Europy, która woła o zmiany graniczne: pogłębia tylko pogląd, że ta strona Europy jest jakimś prowizorium.

Nie zajęliśmy ani jednego ani drugiego stanowiska: ani powrotu do *status quo* ani zasady wymiany. Chcieliśmy, jak powiada przysłowie angielskie, *to eat the cake and have it*. Dla każdego kto przeżył na wypadki z Londynu w dobie wojny było rzeczą jasną, że ten zabieg spożycia ciastka i zachowania go nie może się powieść. Zachód może zgodzić się bowiem tylko na takie korektury jak Prusy Wschodnie; tylko Rosja sowiecka mogła przeforsować inne, szersze granice dla Polski. Ale było rzeczą jasną, że jeżeli Rosja to zrobi to tylko za pewną cenę, za wielki okup. I że nie odstąpi ona nigdy od linii Mołotow-Ribbentrop.

W tych warunkach nadzieje polskie, które uporcezywie utrzymywaliśmy aż do klęski jałtańskiej, były niczym nieusprawiedliwione. Milczenie o tych sprawach i w Londynie i wobec kraju stanowiło przykład tego skrajnego i naiwnego optymizmu, który wkracza w granice prostej nieuczciwości.

4

Polska została przesunięta na zachód za sprawą Rosji. Nie orientowała się ona, że to przesunięcie, które można powitać z zadowoleniem z punktu widzenia zarówno gospodarki jak i podniesienia stanu materialnego kraju, nie było niczym innym jeno historycznym przesunięciem Europy — a zatem cofnięciem się jej z ziem przez wieki zajmowanych. Ten proces historyczny nie został jeszcze w pełni usankcjonowany: a zatem nowe granice Polski nie są uznane przez Zachód; polityka sowiecka może tym atutem operować przy zmianie swojego kursu (ten właśnie wzgląd wywołuje w Polsce fale niepokoju i sprawia, że wiele osób czuje się na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych jak na wylocie). Nie jest też ta sprawa załatwiona w umysłach niemieckich, jakkolwiek na podstawie autopsji uprawianej w Niemczech powojennych od roku 1946 i rozmów z przedstawicielami *Heimatsvertriebenen* byłbym skłonny przyjąć bardziej optymistyczne nastawienie, że poczucie łączności tych Niemców z dawną ojczyzną na wschodzie poważnie osłabło, że Niemcy Federalne potrafiły wchłonąć w sposób wręcz zdumiewający owe 10 milionów ludzi ze wschodu, że w nowym pokoleniu więzy uczuciowe z dawnymi rubieżami wschodnimi Rzeszy są nikłe. Zasadniczo biorąc istnieją dzisiaj warunki o wiele lepsze aniżeli przedtem dla uznania przez Niemców w swoich umysłach i sercu, że te kraje na wschodzie są dla nich stracone. Ale sytuacja jest płynna: na wypowiedź ministra spraw zagranicznych Niemiec Federalnych, von Brentano, który miał odwagę powiedzenia w Londynie, że kto wie czy za cenę zjednoczenia Niemiec nie warto by oddać nieco „problematicznych roszczeń” na wschodzie, posypały się zarzuty i głosy krytyki. Brentano musiał wycofać się zatem ze swojego stanowiska, dowodząc raz jeszcze, że politycy rzadko kiedy mają odwagę powiedzenia swojemu na-

rodowi prawdy. Ale podobnie żaden polityk polski nie zdobył się bodaj na odwagę powiedzenia, że utraciliśmy Wilno i Lwów, aby nie zostać zakrzyczany i okrzyczany zdrajcą.

Ale sprawa Ziem Odzyskanych nie jest wyłącznie problemem, który będzie załatwiony przetargiem na arenie międzynarodowej.

Poza motywami jakie właśnie wyłuszczyłem — a zatem zgody kilku stron na zmiany dokonane w procesie cofania się Europy, — jest jeszcze problem opanowania tych ziem i wyzyskania ich przez Polskę. Nie może ująć naszej uwadze fakt, że w Niemczech zachodnich pisze się dzisiaj sporo o niewyzyskaniu Ziem Odzyskanych przez Polaków — o tym, że olbrzymie połacie leżą odłogiem, że nie zostały oddane właściwie pod uprawę, że cała mechanizacja rolnictwa na tych terenach jest złudzeniem. Te relacje przywożą ze sobą Niemcy, którzy wracają teraz do Niemiec, opuszczając tereny zachodnie Polski w dziesięć lat po wojnie. Ta akcja niemiecka musi być brana pod uwagę. Polska objęła fizycznie te Ziemie Odzyskane w warunkach najgorszych. Cały bowiem transfer dokonany został w pośpiechu; wypchnięto na te obszary element najmniej przygotowany do objęcia tych terenów, a zatem Polskę „C” — a tereny te były nieraz lepsze aniżeli Polska „A”. Te warunki były i są chyba dalej mocno niesprzyjające dla powołania racjonalnej i celowej gospodarki, pomijając już fatalny wpływ na tę gospodarkę niedowarzonych doktryn kolchozowania.

Problem wyzyskania tych ziem nie będzie obojętny w ostatecznym obrachunku, który dopiero nadejdzie. Albowiem kształt terytorialny Polski nie jest określony. Byłoby karygodnym łudzeniem się, powtarzaniem złudzeń wojennych, głoszenie, że Polska ma już określone granice. Te granice są, jeżeli chodzi o zachód, w zawieszeniu. Jeżeli chodzi o wschód nie nie wskazuje na to, ażeby można je cofnąć do dawnego stanu. Musimy zrozumieć, że Polska przeszła na nową orientację — bodaj po setkach lat orientacji, którą można by nazwać ekspansją na wschodzie, a *appeasementem* na zachodzie. Bo tak, pomimo wyrw Grunwaldu, wyglądała wielka polityka Polski od chwili uderzenia Szczerbca w bramy Kijowa. Ostatnim przebiegiem tej polityki był marsz Piłsudskiego na Kijów: marsz niepoparty już przez naród, który nie czuł w swoich kościach apelu dawnej polskiej wspólnoty narodów, wielkości myśli federacyjnej. Ten brak odzewu był dowodem cofania się poczucia naszej misji na wschodzie. Nowe granice od roku 1945 dowodzą dalszego cofania się Polski — i cofania się Europy.

5

Wojna zakończyła się dla nas katastrofą, na którą zanosilo się od roku 1941. Wydaje się, że nic nie mogło tej katastrofy odwrócić od chwili kiedy mocarstwa zachodnie poszły na poli-

tykę pomagania Rosji bez żadnych zastrzeżeń: obawa „czerwonego Vichy” i wypadnięcia Rosji z sojuszu skaziła cały bieg wojny. Z pamiętników Harry Hopkina, doradcy Roosevelta, widać jak bardzo Stalin potrzebował pomocy amerykańskiej; a Chruszczow w swojej głośnej mowie ujawnił bez ceremonii niedostateczny stan pogotowia sowieckiego. W roku 1941 i 1942 był czas na stawianie warunków Rosji, na przeforsowanie własnego obrazu i wizji świata, świata otwartego. Potem już było bodaj za późno. Ale nie brak na Zachodzie wyznawców teorii, że nawet jeszcze w roku 1944 można było wymusić na Rosji bardziej stanowczą postawę zatrzymanie się na innej linii aniżeli Berlin.

Wydaje się że sąd ten jest optymistyczny. Jałta stanowiła odpowiednik Monachium *à la russe*. I to na większą skalę. Ale istotna kapitulacja odbyła się wcześniej, bodaj w roku 1941.

6

Wojnę przegraliśmy; pozostaje jednak pytanie, czy musieliśmy aż tak bardzo ją przegrać? Czy nie mogliśmy przegranej przyjąć w lepszych warunkach? Na to pytanie nie dano dotychczas odpowiedzi — poczynając od szafowania krwią ludzką w Polsce a kończąc na marnotrawieniu funduszy i atutów finansowych, jakie pozostawały w rękach polskich w Londynie w momencie odebrania uznania rządowi londyńskiemu.

7

Tak jak w czasie wojny ośrodek polski w Londynie zęgłował na fali niczym nieusprawiedliwionego optymizmu i można by nawet powiedzieć że spora doza pesymizmu mogłaby wiele zmienić w naszej doli — tak po wojnie powiedziano sobie zbyt wcześnie, że sprawa jest przegrana. Liczenie na wojnę było od początku wysoce nierealną rachubą: w wojnę mogliśmy się byli „wpakować”, zwłaszcza gdyby paranoik Stalin pożył nieco dłużej, ale nic nie wskazywało na to, aby wojna leżała w logicznej sekwencji i treści wypadków. Rosja sowiecka posuwała się do samej granicy konfliktu jak w dobie blokady Berlina i wojny na Korei, ale cofała przed pokazem siły. Dzisiaj szanse wojny spadają coraz gwałtowniej. Jest bowiem w bombie atomowej i wodorowej moment grozy jakiego nie miała żadna inna broń w historii: bomby te uderzają dokładnie w samo jądro gatunku, w rozrodność, grożą zmianami genetycznymi. Powiedzenie, że w czasie drugiej wojny nie użyto przecieć gazów trujących chociaż tyle ich wytworzono, nie jest trafne; albowiem nie można zestawiać nawet gazów z bombami A i H. Broń gazowa jest dosłownie na łasce wiatru: bomby A i H są bronią straszliwej precyzji.

Rozwiązanie drogą wojny staje się coraz to bardziej problematyczne. Co więcej, nawet te centra czy kraje — jak niewątpliwie pewne kraje poza żelazną kurtyną — które może jeszcze w roku 1946 czy 1948 życzyły sobie wojny, coraz mniej objawiają ochoty na sprostanie wojnie atomowej.

8

Ale pesymizm jaki objawiały koła polskie na Zachodzie był raczej nie na czasie. Albowiem w samej inwazji dokonanej przez Rosję na Europę wschodnią, istniały elementy wróżące na dalszą metę porażkę rzekomej rewolucji.

„Rewolucja” bowiem była narzucona. Nie była ona organiczna — a zatem żywa. Była to rewolucja odbita, i to w mocno krzywym zwierciadle. Brakowało jej dynamizmu, siły, wiary.

Rosja sowiecka była żałośnie nieprzygotowana do roli rewolucyjnej siły w Europie: Konstanty Srokowski, zapoznany, niestety, znawca polityki europejskiej, powiedział w swojej książce o elicie bolszewickiej — rzecz ogłoszona była we wcześniejszych latach 30-tych — że „rewolucja francuska była krwawym porodem, natomiast rewolucja bolszewicka była krwawym poronieniem”. Żadna dialektyka nie zmieni faktu, że Rosja nie miała danych na lidera rewolucji, albowiem była krajem w stosunku do Europy zacofanym.

Nie jest nigdy w życiu obojętne kto daną rzecz robi. Gdyby komunizm stał się ruchem masowym we Francji, Belgii, Skandynawii, Szwajcarii, Europa mogłaby przyjąć taką wiarę. Ale w rękach rosyjskich komunizm musiał się tragicznie wypaczyć.

Tylko wyższy cywilizacyjnie kraj może narzucić innym krajom rewolucję albo społeczne przemiany. Dlatego rewolucja francuska powitana była z zapałem w Europie wschodniej. Dlatego Napoleon zdawał się stanowić ośrodek nadziei. Takich danych nie miała Rosja sowiecka ani Stalin, chociaż usłudźni historycy na Zachodzie zawczasu — nie czekając na sekcję zwłok — zestawiali Stalina z Napoleonem.

Rosja nie mogła narzucić rewolucji krajom wyższym cywilizacyjnie i kulturalnie.

9

To było pierwsze, jak sądzę, ziarno nadziei w straszliwej naszej klęsce. Drugie tkwiło w samej naturze komunizmu, wiary politycznej, która nie była odpowiednio zrozumiana na Zachodzie, podobnie jak nie miano zrozumienia dla nihilistycznej mieszkanki *Blut und Boden*, rasy i sadyzmu, zwanej hitleryzmem. Powodem tego niedocenienia dynamizmu obu tych wiar politycznych, religij politycznych — korzystających z vacuum uczuciowego wytworzonego upadkiem religij nadprzyrodzonych — było to, że Zachód nadmiernie operował kategoriami gospodarczymi.

że stracił zrozumienie dla pasji, namiętności, że własne swoje życie uczuciowe w ramach i polityki i religii nadmiernie stonował. Dlatego i hitleryzm i komunizm, te dwa mahometanizmy naszej ery, były przez lata niezrozumiane na Zachodzie.

Ale każda religia prawie rozłamuje się na sekty; zwłaszcza zaś religie polityczne, twory zachłannych rąk ludzkich.

10

Pamiętam jak na wiosnę roku 1945 rozmawiałem w Londynie z pewnym politykiem polskim, który miał poważne wykształcenie historyczne. W toku rozmowy rzucił on uwagę, że wszystko jest stracone, że komunizm jest religią, którą narzuci się Europie. Odpowiedziałem, że właśnie dlatego iż mamy do czynienia z religią istnieje nadzieja: „gdybym był politykiem starałbym się wywołać herezję w łonie komunizmu”.

Te szanse istniały od początku. Tito poszedł drogą Trockiego w pewnym sensie; dzisiaj ma on naśladowców. Jesteśmy świadkami rozpadania się komunizmu kierowanego z jednej Mekki. A i sama Mekka nie ma już monopolu: straciła go dawno, albowiem Pekin wyrwał Moskwie monopol na centrum komunizmu, podobnie jak sprawił, że Rosja straciła monopol na decydowanie o losach wojny i pokoju. Jest to także fakt nieożytny.

11

Pomimo tego że wszelkie analogie są kulawe, to jednak można było stawiać wniosek, że zgon Stalina musi być dla państwa totalnego, jakim jest Rosja, nielada wstrząsem. Że tak jak Niemcy bez Hitlera — gdyby nie zginął on w bunkrze pod Reichskanzlei, ale umarł w swoim łóżku w Berchtesgaden — nie byłyby już dawnymi Niemcami (nawet Polska bez Piłsudskiego była już inną Polską), tak Rosja bez Stalina musi być inną Rosją. Wypadł klucz sklepienia — a nowy się już nie znajdzie. Było rzeczą jasną, że zgon Stalina otworzy cykl doniosłych zmian. Każde państwo totalne wspiera się na trzech filarach: partii, tajnej policji, armii. Pierwszy został zachwiany zgonem wodza; prestiż partii spada dalej, a proces wygniwania od wewnątrz komunizmu posuwa się o wiele szybciej aniżeli zapowiedziany przez Marxa proces „wykruszania się państwa od wewnątrz” czy raczej jego zanikania w ustroju komunistycznym. Państwo nie zanikło, ale wiara polityczna rozkłada się.

12

Jakkolwiek ułożą się wypadki, to należy chyba liczyć na ferment na Wschodzie. Można by nawet powiedzieć, że *liberation* nie przyjdzie od Zachodu, ale od Wschodu. Drogą rozpadu imperium sowieckiego.

Nie jest to, jak sądzę, teza tak fantastyczna, jakby się здавало. Rosja połknęła więcej aniżeli potrafiła strawić; wywołała w Azji siły — z Chinami włącznie — które nie muszą bynajmniej być jej powolne ani nawet przyjazne. Komunizm europejski narreszcie zbudził się z zacządzenia Moskwą. Komunizm azjatycki może przeżyć podobny proces za lat kilka.

Potęga sowiecka, potęga sowieckiego komunizmu, była w sporej mierze funkcją naszej słabości, niezdrowego zafascynowania, ale tak jak hitlerizm ujawnił w momencie przeprowadzania sekcji zwłok rozliczne pęknięcia, schorzenia, skazy, podobnie i monolit sowiecki ujawnia już teraz, po zgonie Stalina, ogromne rysy. Nie trzeba czekać na *post mortem* aby orzec, że komunizm sowiecki jest wyczerpaną siłą. Nie dokonał on podboju Europy wschodniej; komunizm światowy rozlatuje się na naszych oczach. Wchodzimy w fazę schizm i herezj.

Ta cała sytuacja pełna fermentu i podskórnej nadziei wymaga od nas, świadomych Polaków największej czujności. Albowiem od roku 1953 zarysowuje się powoli szansa zmiany na lepsze, rozkruszenia się imperium sowieckiego, *liberation* na daleką metę drogą buntu sił rozpetanych usunięciem się centralnej presji i ucisku: Stalina. Byłoby karygodnym optymizmem, który już tyle szkód nam wyrządził, oczekiwać zbyt rychłych zmian rewolucyjnego fermentu; ale byłoby również nieuzasadnionym aktem rozpaczki głosić, że nic się nie zmienia i nie zmienić nie może. Wojny atomowej nie będzie; ale wchodzimy w fazę pasowania się sił, które wymaga większej rozważy, wyobraźni, skupienia aniżeli decyzje wojskowe, aniżeli zrzucanie bomb.

Kto wie, czy teraz właśnie nie zaczyna się najbardziej celowa rola wszelkiej emigracji, a raczej tych jej elementów, które potrafią myśleć? Czy nie potrafią one przyczynić się do procesu pobudzania schizm i herezj jakiego będą trawiły świat komunistyczny? Ale na to trzeba myśleć politycznie; a wszelkie myślenie polityczne musi być nie tylko aktem rozważy i rozumu — musi być także u swoich podstaw, aktem wiary.

Zbigniew GRABOWSKI

Gen. Przewłocki w Motoli

(WSPOMNIENIE)

Wypadki nie tyle natury wojennej co politycznej spowodowały późną jesienią 1944 opuszczenie, przeze mnie i grupę moich przyjaciół, Rzymu i pracy w Oddziale Kultury i Prasy 2 Korpusu.

W połowie listopada 1944 meldowałem się w Motoli u dowódcy Bazy 2 Korpusu, gen. Przewłockiego, a następnie u gen. Gیزی w 7 dyw. w St. Bazilo. Zmiany polityczne okazały się jednak szybsze niż nawet myśmy to przypuszczali i już w kilka tygodni później gen. Anders podpisał wniosek szefa Oświaty Korpusu, prof. J. Alexandrowicza, mianujący mnie kierownikiem oświaty Bazy 2 Korpusu.

Znalazłem się znów w Motoli, „stolicy” Bazy 2 Korpusu. Była to niedługo stolica. Na terenie Bazy przebywało wtedy około 30.000 żołnierzy, zgrupowanych w różnych oddziałach, centrach szkoleniowych i zapasowych.

Z dowódcą Bazy, gen. Przewłockim, kawalerzystą z dziada pradziada, zetknąłem się już wcześniej na terenie Palestyny i Egiptu kiedy to część naszych agend Oddziału Kultury i Prasy jemu podlegała i z tego okresu miałem jak najlepsze wspomnienia. Na terenie Bazy miał on opinię człowieka surowego i groźnego, „przyczepiającego się” do krawatów, niedbalego stroju, niedopiętych guzików, a przede wszystkim, żądającego wyczyszczonych klamer od pasów. Wiele, mniej lub bardziej dowcipnych, anegdot obijało się o moje uszy.

W tym czasie była w pełnym toku organizacja pierwszego na terenie Bazy gimnazjum dla żołnierzy, w Allesano. Prace te prowadził mój poprzednik, por. S. Jędrzejczyk, dzielny i wartościowy pracownik. Wpadłem w wir zagadnień, projektów i zajęć. Pracy dużo i jeszcze więcej trudności. Trzeba było zdobyć pomieszczenie na szkołę i kwatery dla nauczycieli i uczniów, wyposażyć to wszystko w sprzęt, skompletować grono nauczycielskie, przejrzeć i zakwalifikować setki podań żołnierzy o przyjęcie i przydział do poszczególnych klas; przygotować generałowi odpowiednie rozkazy o odkomenderowaniu z oddziałów, postarać się o podręczniki i zeszyty. Część tej pracy wykonywało szefostwo oświaty przy dowództwie Korpusu ale większość trzeba było załatwić na miejscu. Musimy jeszcze pamiętać, że wszystkie te gimnazja, których było wiele w Korpusie, były właściwie poza etatem angielskim; były jakby organizowane przez nas „na boczku”, nie miały żadnego oficjalnego etatu, ludzi czy sprzętu. Byliśmy podporządkowani szefowi sztabu Bazy, ale sprawy nasze ciągle zaczęły się o kwatery i dowództwo i właściwie, jako nieobjęte przepisami angielskimi, wymagały decyzji dowódcy Bazy. Skończyło się więc na tym, że meldowałem się prawie codziennie u gen. Przewłockiego i godziny całe spędzałem na omawianiu wszystkich szczegółów. Odkrywałem w generale drugiego człowieka, troskliwego, zapobiegliwego gospodarza, trzeźwo oceniającego sytuację polityczną i z pasją dążącego do tego, by jak najwięcej żołnierzy wykształcić, wychować w wojsku, póki jeszcze warunki na to istnieją. Nigdy przedtem nie spotkałem się z takim zrozumieniem, poparciem i pomocą w sprawach oświatowych

jak właśnie tutaj. Pod koniec marca 1945 przyjeżdża szef oświaty, prof. J. Alexandrowicz i 27 marca następuje otwarcie gimnazjum. Na drugi dzień jestem u generała. Zaskakuje mnie pytaniem: „No i cóż dalej z gimnazjum?” Nie bardzo rozumiem o co chodzi. Wtedy on z uśmiechem odpowiada: „Czy pan myśli, że na taką Bazę wystarczy jedno gimnazjum, musimy zaraz zabrać się do organizowania następnego”. Role się jakos dziwnie zmieniają, to ja, entuzjasta, walczący jeszcze w Rosji o szkoły dla żołnierzy, zaczynam tłumaczyć, że to jest prawie niemożliwe, że nie mamy nauczycieli, sprzętu, podręczników. Generał nie ustępuje. Piszę o tym zaraz do szefa oświaty, ma te same wątpliwości. Dbając ogromnie o wysoki poziom szkół, o to by matury tam zdobywane nie były „maturami wojennymi” i znając całokształt spraw oświatowych, widzi więcej jeszcze trudności ode mnie. Akceptuje jednak ten projekt. Powstaje drugie gimnazjum w Matino. Dyrektorem w Allessano jest kpt. dr. T. Szela; dyrektorem w Matino zostaje kpt. mgr. H. Staszewski. Po zeszyty dla szkół jeździmy do Rzymu, po wyposażenie gabinetów fizycznych i chemicznych jedziemy 3-tonowym wozem generała przerobionym na „mieszkanie” do Mediolanu i Wenecji. Baza nie ma pełnego etatu wozów, w tym jednak co jest, robi się oszczędności by przydzielić wozy dla gimnazjów. Chodzi tutaj nie tylko o zaopatrzenie ale i o umożliwienie uczniom wyjazdu nad morze oddalone o kilkanaście kilometrów, w upalne lato włoskie.

Na tym się jednak sprawa nie kończy. Generałowi to jeszcze „nie wystarcza”. W kilka miesięcy później powstaje gimnazjum kupieckie na terenie Casarano i kilkumiesięczny kurs na poziomie małej matury, na terenie Centrum Wyszkołenia w Materze dla kandydatów do szkół podchorążych, nie posiadających cenzusu, a odznaczonych i zasłużonych w kampanii. Obraz ten byłby nie pełny gdyby nie podkreślić trudności, jakie robili żołnierzom, w odkomenderowaniu ich do szkoły, poszczególni dowódcy. Mimo tego, że kampania wojenna dobiegała końca, że było to już w czasie Jalty, niektórzy nie chcieli widzieć w oddziałach nic poza czysto wojskowym szkoleniem. Były wypadki gdzie dowódcy „meldowali” że nie wysła odkomenderowanych oficerów czy szeregowych na stanowiska nauczycieli czy jako uczniów, bo grozi to załamaniem całego szkolenia. Jeden z pułkowników napisał że odkomenderowanie z jego pułku 10 ułanów rozbija mu cały pułk i że rozkazu nie wykona. Na drugi dzień pułkownik ten meldował się u generała w spinaczach i w pasie (z bardzo ładnie wyczyszczonej sprzączką) a następnego dnia mieliśmy 10 ułanów w szkole. Tylko ktoś z zewnątrz, nie będący w wojsku, uważa, że wystarczy podpisać rozkaz i sprawa jest załatwiona. Nie wie o tym jak bardzo feodalna jest często struktura wojska, jak bardzo „panem na zagrodzie” jest poszczególny dowódca, jak skomplikowane są zależności służbowe, fachowe, czasem jeszcze garnizonowe, ewidencyjne i pieniężne w różnych komórkach sztabów na szczeblach wszystkich jednostek. Struktura samych szkół wzorowana, niesłusznie moim zdaniem, na szkołach kadeckich i innych wojskowych w Polsce, była wadliwa. Szkoła miała komendanta, zwykle pułkownika, i dyrektora nauczania. Kompetencje między tymi władzami nigdy nie zostały ściśle rozgraniczone. Dochodziło do ciągłych konfliktów, nieraz bardzo poważnych, które opierały się ostatecznie o generała. Pamiętam ogromne trudności z komendantem Centrum Wyszkołenia Armii, który chciał do wspomnianego kursu, czysto ogólno-kształcącego, mającego kandydatów na podchorążych w ciągu kilku miesięcy choć trochę uzupełnić luki w ich wiedzy ogólnej, wprowadzić ogromną ilość zajęć wojskowych. Przekreślałoby to w ogóle sens organizowania całego kursu. Historie całe wybuchały tu już o samą formę rozkazów, przygotowywanych przeze mnie a podpisywanych przez generała. Wszystkie te sprawy umiał generał taktem, perswazją albo użyciem całego swego autorytetu, tak załatwić, by

sprawa szkół na tym nie ucierpiała. Nie było tygodnia, by generał nie znalazł czasu na wyjazd do tych szkół. Pamiętam nieraz późną nocą chodziliśmy po ulicach Allessano czy Matino, rozbrzmiewających śmiechem i śpiewami Włochów. Powoli wszystko cichło. Miasto układało się do snu, ale przez otwarte okna domów widzieliśmy pochylone nad książkami albo wypracowaniami, głowy żołnierzy — niedawnych zdobywców Monte Cassino czy Ankony, dziś z całą żarliwością i pasją uzupełniających braki i szczyby wywołane przez wojnę w ich wykształceniu. Widziałem wtedy, że szkoły te są najukochańszymi dziećmi generała. Wyszło z nich później setki maturzystów kończących uniwersytety we Włoszech; Irlandii lub w Anglii i dziś zdobywających coraz poważniejsze stanowiska w społeczeństwach, wśród których żyją. Dla małych miast włoskich w „obcasie” półwyspu, mimo zarekwirowania jednej ze szkół i konieczności rozepchania dzieci włoskich po innych istniejących szkołach — w tym bardzo biednym okresie, przy prawie nieistniejącej dostawie produktów — szkoły te były prawdziwym dobrodziejstwem. Bankiem i składnicą konserw.

Dużo było tych „dzieci”, które cieszyły się specjalnymi względami i opieką generała. Były szkoły powszechne, zorganizowane na terenie oddziałów. Szczególnie wzorowo wyglądała tutaj 7 dywizja, w której pracę oświatową prowadził por. E. Hołdanowicz, w chwilach wolnych od zajęć piszący ormiańskie opowiadania i epopeje. Szpitale, w których szczególnie nacisk położony był na biblioteki, przedstawienia kinowe i teatralne. Otrzymaliśmy polecenie zorganizowania świetlic i stałych pogadanek w więzieniach. Wreszcie ogromnie dużo wysiłku poświęcano Obozowi przejęciowemu w Jolandzie, gdzie mieścili się żołnierze przybyli z obozów jenieckich i z armii niemieckiej.

Nielada centralą prac oświatowo-kulturalnych była w tym czasie Baza. Referat Oświaty współpracował ściśle z referatem Kultury i Prasy, prowadzonym przez por. J. Dubickiego, rozwijającym ożywioną działalność we wszystkich oddziałach. Był referat Dobrobytu Żołnierza, Kantyny Polowe. Przyjeżdżały często teatry i kina polowe. Było kilka zespołów amatorskich. Przez jakiś czas przebywała tamże centrala YMCA. Miałem poważne opory z pewnych kół oficerów sztabowych, kiedy decydował się przyjazd z Palestyny na teren Bazy kierownika YMCA p. Juliusza Poniatowskiego. Uzgodziłem z nim cykl odczytów, które miał wygłosić na terenie oddziałów. Tematy uważaliśmy za bardzo ważne i potrzebne. Generał, kiedy mu referowałem tę opinię i mój wniosek zaakceptował go natychmiast, bez odkładania swojej decyzji. W Bari wychodził dziennik dla żołnierzy Bazy. Tam też umieścił się plk. Tworzyło z wydawnictwem Regulaminów i Instrukcji wojskowych. Tak się jednak złożyło — jak bardzo było to charakterystyczne dla całego Korpusu — że głównym zajęciem plk. Tworzyły było wydawanie na powielaczu, z drukowaną tylko okładką, książek szkolnych dla szkół powszechnych i gimnazjów. Jakże nieocenioną przysługę oddawało to szkołom.

W kilka miesięcy po przybyciu do Bazy otrzymałem rozkaz zwolnienia odprawy oficerów oświatowych. Odprawę tę otworzył generał przemówieniem, w którym powiedział: „Dawniej uważałem, że w wojsku szkoli się wojskowych, kształcenie żołnierzy jest prawie że niepotrzebne. Wiemy o tym, że oficerom, którzy byli do niczego pisało się w opiniach: „nadaje się na oficera oświatowego”. Dziś widzę, że się myliłem. Trzeba to zagadnienie odwrócić, na pierwszym miejscu postawić wychowanie i kształcenie żołnierzy, a później dopiero szkolenie jego wojskowe. W waszych szeregach powinien się znaleźć najlepszy i bardzo ideowy element. Wasza praca jest dziś najważniejsza”. Nie były to tylko gładkie zdanki, powiedziane dla poکرzepienia serc i podniesienia na duchu zaoranych w pracy oficerów, ale była

to prawda, którą generał Przewłocki realizował w codziennej swojej pracy.

Odprowadzić tych było wiele i wszystkie były bardzo żywe i ciekawe. Otrzymałem niedawno od jednej z pań, piastującej wtedy wysokie stanowisko w PSK, prawie dosłownie odtworzony fragment jednej z takich odprowadzeń. Na konkretnych przykładach poucza dowódcę jak oficer powinien dbać o żołnierza, jak mało „serca i duszy wkładamy w tę pracę”, jak żołnierz bywa zgubiony jeżeli mu nie wskazać, nie wyjaśnić w jakich sprawach może się posługiwać jakimi drogami służbowymi, jeżeli go nie pouczyć, nie tylko o tym jakie są jego obowiązki, ale także jakie są jego prawa.

Te teksty mogą się wydać nieważne tylko dla ludzi nie czujnych na rzeczywiste potrzeby i rzeczywiste stosunki w wojsku. Dziś, po latach, przypominam sobie jak te przemówienia trafiały do rozumu, a jeszcze bardziej do serca słuchaczy.

Z końcem sierpnia 1945 otrzymałem rozkaz gen. Andersa przenoszący mnie do placówki Korpusu w Paryżu. Powstanie tej placówki łączono jeszcze wtedy z wielkimi nadziejami politycznymi i społeczno-emigracyjnymi. W przeddzień wyjazdu byłem u generała Przewłockiego na pożegnalnej herbatce. „Po co pan jedzie do tego Paryża, czy źle się panu tutaj pracowało? Jakaś tam wielka polityka, z wszystkiego tego nic nie będzie a tu konkretna pożyteczna praca. Niech pan zostanie”. Zostać nie mogłem. W kilka miesięcy później, już w Paryżu, doszła do moich rąk laurka, rozkaz dzienny dowódcy Bazy, wydany w związku z moim odjazdem. W Korpusie było to rzadkością. Wspominam o tym nie przez próżność własną (choć jest może i trochę tego) ale jako jeszcze jeden dowód zrozumienia i doceniania przez generała Przewłockiego znaczenia i ważności pracy i służby oświatowej w wojsku.

We wspomnieniach tych poruszyłem tylko fragment ogromnej pracy wydawniczej, kulturalnej i oświatowej, wykonanej w 2 Korpusie i przez Korpus. Może warto by napisać historię tej pracy, jej genezę, walkę o zrozumienie jej znaczenia, rozrost i osiągnięcia. Widzę jeszcze zaledwie kilku ludzi, którzy mogliby całokształt tej służby pamiętać i napisać. Myślę, że odcinek ten jest kartą ważną i świętą, równoległą do osiągnięć orężnych 2-go Korpusu. Szkoła, by zamazał się w niepamięć.

Józef A. ZIELICKI



POMOC DO POLSKI LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ

Katalog 100 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

— 121, Earls Court Road, London. S.W.5.

Telefon: FREmantle 7888/9

Kronika kulturalna

Prof Liebman Hersch

(1882-1955)

Przy przelotnym spojrzeniu na dzieje Polski przypominają się dwa momenty kiedy obawiano się ze strony polskiej, że Żydzi „ucieką” względnie opuszczą Polskę. Cóż za niewiarygodna przesada! — powiedziałby może któryś rodak z okresu przedwojennego. A przecie tak było. Aleksander Brückner wspomina, że w epoce przedrozbiorowej, w pewnej chwili szlachta obawiała się ucieczki sporej ilości Żydów z jej kapitałami, byli bowiem zadłużeni u szlachty a nie mogli wydoić wygórowanym nadziejom wierzyteli. Za to po wiekach Adam Mickiewicz, w okresie marzycielskich czynów na Bliskim Wschodzie a miało być kiedy wraz z paryżaninem Armandem Levy organizowali legion żydowski, mimo zabiegów o udział Żydów z Polski, zastrzega się stanowczo przeciw ich exodusowi z naszego kraju, dając wyraz trosce o inny „kapitał”, duchowy i społeczny. Bo nie chce mieć Rzeczypospolitej bez Żydów i bez wspólnoty a nawet misji polsko-żydowskiej. A my sami, gdy spoglądamy na minionie lata, spędzone od młodości na ziemiach Rzeczypospolitej, czyż chcielibyśmy „wypuścić” Żydów z naszego życia to jest z Polski? Za nic w świecie i ani w najmniejszej mierze!

W roku 1926 spotkałem w Polsce czcigodną staruszkę angielską misjonarkę Miss Keith, której główną troską jak mówiła mi, było nawrócić Żydów do ich największego proroka Jezusa dla ich dobra i dla dobra świata. Choć doskonale zdawała sobie sprawę z trudności, zamierzała swą działalność rozwinąć w Polsce i w Rumunii, bo tam był jeszcze lud żydowski i masy wierzących Żydów. Zbliżyliśmy się rychło, jej pomarszczona troskami twarz i dziecięce niebieskie oczy świadczyły mi o szczerości jej troski a choć jej mocne, zdrowe zęby wydawały mi się dowodem anglo-saskiego pochodzenia, zapytałem ją żartobliwie: „A może Pani sama jest pochodzenia żydowskiego i dlatego tak troska się Pani o Żydów?” Odpowiedziała mi smętnie: *Oh,*

I would be proud upon, if I could belong to the same race as my teacher and my Saviour, but unfortunately I do not.

Prawdę mówiąc, podobne westchnienia nie nawiedzały nigdy mnie samego ani moich bliskich. Lecz będąc zadowoleni z naszej „rasy” i choć o nawracaniu Żydów nigdy nie marzyliśmy, niemniej byliśmy zadowoleni, że obok nas istnieje ta druga, wpłataną w codzienne nasze życie i to na różnych piętrach i w różnym stopniu. Jakże znikoma garstka Żydów pozostała obecnie w Polsce i jak sobie trudno to wyobrazić. Dla nas spadkobierców tak ustabilizowanej tradycji pozostały po nich jedynie szczątki a także rany głębokie, a przy każdym niemal obudzeniu przerażenie, aż do krzyku mimowolnego, że to wszystko zniszczone.

Istnieje przecie, nie tylko zresztą w naszym społeczeństwie, pewien szczególny sposób przyznawania się do Żydów, w miarę gdy ich sukcesy lub kariera wydają się sympatyczne lub mogą się przyczynić do sławy lub znaczenia własnego narodu. W ten deseń jak anegdota o narodowości Einsteina, w okresie, gdy jego sława nie była jeszcze ugruntowana. A mianowicie że jeśli jego odkrycie okaże się wielkie i genialne, Niemcy powiedzą o nim, że to Niemiec a Francuzi że Żyd, a gdy okaże się, że to fantastyczna pomyłka albo może nawet humbug, Francuzi powiedzą, że to Niemiec, a Niemcy że Żyd. Ta anegdota dostatecznie piętnuje takie stanowisko i jeśli dostrzegamy głębokie choć ukryte wspólnoty między Żydami i Polakami mamy na myśli nie giełdę sławy ani reklamę, lecz zupełnie inne dziedziny a mianowicie wspólnotę doli i przyjaźni, choć jesteśmy cichsi i smutniejsi od Mickiewicza jeśli chodzi o misję.

Gdy zobaczyłem po raz pierwszy profesora Liebmana Herscha przed kilku laty w Genewie, uznałem za słuszną uwagę że wygląda jak szlachcic polski, w szczególności jak rodzony brat naszego przyjaciela z Grenoble śp. doktora Skowrońskiego. Jeden z jego uczniów szwajcarskich wspomina miękki słowiański akcent w wymowie profesora i jego sumiaste polskie wąsy. Lecz cechy te, choć także godne uwagi, mogły się wydać tylko zewnętrzne. Faktem jest, że porozumieliśmy się, a nawet zaprzyjaźniliśmy się od razu, tak jakbyśmy się znali od dzieciństwa, chociaż byliśmy rodem z dwóch przeciwległych krańców naszego kraju. Jego ciepłe, czułe oczy, wysoka choć zgięta jakby pod uderzeniem losów, postać, jego smętna milkliwość pozostawiły mi niejedno do odgadnięcia. Nie darmo po zgonie jego jeden z przyjaciół szwajcarskich nazwał go *Silencieux assoiffé d'infini*.

Wspomnę jeszcze, że w swym dwukrotnym curriculum vitae (z lat 1915 i 1928) stwierdzając, że jest obywatelem polskim, podkreślał solidarność w oporze przeciw rasyfikacyjnym zapędom z okresu strajku szkolnego w Polsce. W takim stanie oporu i widząc, że w tych warunkach o oddaniu się pełnym studiom socjologicznym trudno myśleć, opuścił Polskę pod okupacją ro-

syjską. Studiował w Genewie, tam został profesorem statystyki i demografii i tam zasłynął. Lecz obywatelstwo szwajcarskie otrzymał dopiero dwa lata przed śmiercią. Ze spisu dzieł naukowych ogłoszonego w *Population Studies* (Vol. 9 — Nr 3) który zawiera ponad 70 pozycji a ponadto jest jeszcze niekompletny, widzimy że publikował prace naukowe także po polsku, i to zaczynając od roku 1906 i 1908, w wileńskiej „Wiedzy”, aż do roku 1931 („Przegląd Współczesny” w Krakowie), a w późniejszych ważnych pracach ogłaszanych po francusku zajmował się zagadnieniami statystycznymi z terenu Polski.

Lecz można rzec chyba bez przesady, że jego przynależność do Rzeczypospolitej, jako przestrzeni życiowej i kulturalnej, jeszcze głębiej niż w lojalności, niż w solidarności i niż w współpracy językowej, przejawia się w tym, że w swych korzeniach był i został Żydem z Polski. Pierwszym językiem którym mówił był żydowski, pierwsze wykształcenie otrzymał po hebrajsku, nawet pierwszy artykuł napisany i publikowany gdy miał lat 16 był hebrajski. To chyba rzadko zdarzało się w centralnej Europie, jeszcze rzadziej w Zachodniej. Choć cała rodzina jego która wyemigrowała dawno była związana z sjonizmem, on przez całe życie należał do grupy *jidisz*, pisał po żydowsku, był znawcą, entuzjastą i koryfeuszem literatury w tym języku.

Także prace naukowe pisywał w tym języku, i rzec można, że z niego, z jego żyjącego terytorium wziął niejeden impuls do prac naukowych, chociaż cały wielki dorobek naukowy Herscha należy do uniwersytetu genewskiego, do Szwajcarii i do języka francuskiego. Był jednak znany specjalistom i naukowcom, czytającym i piszącym w wielu językach. Wśród szerszej publiczności zasłynął z racji kongresów w Genewie w roku 1927, w 1949 a szczególnie na światowej konferencji populacyjnej w Rzymie w roku 1954, na której wybrano go przewodniczącym.

Według wyrażenia jednego z jego przyjaciół we wspomnieniu pośmiertnym (prezesa sekcji Instytutu genewskiego) całość dzieła Liebmana Herscha przypomina apostoła Pawła w listach do Żydów. Nie tylko w tym, że nie może być szczęśliwy, gdy inni cierpią, lecz że oczekując lepszej przyszłości pewien jest, że nie osiągnie pełnych owoców bez pomocy innych. Lecz powiedziałbym także że przypomina mi przede wszystkim postawę tegoż apostoła, uwydatnioną w „Dziejach apostołskich”, gdy staje oskarżony przed królem Agryppą i powiada: „Oskarżony jestem o nadzieję, którą Bóg przyobiecał naszym przodkom, a której dzień i noc w służbie nieustannej i w modłach oczekujemy”.

Także u tego pokolenia do którego należał Liebman Hersch, szczególnie u niego samego — mimo że oddalił się dość wcześnie od religii ojców i jej praktyk — nie wygasła ta sama nadzieja, lecz wyrażała się w innej formie misji. Formą takiej misji był socjalizm L. Herscha. Dzisiaj wiemy że wielu z gorą-

cych pionierów tej misji, między innymi przyjaciele Herscha, Alter i Ehrlich, zginęli skruszeni przez totalizm. Jego i ich największą chwałą jest, że nie ulegli pokusie siły, obiecującej rychłe zwycięstwo socjalizmu, bo w ich i jego prawości było niewygaśnięte sumienie socjalizmu, niezachwiane wobec pokus środków. Im goręcej obecność celu płonęła nad nim, tym bardziej opierał się tym środkiem, które sprzeciwiają się samemu celowi, tej „przyszłości wiecznej na niewiecznym polu”, jak mówi poeta. I podobnie jak dla owego poety, dla Liebmana Herscha nie było ziszczenia socjalizmu dopóki „glob ten nie przepalony sumieniem”.

Najszczerze pochwały ani żadne epitafrum nie otrze łez ani nie naprawi bezgranicznych strat. A przecie we wspomnieniu o L. Herschu jest owo ziele kojące o którym opowiada nam poeta „Odyssey”: „ziele bez bólu, bez żółci, co zapominać daje wszelkie zło i kto by je przelknął, łzy nie uroni przez cały dzień”. Tę właśnie pociechę daje zapamiętała czystość L. Herscha jako socjalisty. Według ksiąg buddyjskich wyraz *czystość* identyczny jest w swym znaczeniu z religią. To jądro religii jego przodków, to była religia Liebmana Herscha.

We wspomnieniu o Herschu wybitny socjolog, dyrektor Centrum badań demograficznych w Paryżu Alfred Sauvy, cytując wiersz Voltaire'a:

*Les dieux l'ayant pourvu de tant d'humanité
N'avaient gardé pour eux que l'immortalité.*

zapewnia, że tę nieśmiertelność zachowa Liebman Hersch w duszach tych wszystkich, których oświecało rozrztutne światło jego ducha. Wydaje mi się, że poróż pamięci ludzi choćby najlepszych na ziemi, nieśmiertelność jego, może trwalsza niż ziemską, zawarta jest w potencjale wiary jego przodków, która ciągle odradza się z korzenia i czyha na nas wszystkich.

To podłoże miało także swą ważność w twórczości naukowej Liebmana Herscha. Nie trudno wytłumaczyć, jak krepującą rzeczą jest zapuszczać się w dziedzinę nauki obcej mi, tym bardziej że o samej statystyce niejeden laik skłonny był zapamiętać co najwyżej dwa powiedzenia. Jedno niemieckie obojętne i twarde wobec nędzy ludzkiej: *Hol sie der Teufel und die Statistik*. A drugie rosyjskie, które do wypadków śmierci, chorób itp. stosuje fatalistyczne stwierdzenie: *Popał w statistiku*. Otóż nie! U Liebmana Herscha cała jego nauka była poddana ludzkiej trosce i czystości serca. Odnosi się to między innymi do zagadnienia tak zwanych „przeciętnych” danych. Istnienie milionerów i ich poziomu życia a tuż obok nędzarzy, nie daje żadnej uczciwej przeciętności co do poziomu życia. Żadna wielka liczba w tym wypadku cyfry dochodów i poziomu życia milionerów nie zduśi jęku cyfr niepozornych. Zjawisko społeczne nie da się „wykomentować”, pozostaje zawsze to samo: jeden ma za

wiele, a drugi o wiele za mało. Po za przeciętnością pensji, poziomu życia, przeciętną śmiertelnością dzieci itp. Hersch zawzięcie szuka rzeczywistości zakrytej wyrazem „przeciętny”, i znajduje ją.

Pierwsza praca, a mianowicie teza doktorska L. Herscha miała temat charakterystyczny *Le Juif errant d'aujourd'hui*. Zawiera zagadnienie emigracji Żydów ze wschodniej Europy do Stanów Zjednoczonych. Widzimy w tym, że także w nauce nie odskoczył od swego kraju, zabierając ze sobą jego cierpienia. Jedną z pierwszych prac, zdzierających maskę z fałszywej przeciętności, miała tytuł: „Nierówność wobec śmierci” (*L'inégalité devant la mort* — Paris 1920). Wykazuje w niej, że wyrażenie „przeciętna śmiertelność dzieci” nie tylko mówi za mało, lecz nawet fałszuje rzeczywistość, bo z podziału choćby tymczasowego na cztery klasy zamożności, wynika jak potężna jest śmiertelność wśród dzieci nędzarzy i biedaków w porównaniu z dziećmi klas uprzywilejowanych. Zatem możliwe jest zmniejszyć tę śmiertelność, to jest wznieść społeczeństwo do takiego *pozytywnego* poziomu „przeciętności”, który byłby osiągalny, gdyby wiedza serca brała udział w naukach społecznych i gdyby taka nauka była motorem sprawiedliwości społecznej. Oto cytat z tejże rozprawy: „Społeczeństwa nowoczesne potrafią docenić badania oparte na obserwacji i obliczaniu zjawisk gdy chodzi o martwą naturę, ale przeważnie na obserwację z życia społecznego pozwalają tylko o tyle, że na zagadnienia niepokojące dają wymijające odpowiedzi”. Z tego widać, że według Herscha demografia jako nauka humanistyczna nie może zrzec się odważnego połączenia u swej podstawy dwu źródeł wiedzy: serca i mózgu, bo nie może się bez nich obejść.

U podłoża nauki nowej uprawianej przez profesora Herscha, tak zwanej demografii potencjalnej, widzimy właśnie, według wyrażenia wyżej wspomnianego Alfreda Sauvy, że Hersch na tej podstawie odwracając kierunek badań zanurzył się w przyszłość. Gdy widzi niemowlę piętnastomiesięczne widzi w nim od razu siedemdziesiąt lat życia, które dziecko ma przed sobą, to jest nadzieja życia. W rezultacie nie zadawała się aspektem muzealnym jaki nam daje stara Europa, tylko otwiera przed nami horyzont tej nauki i nadziei życia i to pod koniec swego życia, gdy jego własna nadzieja znacznie się zmniejszyła.

Wśród wielu pism spoza dziedziny naukowej nie małe zainteresowanie budzi odczyt wygłoszony dla studentów-Żydów w roku 1940 pt. „Opinie Żyda pozytywisty”. Jest to jego wyznanie, które właściwie nie zmienia w niczym tego co powyżej powiedzieliśmy. Jest „pozytywistą”, bo chce zrobić lub przygotować coś pozytywnego dla ludzkości, lecz do samego słowa pozytywizm nie przywiązuje więcej znaczenia jak do innych wspomnianych w tym samym odczycie jak np. spirytualizm, idealizm itp. Nie upiera się przy nim. Jest ono właściwie wyrazem ojcowskiego stosunku wobec swoich ludzi. To naprawdę „Vater-

Kompleks'', ale odwrócony. Potrzeba, aby być ojcem. A jakże naszym czasem brak ojca i ojców! Chyba żeby ktoś uparł się uważać dyktatorów za ojców.

Pamiętne mi dwie ostatnie rozmowy z Liebmanem Herschem. Podczas jednej czytał mi swój artykuł-protest w sprawie, która odbiła się przykrym echem z powodu napadu izraelskiego na wieś arabską. Sprawa ta zabolala go głęboko, uważał za stosowne wyrazić swój ból i protest. Lecz protest ten wywołał różne nieporozumienia, zdaje się nawet oburzenia. Czując delikatność tej sprawy i jak mało na miejscu byłoby moje zabieranie głosu, zapytałem nieśmiało czy nie należałoby raczej napisać kilkudziesięciu listów prywatnych do osób odpowiedzialnych niejako na ucho, na to aby przez otwarte wystąpienie nie nadużyto jego szczerości w atmosferze i tak dość zagęszczonej. Lecz L. Hersch był demokratą do końca, słusznie ufny w swe czyste intencje, wierzył w rozgrywki otwarte bez bawienia się w chowanego.

Za ostatnim spotkaniem powiedziałem w trakcie rozmowy, że smutno gdy widzi się iż Żydzi, przez których pośrednictwo jedyny Bóg odkrył się ludzkości, porzucają lub wyrzekają się swego Boga. Profesor Hersch bronił dość wytrwale stanowiska, że na darmo szukać w przyrodzie np. w stosunku między gatunkami, wypadków ochrony i oszczędzania się, a przytaczał dobitne przykłady że gatunki niszczą się nawet bez istotnej potrzeby, nawet dla zabawy. Zatem jeśli kto wierzy w ochronę życia i w opiekę nad życiem, to jest to ideał czysto ludzki i zawdzięczamy go człowiekowi. Nie powiedział mi wyraźnie, lecz wynikało z tego co mówił, iż pretensje aby Bóg opiekował się nami nieustannie, chronił nas i zbawiał, to projekcje ludzkie i postulat aby *człowiek* tak postępował. Widziałem z jego powiedzeń że w *szukaniu* tej opieki w przyrodzie i w zawodach wynikłych z tego *szukania*, a tak ostrych, przebija się tło zakorzenionej wiary w nieustanną opiekę Boga, tło tak biblijne i tak żydowskie. Rozmawiając w najbardziej przyjacielski sposób trwaliśmy każdy na swym stanowisku. Lecz przytaczanie tej rozmowy in extenso przekroczyłoby ramy artykułu.

Zrobiło się nieco późno i profesor Hersch odprowadził mnie do tramwaju. Tramwaj już zatrzymał się, a my coraz żywiej „kończyliśmy” rozmowę. Nie skończyliśmy jej, bo szwajcarski motorowy ostrzegł nas dzwonkiem. Zamiast zakończenia i na pożegnanie profesor Hersch ucałował mnie po raz pierwszy i ostatni. Motorowy spoglądając pobłaźliwie ku obu starszym panom tak bardzo ożywionym, pozwolił nam na takie zakończenie.

Stanisław VINCENZ

Festiwal poetycki

(III-a BIENNALE POEZJI W KNOKKE)

Temat tegorocznej Biennale, organizowany przez zespół miesięcznika „Le Journal des Poètes”, przy poparciu rządu belgijskiego, brzmiał następująco: „Źródła ludowe w Poezji”. Podczas trwania zjazdu, na który przybyło ponad 250-ciu poetów i krytyków z 27-miu krajów, próbowano przedstawić zależność poezji kunsztownej, tworzonej przez elitę, od poezji prymitywnej, śpiewek, czy pieśni obrzędowych — jednym słowem od twórczości, która zamiera na naszych oczach, dławiona wrzaskiem patefonów, kin i gigantycznych głośników zawieszonych na rogach ulic.

Część poetów pojęła zaproponowany temat jednowymiarowo — i zadowolili się (np. rumuński poeta Botez) naszkicowaniem historii poezji ludowej w danym kraju. Część zaś skorzystała z okazji, aby sobie po prostu pogadać z podwyższenia o swej własnej poezji, czy też o „poezji jako takiej”. Mniejszość stanowiły referaty wartościowe i wygłoszone na temat.

Temperatura przemówień i odczytów była różna, przeważnie jednak daleka od zapalnej. Raz tylko delegat sowiecki, Paweł Antokolski, próbował wskrzesić umarłą wiarę w ideały poezji państwowej, pojętej jako „służba Historii”, przeciwstawiając ją innej poezji, wolnej, którą określił jako „marnie kilku ekscentryków”.

Odpowiedział mu trafnie i ze swadą poeta francusko-amerykański, Alain Bosquet. Niestety Antokolski nie podjął dialogu. Miało się wrażenie, że chodziło mu jedynie o odczytanie przygotowanej w Moskwie karteczki, że niby nie dali się zahukać Zachodowi...

W drugim dniu Biennale wygłosił odczyt delegat Polski, Julian Przyboś. Mówił o „urzekającym wpływie poezji ludowej na poetów-intelektualistów”. Rzęsiste oklaski, nagradzające autentyczny, dociekliwy tekst, jak również liczne gratulacje składane Przybosowi przez zagranicznych poetów i krytyków zwróciły uwagę nie tylko na polskiego poetę, ale i na całą grupę Polaków przybyłych z Kraju. (Drugim delegatem oficjalnym był Artur Międzyrzecki; „Pax” był reprezentowany przez krytyka i eseistę, Zygmunta Lichniaka, i przez poetę Mikołaja Bieszczadowskiego).

Przyboś podkreślił podobieństwa istniejące w obu kategoriach twórców, ludowych i kunsztownych (*artiste savant*) którzy...

....doszedłszy do szczytu świadomej twórczości znajdują się nadal w położeniu naiwnego artysty ludowego. Na nic im mistrzostwo — muszą ponownie zaczynać od zera, muszą na nowo tworzyć swą sztukę, tak samo jak ludowy śpiewak, czy rzeźbiarz — nie mający wzorów i nie posiadający kultury plastycznej czy literackiej — stara się, przez słowo, bądź przez glinę, wyrazić nowe doświadczenie swych zmysłów, lub wzruszonej wyobraźni.

I dalej:

„.... Poeta prymitywny nie widzi różnicy między tekstem spisany i pieśnią, między fikcją i rzeczywistością, literaturą i życiem. Widać u niego, podobnie jak u twórców całkowicie świadomych, to samo odwieczne pragnienie, aby obalić przedział istniejący pomiędzy ciałem i słowem, które zamiast być znakiem rzeczy, staje się rzeczą samą. Pragnienie to wyraził Mickiewicz, pisząc o słowach:

*„Ich wdziękami się lubują,
Ich okrągłość dłonią czują,
Ich ruch myślą odgadują...”*

„W licznych pieśniach ludowych” — dodaje Przyboś — „słowa są tak konkretne, że nie nazywają przedmiotu, ale jakby go nam wprost podawały...”

Nie znaczy to bynajmniej, że Przyboś patrzy na poezję ludową z bezkrytycznym uwielbieniem. Przeciwnie, zwraca uwagę, że istnieją okresy upadku, kiedy pieśni ludowe cechuje konwencjonalizm, zarówno pod względem idei, jak i obrazu. I autor stwierdza:

„.... Artysta-intelektualista winien brać twórczość prymitywną nie za wzór, lecz widzieć w niej możliwość istnienia sztuki niestylizowanej, uczciwej i wolnej od wszelkiego konwencjonalizmu”...

Postępował tak w rzeczywistości Mickiewicz, mimo, że w swoich wypowiedziach — jak to podkreśla Przyboś — porównywał swe „Księgi” do „prostych piosenek”, chociaż wysoki artyzm „Pana Tadeusza” ma niewiele wspólnego z poezją ludową.

Poezja ludowa urzeka poetów-intelektualistów gdyż tęsknią oni do doskonałości przystępnej dla wszystkich.

Odczyt swój zakończył Przyboś zdaniem-manifestem:

„Trzeba pracować w trudzie, jak gdyby sztuka jeszcze nie istniała, lecz wiecznie pozostawała do odkrycia; i powtarzać gest odkrywania za każdym razem, kiedy nam przyjdzie wyrazić rzeczy dotychczas nie wyrażone, kiedy nam przyjdzie tworzyć nowy świat poetycki...”

Międzynarodowy zjazd poetów w Knokke różnił się od dwu poprzednich Biennale nie tylko tematem, który organizatorzy proponowali uczestnikom, ale również obecnością delegacji nie widywanych tu dotychczas.

Rzecz jasna, nasuwają się porównania... Dwa lata temu, na jednym z kongresów pisarzy, miałem możność oglądać delegację polską. Żyli grupą, zjawiali się razem i razem opuszczali salę obrad, związani niewidzialną lecz mocną pepowiną z „demokratycznymi” delegacjami Węgier, czy Niemiec Wschodnich. Obowiązkowe zebrania w celu „uzgodnienia wystąpień”, obowiązkowe komunale („lud, z ludem, ludowi...”) — wszystko to pozostawiało niewiele miejsca i możliwości na indywidualne wystąpienia pisarzy.

Tym razem widok był zgoła odmienny. Delegacje wschodnie (w tym sowiecka) po prostu uczestniczyły w Biennale. Uczestniczyły jak chciały,

niczego nie „uzgadniając”, nie wnosząc żadnych deklaracji ideowo-politycznych. W ostatnim dniu zjazdu Simonow zakończył swe przemówienie okrzykiem: „Niech żyje Poezja!”

Na tle ludzi przybyłych „stamtąd” delegacja polska odcinała się wyraźnie. Znając francuski, Polacy poruszali się swobodnie, nawiązując kontakty i wymieniając adresy. Nie zapominajmy również, że przybywali z Kraju, który jak żaden inny w obrębie Wschodniego Imperium wywalczył sobie wolność głosu. Może więc nie przypadkiem podchodził do Polaków ten i ów delegat z bratnich „ludowych demokracji”, aby na koniec stwierdzić z żalem, że u nich jeszcze nie jest tak, jak w Polsce..., a jeden z delegatów sowieckich napraszał się, aby... go zaprosić na zjazd Związku Literatów Polskich.

Miałem okazję mówić ze swoimi. Rozmawialiśmy dużo i o wszystkim. Nie dyskutowaliśmy, lecz rozmawialiśmy. Nie istniały, jak to miało miejsce jeszcze niedawno, tematy, których nie należy dotykać. Nie było tabu. Bywało, że pewne rzeczy widzieliśmy inaczej, ale łączyła nas wspólna troska o te same, niestety, ciągle jeszcze zagrożone wartości.

W czasie rozmów naszkicowaliśmy kilka projektów współpracy (wymiana książek, omawianie emigracyjnej poezji w Kraju i vice-versa, jak również wspólna dyskusja nad zagadnieniami twórczości).

Przechadzając się po brzegu Morza Północnego, spacerując po starych kamieniach Gandawy i wzdłuż martwych wód Brugii, mogliśmy stwierdzić, jak dzięki temu spotkaniu, jak dzięki takim spotkaniom, obrazy spraw i ludzi tracą swe czarno-białe, uproszczone kontrasty.

P.S. — Na zakończenie III-ej Biennale Poezji międzynarodowe jury przyznało Grand Prix, w wysokości 100 tysięcy franków belgijskich, wielkiemu poecie włoskiemu, Giuseppe Ungarettiemu, za kilkudziesięcioletnią twórczość.

Również z okazji Biennale ukazał się trzeci tom światowej „Antologii Poezji Półwiecza”, zawierający między innymi francuskie przekłady utworów Czesława Miłosza i Juliana Przybosa.

M. PANKOWSKI

Atom

W lipcu 1955 roku grupa uczonych świata zachodniego zwróciła się do ludzkości z tragicznym w swojej powadze apelem. Uczeni ci ostrzegali cały gatunek ludzki przed bronią atomową, która grozi zniszczeniem życia na naszej planecie. Inicjatorem apelu był angielski matematyk i filozof Bertrand Russell. Wśród podpisów figurowało nazwisko Alberta Einsteina. Było to

ostatnie publiczne oświadczenie, jakie Einstein zdążył poprzeć swoim autorytetem przed śmiercią. Organizatorzy usilnie zabiegali o nawiązanie kontaktu z uczonymi Moskwy, jednak żadnego sowieckiego podpisu nie udało się im niestety uzyskać.

Tegoż lata 1955 roku osiemnastu laureatów Nobla, fizyków i chemików, zebranych na obrady naukowe w Lindau nad jeziorem Bodeńskim, ogłosiło podobną do tamtej deklarację, tak zwane oświadczenie z Mainau, wzywając ludzkość do opamiętania.

Przypominam te fakty w związku z międzynarodowym kongresem PEN-Clubów, który odbył się w lipcu w Londynie. Przyjechawszy na ten kongres z Paryża, byłem świadkiem wniesienia na porządek dzienny wniosku delegacji wschodnio-niemieckiej, tej, mniej więcej, treści: Międzynarodowa Federacja PEN-Clubów wyraża swoją sympatię wszystkim pisarzom którzy uważają za swój obowiązek ukazywać bliżnim niebezpieczeństwo grożące wskutek rozwoju środków masowej zagłady i potępia próby tłumienia takiej akcji przez rządy lub czynniki oficjalne.

Był to, zdawałoby się, bardzo rozsądny wniosek. Osobiście mogłem się czuć zadowolony, bo pośrednio mnie także wyrażano sympatię. Tak się złożyło, że w kwietniowym numerze kwartalnika „Confluence” wydawanym przez Uniwersytet Harvard, ukazał się mój artykuł na temat klęsk, jakie mogą spaść na narody, bez względu na ich orientację polityczną. Pismo poświęciło aż dwa numery problemowi atomowej energii. Przypadł mi ten zaszczyt, że zabierałem głos obok laureata Nobla, fizyka Maxa Borna. Max Born pochodzi z Wrocławia. Żeby nikt nie myślał, że ten uczony niemiecki żywi odwetowe pragnienia, zacytuje jego słowa: „Wolno mi było wrócić do ojczyzny, Niemiec, ale mój kraj rodzinny, Śląsk, który jest teraz częścią Polski, jest dla mnie zamknięty. Była to dla mnie bolesna strata, ale los przesądził. Próbować zmienić tę sytuację siłą nie byłoby możliwe bez skazania nas na gorsze krzywdy i prawdopodobnie na ogólne zniszczenie. Musimy nauczyć się rezygnacji, musimy starać się zrozumieć innych, rozwijać w sobie tolerancję i gotowość pomocy, musimy wyrzec się pogroźek i użycia siły. W przeciwnym razie koniec cywilizowanego człowieka jest bliski”. Tak pisze Max Born.

Jednak we wniosku delegacji wschodnio-niemieckiej na Kongresie PEN-Clubów, wniosku pozornie tak oczywistym, było dla mnie coś nieprzyjemnego. Powiedzmy sobie szczerze: człowiek nie nauczy się myśleć na nowo o tych sprawach, dopóki nie wyzwoli się z faryzeizmu, z obłudnej dobroci satrapów i z kochającej-dzieci demagogii. Pamiętamy czym była akcja tak zwanych Obrońców Pokoju. Jej największe nasilenie przypadło na okres, kiedy ta sama ręka, co puszczala w ruch mechanizm pokojowej propagandy, rozpętywała równocześnie wojnę koreańską. Tu musi nastąpić jakiś przełom. Nieprawdą jest, że wszyscy, którzy mają w dorobku prace na takie tematy jak na przykład Hiroshima, zasługują na naszą sympatię. Ilja Erenburg i jemu podobni mówili na rozkaz i milkli na rozkaz. Uczeni jak Einstein, Russell, Max Born chcą podporządkować względy strategii wyższym względem troski o ludzkość, ich apel zwraca się przede wszystkim do rządów Zachodu. To nie to samo, co wystawiać własnemu krajowi świadectwo moralności a zło upatrywać tylko u innych. Czego brakowało wnioskowi wschodnich Niemców, to jasnego rozróżnienia intencji, i podkreślenia, że opinia publiczna powinna kontrolować własne rządy przede wszystkim. Poza tym owo niewątpliwie polityczne posunięcie było obliczone na samograj: kłóż będzie głosować przeciw? Któż zechce przedstawić się jako zwolennik dżumy? Było to odgrzanie manewru z okresu stalinizmu, kiedy wtykało się ludziom w ręce apel Obrońców Pokoju i szantażowało się ich moralnie: jesteś przeciwko wojnie? To podpisz. Jeżeli nie podpiszesz będzie to znaczyło, że jesteś

zwolennikiem wojny. Ten syllogizm opierał się oczywiście na zupełnym fałszu.

Takie mając myśli podszedłem do mikrofonu na sali obrad. Skłonił mnie do tego jeszcze jeden powód osobisty, o naturze niemal kompleksu. Nigdy nie pisałem o tym, czym był dla mnie Albert Einstein. Pewna rozmowa z nim, w jego domu w Princeton, przyczyniła się do zasadniczego zwrotu w moim życiu. I teraz moje przemówienie polegało na tym po prostu, że opowiedziałem w skrócie prawdziwe zdarzenie dotyczące Einsteina.

Działo się to w roku 1948. Sprawowałem wtedy funkcje drugiego sekretarza ambasady w Waszyngtonie. W Polsce Borejsza organizował wrocławski kongres Obrońców Pokoju. Na ten kongres Albert Einstein zgodził się przesłać swoje oświadczenie. Powiódł ten tekst osobiście do Polski jego przyjaciel prof. Nathan. Do długiego, liczącego wiele stron oświadczenia był dołączony krótki list grzecznościowy Einsteina z życzeniami pomyślnych prac Kongresu.

Co stało się dalej? Borejsza po przeczytaniu oświadczenia dostał jednego ze swoich ataków hysterii. Przestraszył się. Jak wiadomo Einstein w Moskwie nie był dobrze notowany i gdyby tamtejsi urzędnicy mogli, ukłębiliby kark teorii względności jako „idealistycznej”. Na nazwisku jednak zależało. Ale tekst Einsteina był nie-do-pu-szczal-ny. Nie tylko nie dawał się obrócić wyłącznie przeciwko Amerykanom, ale nie zawierał frazesów, które są ulubioną przez polityków mętną wodą. Tekst był jasny i jednoznaczny a znalazło w nim wyraz stanowisko ani proamerykańskie ani prosowieckie tylko pro-ludzkie. Einstein ostrzegł. Jego zdaniem tylko natychmiastowe utworzenie międzynarodowego organu kontrolującego energię atomową stanowiłoby gwarancję, że ludzkość uniknie zagłady. Takie wyraźne określenie postawy było nie do przyjęcia na kongresie urządzanym dla celów nie dyskusji ale braw i aklamacji. Dla Rosjan pomysł międzynarodowej kontroli był wstrętny, bo zakładał zrzeczenie się części potęgi, czy jak to się mówi inaczej, suwerenności. Rada w radę, znaleziono wyjście. *Schowano pod sukno oświadczenie Einsteina a odczytano jego grzecznościowy list, nazywając go oświadczeniem po to, żeby wytworzyć przekonanie, że Einstein solidaryzuje się z uchwałami Kongresu. Czyli dopuszczono się fałszerstwa w gatunku zresztą dobrze nam od 1945 roku znanym (*)*.

Dowiedziawszy się o tym, zatelefonowałem do Einsteina używając w stosunku do organizatorów kongresu jak najostrzejszych słów. Tymi samymi słowami gotów jestem ich nazwać i dzisiaj. Całą rzecz wtedy niemal przechorowałem. I uważam, że nie ma żadnego powodu, żebyśmy wyrażali sympatię pisarzom, którzy porobili kariery na wykorzystywaniu lęku o ludzkość dla celów strategicznych jednego obozu. Dlatego uchwała PEN-Clubów powinna byłaby mieć inne, ściślejsze brzmienie. To mniej więcej powiedziałem w Londynie. Uchwała przeszła większością 17 Clubów contra 12 przy 8 wstrzymujących się od głosu. Na sali obrad byli członkowie delegacji z Warszawy, wśród nich Kazimierz Brandys. Brandys ma mentalność ukształtowaną według najlepszych wzorów. Jest specjalistą cnoty. Po powrocie do Polski przedstawił mnie w prasie jako coś w rodzaju podżegacza wojennego. Wątpię zresztą czy rozumiał co mówiłem. Ale świat dzieli się dla niego nadal na czarne i białe, na za i przeciw. Ten przywilej i to ułatwienie można mu zostawić.

Niestety, sytuacja ludzkiego gatunku nie jest taka jak wygląda w chwilach przejaśnienia, tylko taka jak ją przedstawili najwybitniejsi fizycy i chemicy w swoich wezwaniach do rozsądku. Wydaje mi się, że potrzebna jest zupełnie inna świadomość a ta nie narodzi się dopóki nie zostaną zlikwidowane

(*) Oba teksty Einstein ogłosił w „New York Times”.

wane resztki zakłamanej atmosfery, jaką wytwarzali tak zwani Obrońcy Pokoju. Rzeczą przynajmniej literata, jeśli nie polityka, jest tę likwidację przyspieszać. Niech Brandys krzyczy. Lepsza prawdomówność bez niedzielnej cnoty niż niedzielna cnota bez prawdomówności.

Czesław MIŁOSZ

Komunikat

PODZIĘKOWANIE

Na apel Komisji Szkolnej do zbiórki na kolonie letnie dla dzieci, społeczeństwo polskie odpowiedziało przychylnie, czynnie popierając wszystkie imprezy, jakie na ten cel Komisja Szkolna organizowała. Również wpłynęło wiele darów zarówno ze strony osób prywatnych jak i polskich organizacji niepodległościowych oraz instytucji dobroczynnych. Poniżej podajemy listę darów, jakie do tej chwili wpłynęły do Komisji Szkolnej:

1) Free Europe Citizens Service, 50.000 fr.; 2) Jego Ekszelencja Ks. Biskup Jean Rupp, 20.000 fr.; 3) Polskie Zjednoczenie Katolickie Okr. Paryż, 10.000 fr.; 4) Miesięcznik „Kultura”, 10.000 fr.; 5) Lista zbiorów p. Pietrzaka, 5.100 fr.; 6) Polski Związek Inwalidów Wojennych we Francji, 3.400 fr.; 7) Stow. Mężów Katolickich w Paryżu, 3.000; 8) Bractwo Trzeciego Zakonu Św. Franciszka, 3.000; 9) Lista zbiorów W. Ragini, 2.600 fr.; 10) Zarząd Koła Zw. Rez. i b. Wojsk. w St. Denis, 2.100 fr.; 11) Stow. Inż. i Techników Polskich we Francji, 2.000 fr.; 12) Zw. Kupców i Rzemieśln. Polskich Okr. Paryż, 2.000 fr.; 13) Polska Księgarnia „Libella” w Paryżu, 2.000 fr.; 14) Zarząd Oddziału SPK-Francja, 1.300 fr.; 15) Tygodnik „Syrena”, 1.000 fr.; 16) Zarząd Gł. ZHP we Francji, 500 fr.; 17) p. Piotr Kalinowski, 500 fr.; 18) p. Jesionowski, 500 fr.; 19) p. Wandasiewicz, 500 fr.; 20) p. Anna Woźna, 500 fr. — RAZEM: 120.000 fr.

Uchwałą Walnego Zebrania Rodziców z dnia 26 maja 1956, po likwidacji i przekazaniu aktów gospodarki z byłego Wydziału Opieki Rodzicielskiej wpłynęła do Komisji Szkolnej, z przeznaczeniem na kolonie letnie, suma 53.823 fr. Razem zatem wpływ ogólny wynosi 173.823 fr.

Wszystkim wyżej wymienionym ofiarodawcom oraz tym wszystkim, którzy bezinteresownie pomogli we wspólnym dla nas wszystkich wysiłku w walce o nasz język ojczysty — składamy tą drogą najserdeczniejsze podziękowanie.

KOMISJA SZKOLNA
w Paryżu.

Książki

Pel-Mel

Za czasów przedhistorycznych moja stryjka nazywała Melchiora Wańkowicza (Mela) Pelmelem (groch z kapustą po francusku). Wczytując się w „Drogę do Urzędowa” coraz bardziej się utwierdzam, że dowcip pasuje jak ulał i nie tylko do Wańkowicza-człowieka, ale do Wańkowicza-pisarza. Ostatnia jego książka to już nie groch z kapustą, ale gęsty bigos, gdzie się znalazło i sadło i patoka i nawet konfitury.

Świetny dziennikarz, autor esejów które zawsze poruszały momenty istotne, człowiek o dzikiej żywotności, chłonności, żywym stosunku do ludzi wszystkich warstw, autor „Na tropach Smętka”, „Opierzonej Rewolucji”, „Monte Cassino”, „Szczeniących lat”, książki która jest chyba jego arcydziełem, i tylu innych książek postanowił stworzyć panoramę losu polskiego. Uczono nas mierzyć siły na zamiary — jak nie uszanować tej śmiałości! Wańkowicz postanowił być polskim Balzakiem i stworzyć komedię ludzką polskiej wielkości i polskiej nędzy, polskiego męczeństwa i polskiego łajdactwa. Materiał, z którego buduje swą książkę, Wańkowicz przeżył osobiście, zebrał w niezliczonych wywiadach, kontaktach, rozmowach, podróży, przeczytał morze książek, wszystko potem układając w swoim wędrownym archiwum, do którego dołącza coraz to nowe i nowe pozycje; materiał jedyny w swoim bogactwie i rozpiętości. Tego wysiłku nie można skwitować łatwym komplemtem czy zdawkową krytyką.

Zdaje mi się, że to tytaniczne przedsięwzięcie nie było na miarę Wańkowicza. „Droga do Urzędowa” jest literacką porażką.

Długo się zastanawiałem dlaczego doszedłem do tego wniosku o książce pisarza, którego wiele dzieł podziwiam, więcej, podziwiam również szereg wielkich zalet ludzkich i o tym już

Melchior Wańkowicz, *Droga do Urzędowa*. Wyd. Rey Publishers, New York 1955.

w „Kulturze” pisałem (*). Przerzucając z początku kartki tej książki, chciałem nie zostawić na niej suchej nitki do tego stopnia, były mnie w oczy jej wady, ale zabrałem się do przeczytania całości, nie przepuszczając przecinka. Stosunek negatywny do niej nie zmienił mi się, ale wymaga dopełnienia. Piszący o niej musi podkreślić bogactwo materiału, ogrom włożonej pracy, śmiałość w omawianiu spraw drażniących i może przede wszystkim język żywy, z tym wańkowiczowskim słowotwórstwem, który nie dosięga bogactwa, humoru Witkacego, ale który z tantym słowotwórstwem ma pewne pokrewieństwo.

Więcej — nawiedzała mnie myśl czy ta nieudana książka nie jest bardziej polska, autentyczniejsza i przez to wartościowsza (w jej brakach właśnie, wybrzuszeniach, przerysowaniach, patosie i grubiaństwie) od dzieł polskich podfrancuzów, jak „Choucas” czy „Nowele włoskie” (**), czy nie jest przynajmniej świadectwem jednego z istniejących aspektów polskiej psychiki.

Wspominałem Balzaka — przecie u niego także jest „groch z kapustą”. Cały świat postaci czasami również przerysowanych (te hrabiny anielskie czy demoniczne), rozważania socjologiczne, polityczne, filozoficzne, przecinające bezceremonialnie tok powieści, wykłady historii, wyrastające z opisów deseni obicia prowincjonalnej kawiarni czy sklepiu, powstającej burżuazji, salonów bankierskich i arystokratycznych, strajków chłopskich godnych pędzla Goyi, wszystko to stopione żywiołem balzakowskiego geniuszu. St. Beuve zgorszony złym smakiem i nieścistościami Balzaka nie docenił jego miary, Wańkowicz idąc w ślady Balzaka może *jest* Balzakiem?

Zaczniemy od obwoluty, z wyrwanymi komplementami pod adresem książek poprzednich: „Ta jedyna w dziejach naszego piśmiennictwa wańkowiczowska panorama polskiego losu — portret epoki” (Mieroszewski); „Po benedyktyńsku buduje gmach dziejów polskich” (Radzyńska), itd., itd. w tym stylu. Jakoby ta agresywna propaganda jest potrzebna dla Ameryki. Nigdy nie widziałem książki Faulknera czy Steinbecka w takich obwolutach. Tak się w Ameryce reklamują producenci makaronu, rzeźnicy czy cmentarze. Ten garnitur odrzuca każdego, który naprawdę czyta, a książka nie jest przeznaczona dla analfabetów, bo i jej język i złożona wciąż rwąca się fabuła i ten cały pelmel to wcale nie łatwa lektura.

Sama książka ma niejedną stronę piękną. Dlaczego jest nieprzekonywująca i po jakimś fałszywa?

Już od początku wkradać się zaczynają ordynarne do ostateczności anegdoty z brodą, z których można zrobić cały podręcznik koszarowych kawałów. Ilość ich narasta i przerasta

(*) „Mel”, *Kultura*, Nr 16/17 z 1949 r.

(**) Tu biję w siebie, bo rola nasza, „Kapistów”, w malarstwie przed 1939 rokiem była typowo „podfrancuska”.

miarę wytrzymałości ludzkiej. Czy jestem tak skłonny do pruderii, że to mnie drażni? Celine mnie nie gorszy wcale, nieraz zachwyca. Wobec książki Henry Millera sprostność Wańkowicza jest prawie dziecinna. Dlaczego kiedy w *Poemacie* Miłosz pisze o „gumach i salvarsanie” czuję w tym kontrast poetycki i aluzję całej perspektywy myśli, nigdy ordynarności.

Książkę rozpoczyna partia szachów w Zaleszczykach, w sierpniu 1939 roku, rozgrywana przez doktora Lewina z głupiotkiem księdzem Wróblem. Książd nie wiadomo dlaczego mówi nieustannie po łacinie, Lewin nieustannie żydłaczy, jest śmieszny, tragiczny i do głębi szlachetny. Obok głównego bohatera powieści, Haukego, to postać chyba najżywsza, bo złożona. Autor ma do niej stosunek przynajmniej *niepowierzchowny*. Gdybym był Żydem wolałbym taki „antysemitizm” od banałów niejednego filosemity, który samego problemu żydowskiego nie zauważa. Książd tyle, że gada po łacinie. Ale tu już trafiamy na główny mankament tej książki. Wańkowicz zauważa cechy najpłytsze, najłatwiej dostrzegalne. Ale gdzie jest w tym księdzu świat milczenia, modlitwy, który nadaje sens istnieniu księdza niezwyklejszego? Tego pozytywista Wańkowicz nie zauważył.

Idziemy przez wrzesień 1939, przez Rumunię, sowieckie zsyłki, niemieckie obozy, Marsylię, Afrykę, Palestynę, Irak, aż do Taranto i Motoli. Ile ludzi, ile wypadków!

Stronice o Czubalskim ratującym ginącą w stepie kobietę z dziećmi, śmierć Zuzi, przypominają najpiękniejsze z opowiadań Wańkowicza „Rodzinę Korzeniowskich”. Zatrzymanie fali polskiej odpływającej ku Persji w Aszchabadzie jest zaledwie przetransponowaną opowieścią rozzdzierającej i prawdziwej sceny, opowiedzianej lepiej przez Wańkowicza gdzie indziej, bo nie robił z tego rozdziału powieści; losy Ihnatowicza w obozie niemieckim, jego ucieczka, a przede wszystkim jego *język* czujnie uchwycony — to znowu piękne stronice książki. Do najlepszych może należą strony pisane o Palestynie. Gdy się czyta te rozdziały chciałoby się zapomnieć o całym garniturze pseudopowieściowym, o tej nie do zniesienia mieszaninie stylów, o nieustannym podkreślanu efektów, które zamiast uwypuklać prawdę od niej odpychają.

Teksty Wańkowicza, w miarę gdy się oddalają od reportażu, do dokumentów tracą na wartości nie tylko dokumentalnej, ale i artystycznej. Robi się z tego jakaś biographie romancée setek ludzi, w tym co ta forma literacka, tak modna 20 lat temu i tak już zgrana, miała najgorszego: zatarcie granicy między dokumentem a fikcją na szkodę i dokumentu i fikcji.

Drugą nowością (!), która niszczy książkę, to „typizacja”: w liście do jednego z krytyków książki Wańkowicz pisze, że według niego powieść się kończy, że trzeba stwarzać typy i naraż trafiamy tu na rady i wnioski, które już socrealizm w Polsce do reszty skompromitował. Typy pozytywne, typy negatywne,

Drystale do końca osły i stupajki, żołnierze sowieccy zawsze gryzący siemiaczki, Moskale zawsze tępi złodzieje i ćwoki, Niemcy zawsze zbrodniarze. Z jednej strony idealizowanie ludzi utopione w łzawym rozczuleniu (wbrew rozdrażnieniu to rozczulenie rozczula i człowiek łapie się, że płacze) a obok obsmarowywanie ludzi ostateczne, jakieś prostacko ogólnikowe. Ci wszyscy Lubrzyccy i Drystale, ależ tak, tu Wańkowicz dotyka ran i podłości, ale dlaczego i tu drażni i nie przekonywuje? Bo najprościej to co obwoluta nazywa groteską, a co jabym nazwał paszkwilem, przypomina wypadkowością kreski karykatury z „Muchy”. Ostatecznie dlaczego nie paszkwil? Mamy w literaturze i genialne paszkwile. Karmazinow w „Biesach” to paszkwil na szlachetnego Turgieniewa. Ale Karmazinow pozostał w literaturze światowej, żyje *niezależnie* od Turgieniewa. Czy Drystale istnieje choć przez chwilę?

Może powodem mego krytycznego stosunku do książki jest obok Gombrowicza przeżyli rok 1939 i którzy się tam rozpoznają, jest krzywdzącym paszkwilem. Ale u Gombrowicza fikcja artystyczna jest na tyle silna, tak wierzymy w istnienie jego fikcji, że nie zdziwilibyśmy się wcale, żeby się nagle jego poseł zamienił na przykład na stonogę. Fikcja gombrowiczowska ma siłę fikcji kafkowskich i choć on, tak samo jak Wańkowicz, czerpał i czerpie surowiec z życia ma on to „oderwanie”, tę jedność widzenia, która stwarza dzieło sztuki. U Wańkowicza zawsze wyłazi to anegdota, to łza, to spłycony przez mechaniczne powtórzenie jakiś detal, jakieś powiedzenie autentyczne, a w książce brzmiące fałszywie.

Może powodem mego krytycznego stosunku do książki jest, to że w paru rozdziałach Wańkowicz buszuje na terenach Oddziału Kultury i Prasy 2-go Korpusu — okres gdy w nim tkwiłem — i widzi w nim wszystkie śmieszności, odkrywając chmary Drystałów, których tam właśnie z moich czasów nie było. Ładny mi Drystał Józef Zielicki! Wańkowicz zawdzięczał mu, że udało się go wtłoczyć, z jakimiż wysiłkami, w ramy wojska, które przecie do pewnych form obowiązywało; Kupść Masalski jest karykaturą Giedroycia narysowaną zresztą z sympatią, gdzie jednak dodaje, że redagował on w Polsce pismo, które miało „ciągotki” do Berezy. Właśnie Giedroyc, którego premier Kościakowski chciał wysłać jako redaktora „Buntu Młodych” do Berezy! Jest to jedna z niezliczonych, krzywdzących dowolności autora. Nie tłumaczą ich żadne zamierzenia artystyczne, żaden walor artystyczny. Gdyby jednak chodziło mi tylko o te „drobne detale”, krzywdzące moich przyjaciół, dlaczego już Rumunia mnie tak drażni? Nie wiem kogo miał na myśli Wańkowicz pisząc o Lubrzyckich i Termopilskich, postaciach niewątpliwie zbiorowych (o przekłeta typizacja, którą socrealizm w Polsce prawie że dorzynał literaturę), ale ambasador był jeden i każdy może się dowiedzieć, że był nim Roger Raczyński. Tego wypadkowo znałem; cóż zrobił z tego człowieka, gotowego zaw-

sze pomóc każdemu, o całkowitej bezinteresowności, który dzięki kował za usługę temu, któremu ją wyświadczył. Był on rzeczywiście rozmowny aż do gadulstwa, tę jedną cechę zdążył Hauke-Franc Fiszer-Wańkowicz zauważyć, ale, że to był człowiek naprawdę dużej kultury, a nie pozy kulturalnej tego autor nie zauważył chyba, bo wtedy nie wsadziłby mu do ust uwag o tym, że jego, Hauke-Wańkowicza, proza ma rozlewność Victora Hugo i klasyczność Maupassanta. Widzę Rogera Raczyńskiego opowiadającego takie bajdy i do tego odradzającego pisarzowi wyjazdu do Francji, bo tam mało „posadek”! Może to znowu nie Raczyński, a typizacja? Jeżeli tak, to do diabła z typizacją!

Tu się dotoczyłem do mojej głównej pretensji, która jest właściwym powodem tego niewdzięcznego zajęcia, gdzie staram się być krytykiem literackim, choć najmniejszej po temu nie mam ambicji.

„Fakty są w nim zwykle prawdziwe do najdrobniejszych szczegółów...” pisze autor na obwolucie. Jeżeli tak, dotknę się jednego punktu z rozdziałów o 2-gim Korpusie, odcinka który znam.

Już w Jangi-julu (Turkiestan) było paru ludzi z upartą myślą kształcenia młodzieży, tych jeszcze dzieciaków, którzy fałszując swój wiek dostali się do wojska. „Uczyć? Tylko w Warszawie, tutaj może być mowa tylko o ćwiczeniu wojskowym” — powiedział mi dziarski szef wyszkolenia w Turkiestanie. Ale upór jednego z Drystałów — Józefa Zielickiego i paru innych stworzył nareszcie cały ruch w wojsku w tym kierunku. W rezultacie Korpus miał już w Palestynie całe ministerstwo oświaty z prof. Uniwersytetu Wileńskiego, Alexandrowiczem, na czele, człowiekiem twardym, namiętnie oddanym sprawie; miał pułk. Tworzydę, który nie tylko stylizował regulamin, ale wydawał wraz z dr. Pilatową dziesiątki podręczników szkolnych. W rezultacie żołnierze 2-go Korpusu zdobyli tysiące matur, Korpus wysyłał studentów na uniwersytety w Libanie i we Włoszech. Tego Wańkowicz jakby nie zauważył. Nie zauważył, że potrafiłoby zrobić coś, co było na granicy rewolucji obyczajów wojskowych, co się całkowicie z ram wojskowych wyłamywało, ten cały świat organizacji oświatowych, kulturalnych, gdzie grano Fredę i Molię w irackim Khanaqinie i włoskiej Motoli, gdzie wydawano pisma, książki, a przede wszystkim tworzono szkoły i szkoły, bo to nie było wojsko tylko, ale naród na wygnaniu. Ta praca, która musiała przezwyciężyć niezliczone opory przeróżnych oddziałów, mogła istnieć tylko dzięki poparciu i nieszablono- wemu stosunkowi dowództwa do tych spraw.

Koroną tej pracy była właśnie oświata w Bazie 2-go Korpusu, na południu Włoch. W czasie kiedy wojsko było na froncie, kiedy każdy oddział skarżył się na brak inteligentnej młodzieży do łączności, radaru, repów, kiedy trzeba było rozkazu samego generała Andersa, by wyciągnąć nauczyciela szkoły średniej, obsługującego telefony, wtedy właśnie gen. Przewłocki do-

wódca Bazy, stworzył na swoim terenie cały szereg szkół i walczył zaciekle o ich sprawy. W tych szkołach trzeba było wylączyć prąd elektryczny — jak mi opowiadał pewien przedwojenny inspektor szkolny — wykręcać żarówki, aby chłopców zmusić do snu, bo jeszcze i jeszcze chcieli się uczyć.

Gen. Przewłocki, z przeszłością w wojsku rosyjskim, zachował w swej mowie nałot akcentu rosyjskiego. To jedno, to *najłatwiejsze*, autor książki zauważył, ale to, że tenże generał tępił fumi oficerskie i na każdym kroku bronił żołnierza, żądając naturalnie od niego form żołnierskich, które wcale nie muszą być tępym drylem, tego Wańkowicz nie dojrzał i właśnie jego obrał sobie za przedmiot jakże niewybrednych żartów. Wszystko to dobrze, jeśli to fikcja powieściowa, ale nie można zwalać tego na fikcję i jednocześnie bronić autentyczności faktów. W rezultacie daje to krzywdę ludzi i zafałszowanie historii czytelnikowi, który sam tych spraw nie przeżył. Jak może wiedzieć czytelnik co jest autentyczne, jeśli na gen. Przewłockim, który był jedynym dowódcą Bazy we Włoszech, widzimy te „dowolności”, jakże mamy wierzyć wywiadowi z marsz. Smigłym, Beckiem czy Sternem, szefem Irgunu. Każda z tych rozmów (z dziś już nieboszczykami) byłaby bezcenna jako dokument, ale któż wyluska gdzie dokument a gdzie fikcja? Po tym jednym wypadku gen. Przewłockiego, człowieka surowego i wielkiej osobistej skromności, najbardziej po ludzku traktującego swoich podwładnych a z którego Wańkowicz zrobił ordynarnego stupaja, po tym jednym wypadku mamy prawo wątpić we wszystkie inne „dokumenty”.

Cóż to ma do czynienia z krytyką *literacką* spyta mnie czytelnik. Otóż moim literackim zarzutem wobec „Urzędowa” jest, że fikcja jest słaba, że się jej nie wierzy, że nie ona pożera dokument, ale ona dokument fałszuje i że stronice najlepsze, to stronice dziennikarza wielkiej klasy, który opowiada co widział, co usłyszał i czasem esseisty próbującego wyciągnąć wnioski. Gdzież tu konieczny element, przeobrażający rzeczywistość, poprzez który docieramy do innych warstw przeżyć, rozwiązujących poprzez sztukę wszystkie węzły?

Wańkowicz chciał może stworzyć polskie „image d'Epinal”. Tak się zachwycamy gdy widzimy jak naiwny rysownik opowiada w prymitywnym druku, niezręcznie barwionym, o zwycięstwach i szlachetności Napoleona. Wańkowicz nie ma naiwności tych rysowników i drukarzy dlatego jego uproszczenia pachną demagogią, propagandą czy wprost łatwizną.

No i te niestanne wybrzuszenia! Główny bohater Hauke-Franc Fiszer-Wańkowicz musi koniecznie spać u swych wytwornych krewnych na skórze łosiowej i pić musi mleko z krów pasących się wyłącznie na kaczeńcach, a hrabia musi mieć koniecznie monokl, złotem haftowany szlafrok, wannę, której mu w Carrarze nie udało się dostać, bo musiała być koniecznie z jednego bloku. Przypominają się już nie tylko hrabianki, stale

polegające na kuszetkach u Prusa, ale potężny cień potężnej Mniszkówny pada na te strony. Arcypolska kombinacja snobizmu i naiwności i to u Wańkowicza z rodziną z fortunami i fumami, z mitrą książęcą w herbie, i jakoby krwią Rurykowiczów. Wańkowicz, który przecież hrabiów nawidzieć się musiał do sytości.

Drystali typizuje Wańkowicz jak hrabiów: nawet rozróżnić ich trudno. Każdy myśli o karierze, każdy płaski jak liść przed zwierchnikiem, a tygrys przed podwładnym. Typizacja. A potem idą hohaterowie: ci znowu jak ta wanna marmurowa pana hrabiego — z jednego bloku, już tam skazy nie znajdziesz. Znowu typizacja.

A może Wańkowicz to reakcja po jakimś zdrowa, przeciwko zbyt anhelicznej literaturze. Reakcja warstwy polskiej, dobrze ordynarnej, jurnej, tonącej w wódzie, religijnej czysto powierzchownie, albo wcale (pozytywizm), pełnej ryzykanctwa, śmiałości, o kulturze która robi wrażenie kwiatka przy kozuchu. Czytając niektóre rozdziały tak zasmalcowane tłustą anegdotą, tak osłodzone patoką pijanych rozczuleń ma się wrażenie, że Polska to stado rozbrykanych opojów, chytrych lizusów, hrabiów z Mniszkówny i bohaterskich młodzików, również, jak tylko się da, tonących w oparach alkoholu. Taki jest obraz Polski, która do tego zachowała w tradycji styl żołnierski carskich kozarów, z dodatkiem nieustannie żyłdaczących Żydów i arcygłupich księży.

I może to jest jedyna, niewątpliwie pozytywna strona tej książki, że pokazuje *ten* wymiar polski, niemniej autentyczny i nieskończenie bardziej ogólny niż wymiar polski Gustawa-Konrada, Elenai czy Polski „przemienionych kołodziejów”, tych sekund polskiej świadomości najwyższej i najrzadszej.

Józef CZAPSKI

« Baśka i Barbara »

Kiedy w warszawskiej „Nowej Kulturze” pojawił się przedruk opowiadania z paryskiej „Kultury” pt. „Baśka i Barbara”, uczennice żeńskiego gimnazjum państwowego im. Tytusa Chałubińskiego w Radomiu otrzymały jako temat wypracowania szkol-

Zofia Romanowiczowa: *Baśka i Barbara*. „Libella”, Paryż, 1956. Okładkę projektował Wł. Szomański. Str. 224.

nego „List do Zofii Romanowiczowej”. Autorka opowiadania jest tegoż gimnazjum wychowanką. W ten sposób niemal u progu pracy pisarskiej Zofia Romanowiczowa osiągnęła to, co jest marzeniem każdego pisarza po trudzie całego życia. Zadanie szkolne w Radomiu spełniło rolę kropli przelewającej naczynie. Książka „Baśka i Barbara” była bowiem pisana przez lat sześć, od urodzin Baśki do urodzin Barbary, dzień po dniu, godzina po godzinie, stronica po stronicie, jako pasmo przeżyć urodzonej artystki, ale w szatę dojrzałego tomu oblokła się dopiero po szkolnym ćwiczeniu radomskim i żywym przyjęciu opowiadania przez czytelników na obczyźnie. Kilka, jakby próbnych, rozdziałów ukazało się wprawdzie już wcześniej na łamach czasopism, lecz odzew czytelników nie był jeszcze widać wystarczający, aby zamiar dojrzał w tom zbioru opowiadań. Może dlatego te próbne rozdziały ukazały się w nim w gruntownej przeróbce.

Autorka ma lat 32. Pochodzi z rodziny inteligencko-mieszczańskiej. Pod okupacją niemiecką, jako absolwentka I klasy licealnej, znalazła się w konspiracji, w radomskim ZWZ, którego rozwój był nazbyt gwałtowny i nieprzeznaczony; w mieście i okolicy mówiono o otwarciu powstania. Odwet niemiecki był straszny: dnia 24 stycznia 1941 aresztowano w Radomiu 600 osób, w tym 36 kobiet. Więzienia i obozy przeżyło tylko pięć kobiet. Należała do nich Zofia Górską, dziś Romanowiczowa. Jednym z pierwszych aresztowanych był jej ojciec. Zachowanie się pełniącej rolę tłumaczki w czasie wstępnej rewizji w domu rodzicielskim panny Górskiej nie podobało się gestapowcom, więc ją również zabrali do więzienia. Sąd wojenny w Skarżysku wydał wyrok skazujący wszystkich aresztowanych mężczyzn na egzekucję natychmiastową lub po krótkim czasie w Oświęcimiu. Ojciec Zofii Górskiej nie żył po trzech miesiącach.

Sześć dziewcząt osadzili Niemcy najpierw w więzieniu w Kielcach, potem w Pińczowie, a po roku zesłali do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück, gdzie jeszcze rozstrzelali jedną z uwięzionych. Wszystkie pozostałe przy życiu spodziewały się egzekucji z dnia na dzień. We wrześniu 1943 Zofia Górską znalazła się w obozie Neurohlau koło Karlsbadu, doczekawszy się wyzwolenia, przedtem ukrywając się, po ucieczce z obozu, w szpitalu dla umysłowo-chorych, prowadzonym przez katolickie siostry.

W obozach pisywała, a raczej układała wiersze, których współtowarzyszkę uczyły się na pamięć. Spory zbiorek tych dziewczęcych, naiwnie pięknych liryk spoczywa w rękopisie.

Uwolnione z obozu Polki zdobyły samochód ciężarowy i podzieliwszy się na dwie grupy, pieszą i zmotoryzowaną — bo wóz wszystkich naraz nie mógł zabrać — dążyły na zachód. W Turynii zatrzymały je władze amerykańskie i odstawiły do sowieckiego obozu repatriacyjnego. Jeden z oficerów z Korpusu, poszukując narzeczonej, przypadkowo odwiedził w lipcu 1945 ów oboz i zabrał część dziewcząt do Rzymu. Zofia Górską tym sposobem

wdzięła rychło mundur ochotniczki PSK, a po kilku miesiącach pobytu w Rzymie dostała się do liceum żeńskiego w San Giorgio. Po maturze wstąpiła na Sorbonę i w latach 1946-1949 studiowała romanistykę (prowansalistykę). Zachęcie profesorów do dalszych studiów naukowych nie mogła zadośćuczynić wychodząc za mąż. Poświęciła się natomiast, nieśmiałoemu zrazu, pisaniu, a obecnie prowadzi także przedszkole dla dzieci polskich w Paryżu.

Zofia Romanowiczowa jest autorką licznych nowel, opowiadań i essayów, rozsianych po czasopismach emigracyjnych. Przetłumaczyła z języka francuskiego na polski „Apokryfy Nowego Testamentu” (opracowanie Daniela Ropsa i prof. F. Amiot, polskie wydanie w Katolickim Ośrodku Wydawniczym „Veritas” w Londynie), „Dzieje duszy” św. Teresy z Lisieux (w druku tamże) i powieść A. Malraux „Walka z aniołem” (w rękopisie).

W Rzymie zwrócił uwagę na Górską Melchior Wańkowicz, piszący właśnie trytomową opowieść o bitwie o Monte Cassino, wciągając młodzieńką ochotniczkę do pracy nad korektami i indeksami trylogii. Wańkowicz, niezmiennie czuły na każdy talent pisarski, wpłynął w niemałym stopniu na rozbudzenie zdolności literackich Zofii Górskiej. Jest on współtwórcą pomysłu książki o „Baśce i Barbarze”, czy raczej o pierwszych latach dziecka, której napisanie proponował Romanowiczowej przed paru laty w formie dwugłosu. Jeśliby szukać jakiegoś pokrewieństwa ideowego i tematycznego „Baśki i Barbary” w literaturze, nie podobna przeoczyć „Ziela na kraterze”. Jest to raczej powinowactwo tematu, bo styl, budowa i idee Romanowiczowej są niewskroś oryginalne.

„Baśka i Barbara” jest zbiorem osiemnastu opowiadań o córce Basie — od jej urodzenia do pójścia, w szóstym roku życia, do szkoły francuskiej, uzupełnionej nauką przedmiotów ojczystych w czwartkowej szkółce polskiej. Przyjście na świat dziecka, troski o niemowlę, nauka mowy, pierwszy strach ludzkiej istoty, oczekiwanie na obietnice szczęścia, zabawa, odkrycie śmierci ludzi i rzeczy, przyswajanie sobie dziedzictwa, pierwsze kroki w świat bez matki, odkrycie narodowości, obca szkoła, walka o duszę dziecka, poznawanie ojczyzny przez bajkę, piosenkę i marzenie — to główne wątki opowiadań. Tematyka prosta, niemal naiwna, powszednia. Basia jednak nie jest pretekstem dla szerszego zamiaru pisarskiego, figurką na szachownicy wyobraźni, medium dla snucia rozważań o życiu, jest natomiast celem skupionej uwagi, pochłaniającej miłości, ognikiem zapalającym najczulsze słowa i najtajniejsze myśli. Żaden krok dziecka, słówko czy oddech nie uszło przez sześć lat uwagi matki; wszystkie pobierała jakby złote owoce z rajskiego drzewa życia, przechowując je w pamięci jak skarby, szukając dla nich imion i nazwań, rozwiązując ich tajemnice skryte w łupinie westchnień, uśmiechów, gestów. Książka Romanowiczowej

jest dziełem miłości macierzyńskiej, wyrażonej w słowie literackim. Talent pisarski poświęcony kochanej istocie, bardziej nachylony ku jej słowom i przeżyciom niż ku własnym. W tekstach opowiadań ważniejszym od pisarskiego jest często bełkotliwe słowo dziecka.

Można by nawet nazwać „Baśkę i Barbarę” książką pa-miątkową, spisaną po to, aby córeczka, zapomniawszy, jak każdy człowiek, swego dzieciństwa mogła je po latach odnaleźć na kartkach książki. Jest to więc jakby troskliwie kompletowany i z czułością przechowywany album rodzinny. Nie zdobią go, na szczęście, świetnymi farbami malowane arabeski, złote palmy i gryfy z bajek. Miłość autorki jest po ludzku uniwersalna. Nie ma w niej wyróżniania własnego dziecka, ale szczęśliwa radość z jego podobieństwa do innych i krzepiące przeświadczenie o wspólnocie ludzkiej, a także o biologicznej i duchowej ciągłości pokoleń. W tym znaczeniu więc „Baśka i Barbara” jest nie tyle kroniką rodzinną, co kroniką wszystkich, podobnych do siebie matek i dzieci — koniecznie trzeba dodać: polskich.

Nie jest to zatem hymn poetycki, w którym kształty i barwy tracą realność, a zdarzenia wirują w przestrzeni między rzeczywistością i fantazją. Romanowiczowa jest zwolenniczką realizmu. Literatura w jej pojęciu to właściwe nazywanie rzeczy po imieniu, znajdowanie najcelniejszych słów, dopasowywanie imion do bezimiennych przedmiotów i zjawisk, wiązanie słowem przyczyn i skutków, notowanie wydarzeń tak, by z nich nie uronić ani promyka poświęty im towarzyszącej, szukanie miary, która by ciężarem zbytecznego szczegółu nie niszczyła lotności warunkującej sztukę. Są w tej książce opowiadania pisarsko doskonałe, jak zwłaszcza „Paki na kasztanach” i „Nauka mowy”, są też mielizny, na których konstrukcja więznie i trzeszczy, jak na przykład rozdziały: „Światy”, „Popołudnie”, „Kurtyna”, „Dziad i baba”. To skutki przesadnej wierności realizmowi, dążności do wyczerpania tematu, przeczułonego dbania o szczegóły, natoly nieprzetworzonego artystycznie świadectwa o życiu, nieuporządkowane ciągoty reporterskie. Być może, że również pośpiech w pisaniu książki, który zresztą pozostawił na wielu jej stronicach brudne palce komunikatywnego żargonu. (Przykład: „Czytam i po niewczasie truchleję jak cenzor, co pod niewinną okładką przepuścił utwór o dywersyjnej treści. Denuncjuję niniejszym „Dziada i babę”!” Albo: „W książkach są też ilustracje. Tekst i obrazek, oryginał i kopia, porównywane są z pedanterią... Po obrazkach wodzi się nosem tak samo uczciwie i serio, jak po znaczkach, które tworzą słowo”.) W każdym razie nie można o Zofii Romanowiczowej powiedzieć, że jest skończoną artystką. Ma jeszcze braki w wyborze materiału literackiego i pewną niedbałość w obróbce języka. Stwierdzić to można tym śmieiej, że jej talent pisarski jest pierwszej próby. Nie ma też prawie w „Baśce i Barbarze” dydaktyzmu. Romanowiczowa

wcześniej osiągnęła wiek prozy, czyli dojrzałej, a więc nieskorej do pouczenia, wiedzy o życiu.

Styl Zofii Romanowiczowej odznacza się przede wszystkim giętkością; wyróżnia ją zdolność równoczesnego operowania opisem, dialogiem i refleksją. Zdania jej budowane są zwięźle, w języku naturalnym, kolokwialnym, lecz nie ześlizgującym się w banał. Jak każdego realistę, Romanowiczową cechuje drobiazgowość i ostrość widzenia, bynajmniej nie jednoznaczne z tak zwaną epicką nudą katalogowania przedmiotów i doznań zmysłowych.

„Baśka i Barbara” to nie tylko tom dobrej prozy, ale coś więcej: książka śmiała i pionierska. Można by ją nazwać dziełem przezwycięzonego naturalizmu. Romanowiczowa nie cofa się w opisach przed żadną jaskrawością. Pierwszy rozdział tomu jest opisem ciąży i porodu. Czytelnik czytając to opowiadanie ani przez chwilę nie doznaje uczucia wstydu czy obrazy intymności, tak w tych sprawach ludziom potrzebnej i koniecznej. Nagość ciała i jego funkcje zawsze wywołują wstyd pierwotny, chyba że się go pokonuje zmysłowością. Trudno pomyśleć, by mogły być dla kogokolwiek poza kliniką, klinicznie obojętne. A jednak słowo literackie ma siłę wyższości nad przejawami natury. Zofia Romanowiczowa pokonała je mocą godności i piękna macierzyństwa, jak nikt przed nią w polskiej literaturze.

Zalety „Baśki i Barbary” można by mnożyć. W szczególności porywające są opisy walk o narodowe ocalenie duszy dziecka na wygnaniu. Ale na to zwrócono już dostateczną uwagę.

Harmonię tej pięknej książki psuje, niestety, ostry dysonans: mitologizowanie. Szczególnie fałszywie brzmi ta nuta w dziele w zasadzie realistycznym. Dusza człowieka, a zwłaszcza dziecka, jest łamigłówką czy rozsypanką, z tą różnicą, że zagadki dają się rozwiązywać, zaś duszę ludzką w zrozumiałą całość złożyć jest niezmiernie trudno, jeśli to w ogóle możliwe. Któż z nas rozumie doskonale choćby tylko swoją własną duszę? Myślenie i działania człowieka to jakby miliony kresiek, układających się w luźne kontury, niepełne, niedokładne, rozbieżne. Portretu duszy nie da się obrysować dokładną, zamkniętą linią. Tymczasem matki ze spojrzeń dzieci i z ich bełkotów budują światy fantazji, uważając odruchy, za syllogizmy jakichś zawiłych dowodów. Tak też postępuje czasem Zofia Romanowiczowa, dając pierwszeństwo mitom macierzyńskim przed prawdą życia. Matka z „Baśki i Barbary” stoi w tej książce jak Anioł Stróż za dzieckiem i podpowiada mu nie tylko słowa, ale i idee, a nawet z zachwytem przykleka przed słowami i gestami córki, które w jej wyobraźni są ułomkami jakichś prawd tajemnych. Nastrój niektórych opowiadań jest dlatego chwilami misteryjny. Dziecko wypowiada twierdzenia mędrców, a jego odruchy są traktowane jak wynik złożonych rozumowań.

Więc na przykład strach przed śmiercią. Chyba żadne dziecko nie boi się śmierci, gdyż jej znaczenia nie obejmuje wy-

obrażnią. Jeśli to nawet jest strach, to przed nieznanym, a nie przed unicestwieniem. Toteż w dziecku jest raczej ciekawość śmierci, czym można tłumaczyć okrucieństwo dzieci wobec zwierząt i owadów. Otrzymałszy lalkę, dziecko zaczyna zabawę od jej zepsucia. Tymczasem Baśka nie tylko drży na myśl o śmierci i na widok kalectwa, ale buduje filozofię śmierci, której by się nie powstydzili ludzie, którzy często i długo spoglądali jej w oczy. Otóż Zofia Romanowiczowa, tak trzeźwa realistka w ocenie dziecięcych ambicji muzycznych i dramatycznych, mitologizuje duszyczkę dziecka, przypisując mu złożone pojęcia i spekulacje metafizyczne. Nieobojętny jest tu ważny szczegół z biografii autorki: jej lata w obozach koncentracyjnych. To tamte przeżycia i strach przeniosła matka na dziecko. Paniczny lęk przed śmiercią, jakże uzasadniony w kaźni obozowej, zaszczerpiony dziecku na całe życie, może się stać powodem duchowego zwichnięcia. Dlatego by się miało chronić dzieci od myśli o śmierci, zwłaszcza kiedy się im odstoniło tajemnicę rodzenia?

Również polskość Baśki rozwieszona jest między realizmem a mitologią. Wzruszające trudy przyswojenia dziecku kultury narodowej poprzez złożony system piosenek, baśni, strojów, obrzędów i obyczajów, zaćmiewa mitem o pojmowaniu przez dziecko tęsknoty do spoczynku na ziemi ojczystej. Basia na widok grobów sławnych mężów na cmentarzu Montmorency mówi: „To oni tutaj Polski nie mają?” Nonsens albo mit.

Raz jedyną autorka mitologizuje nawet samą siebie, gdy pisze o chwili porodu: „Wtedy wiedziałam jednak: tak się umiera. I tak się rodzi. Tak się obraca ziemia. Tak wybucha lawa. Tak zwija się w spiralę mgławica”. Trudno sprawdzić.

Na szczęście, mitologia nie ma przewagi w „Baśce i Barbarze” nad rzeczywistością. Miłość strzegła. Ale skutkiem tego pomieszania języków, przeżyć i uczuć matki i dziecka nie jest to książka o dziecku, ale o nierozłącznej unii, o wiecznym przymierzu matki i dziecka, o dziecku żyjącym w matce, o matce włączonej w życie dziecka. Basia się w tej książce jeszcze nie rozłączyła z matką, nie urodziła się dla siebie. Już nie jest wprawdzie pąkiem na drzewie, ale liściem czy kwiatem, tak samo z drzewem zrówniętym. Czy się kiedykolwiek rozłączy? Czy matka zdolna jest widzieć kiedykolwiek swoje dziecko odłączone od niej? Wyjść poza swoją miłość?

Jan BIELATOWICZ

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

GUARESCHI (Jan). *Don Camillo i jego trzoda*, z rysunkami autora. Przełożył Jan Bielatowicz. Str. 189 (Nakł. Kat. Ośrodka Wydawniczego „Veritas”, T. XXIV Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, 1956, Cena 15/).

Polish Prose and Verse. A Selection with an Introductory Essay by Jerzy PIETRKIEWICZ. Str. 205. (Wyd. University of London. The Athlone Press, Londyn 1956, cena 10 sh. 6d.).

LEDNICKI (Wacław). *Some comments about three letters of Mickiewicz unpublished in the „National Edition” of Mickiewicz’s Complete Works in Poland*. Str. 12. (Odbitka z „The Polish Review, Vol. I., Nr 1, 1956).

WALSH (W.T.). *Fatima*. Przekład Floriana Śmieji. Str. 241 (Nakł. Kat. Ośrodka Wyd. „Veritas”, Tom VIII Serii Niebieskiej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, czerwiec, 1956, cena 15 sh.).

LEŚMIAN (Bolesław). *Klechy Polskie*. Słowo wstępne Br. Przyłuskiego. Str. 217. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, T. XXVI Serii Czerwonej „Biblioteki Polskiej”, Londyn, maj 1956, cena 15 sh.).

THOMAS (Benjamin P.). *Abraham Lincoln*. Traduit de l’américain par Dominique Guillet. Pp. 378. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1955).

POEZJA

CZERNIAWSKI (Adam). *Polowanie na jednorożca*. Rysunek na okładce Ann Daker. Str. 39.

(Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1956).

PAWLIKOWSKA - JASNO-RZEWSKA (Maria). *Ostatnie utwory*. Zebrał i opracował Tymon Terlecki. Str. 123. Drzeworyt na okładkę wykonał Franciszek Prohaska. Portret autorki M. Bohusz-Szysko. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1956).

DE NISAU (Jerzy). *Trzy poezje*. *Trois poèmes*. Str. 16. (Paryż, 1953).

DE NISAU (Jerzy). *Przypływy i odpływy*. Poezja. Str. 15. (Paryż, 1955).

GODLEWSKI (Wacław Jan). *Błyski losu*. Poezje. Ilustracje Rob D’Ac. Str. 122. (Nakładem autora. Wyd. artystyczne, tekst złożony czcionką Deberny et Peignot, seria 16 cor. 12 i odbity na ręcznej prasie w pracowni M. i F. Prochasków w Paryżu, kwiecień, 1956).

BRZEKOWSKI (Jan). *Les murs du silence*. Str. 40. Ilustracje Ferdynanda Léger. (Ed. Caractères, Paris, 1956).

EKONOMIA

GRIGOROFF (Georges). *Réforme agraire et collectivisation de l’agriculture en Bulgarie*. Odbito na powielaczu. Str. 140. (Wyd. Fondation Nationale des Sciences Politiques. Centre d’Etudes des Relations Internationales. Section de l’Europe de l’Est. Travaux dirigés par J. Marzewski, Paryż, 1956).

RÓŻNE

SZWAJCER (Stanisław). *Plan X.*
Opowiadania i wypowiedzi. Str.
40 (Paryż, 1956).

Kalendar Almanach 1956 rok. Str.
192. (Wyd. Perszoi Ukrainkoji
Drukarni u Francji, Paryż, 1956).

DOKUMENTY CHWILI

MACKIEWICZ (Stanisław). *Od*

małego Bergu do Wielkiego Ber-
gu. Str. 95. (Nakładem „Tygod-
nika”, Londyn. Cena 2 sh. 6d.).

Los Polaków w niewoli sowieckiej
(1939-1956). Tekst opracował prof
dr Władysław Wielhorski. Str.
28. (Wyd. Rada Ziem Wsch.
R.P. i Stow. Byłych Sowietkich
Więźniów Politycznych, Londyn,
1956).



POMOC RODZINIE W KRAJU
I ZA LINIĄ CURZONA

Przodująca polska firma wysyłkowa

LAMPERT & POLIMEX Co

45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England

JUŻ ROZPOCZELIŚMY WYSYŁKĘ
NAJNOWSZEGO LEKARSTWA NA GRUŹLICĘ
(TUBERCULOSIS)

Seromycin-Cycloserin

CENA \$17.70 ZA 40 KAPSULEK

Lotniczo. Asekurowane. Gwarantowana dostawa w Polsce 9-10 dni.

Overseas Pharmaceutical Company

2067 Broadway
(przy 72 ulicy)

New York 23, N. Y.
Telefon SU 7-7483

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 4^e Trimestre 1956.



KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy Maisons-Laffitte (S.&O.)
Telefon: Maisons-Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Saintelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curiti- tiba, Paraná; Hanna Lekszycka, r. Guirã 139, vila Pompela, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tangany- ka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocztowego: 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemanski, 472 Aikins St., Win- nipeg/Man.; H. R. Radomski, 107, Rose Park Dri- ve, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybała, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarme- rie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikieluk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/I.	2,50 DM 3 sh. 9 d.	13,50 DM 20 sh.	25 DM 40 sh.
NORWEGIA: Br. Lubiński, Moss, Kongesgt. 2. SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thal- berg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta p.: 1.14431 SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsga- tan 3/IV, Stockholm	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
U.S.A.: Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, „Gryf Publ.”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; L. Duda- rew Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W.— 15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewa- nowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robin- wood Ave, Toledo 2, Ohio; A. Pleszczyński, 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; K. Troja- nowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. S. Dobczyński, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y. The Polish Book Import- ing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y. W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169- 171, Battersea Church Road, London, S.W.11. WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	18 kor.	33 kor.	
	75 cent.	4 dol.	6 dol.
	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta
180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs.
Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Biblioteka "Kultury"

TOM XIV

RAYMOND ARON

KONIEC WIEKU IDEOLOGII

Tytuł oryginału: *L'OPIUM DES INTELLECTUELS*
Z przedmową autora dla czytelnika polskiego.

*Czy ewolucja świata komunistycznego idzie w kierunku pragmatyzmu
oddalając się od ideologii?*

*Czym jest wyzwolenie „rzeczywiste” proletariatu a czym wyzwolenie
ideowe?*

*Jakie realia społeczne i historyczne wpływają na ideologie inteligencji
w różnych krajach?*

Cena egzemplarza 750 fr. (15 sh., \$2,25)

Nowość

TOM XV - Biblioteki "Kultury"

GRAHAM GREENE

MOC I CHWAŁA

w przekładzie Bolesława Taborskiego

Największa powieść Graham Greene'a rozgrywa się w Meksyku, w okresie prześladowań religijnych. Na tle konfliktu polityczno-religijnego autor ukazuje prawdziwe oblicze świętości, kontrastując słabość człowieka z wielkością jego powołania.

Książka Graham Greene'a poruszając najważniejszą problematykę naszych czasów — walkę komunizmu z chrześcijaństwem — nabiera specjalnej aktualności dla czytelnika polskiego. Znajdzie on w niej odpowiedź na szereg problemów które mu stawia rzeczywistość krajowa i pozwoli mu przede wszystkim ocenić i osądzić tych, którzy mu próbują wytłumaczyć możliwość współżycia marksizmu z katolicyzmem.

Cena egz. 650 frs (13 sh., 2 dol.)